



MIROSLAV
ŽAMBOCH

*Mroczny
Zbawiciel
tom drugi*

Przełożył
Rafał Wojtczak



fabryka słów
Lublin 2009



BESKIDY-

SPRÓBUJ JESZCZE RAZ, KOLEGO

Dawno temu wąwozem jeździły karety, wozy a przed kilkudziesięciu laty być może również traktory i maszyny leśne. Moją uwagę przykuł ślad opony z wyraźnym bieżnikiem, nie starszy niż tydzień - bo tyle właśnie minęło od ostatniego porządnego deszczu. Ale przed i za nim z rozmokłej ziemi wyrastały młode jawory - sądząc po pniach, dziesięcio-, może piętnastoletnie.

Micumina zarżała, jak zawsze, kiedy coś jej się nie podobało.

- Dziwne - wymamrotałem. I wtedy dobiegł mnie dźwięk gdzieś na granicy słyszalności.

Zbliżał się.

- Coś jedzie - powiedziała, ale ja już popędziłem ją na łeb na szyję stromym zboczem. Kopyta Micumy ślizgały się na glinie.

Gdy dostaliśmy się do lasu, zeskoczyłem z siodła i powiodłem klacz w kierunku zagłębienia między dwoma świerkami. Na ziemi położyła się już sama.

W samą porę. Zza zakrętu wyłonił się przód pojazdu - ni to czołgu, ni to samochodu ciężarowego; barwy maskujące nie pozwalały dokładniej określić jego kształtu. Nawet z tak małej odległości ledwo słyszałem pracujące silniki. W zetknięciu z klinowatym nadwoziem młode drzewa wyginały się z cichym szelestem, jakby były z gumy. Zaraz za pierwszym pojazdem pojawił się następny. Dostrzegłem automatyczną wieżyczkę strzelniczą, zanim ona dostrzegła mnie, i z całej siły szarpnąłem za uzdę, pociągając głowę Micumy ku dywanowi z opadłych liści. Klacz bywała zbyt ciekawska. Dopiero przy trzeciej maszynie wychwyciłem aurę czaru tymczasowo zmieniającego

strukturę drzew, który umożliwiał bezkolizyjny przejazd. Leżałem tak, póki Micuma nie zaczęła się nerwowo wiercić.

- Następnym razem nie szarp tak mocno. Nie lubię tego - wypomniała mi. - Poza tym powinienes być ze mnie zsiąć.

- Powinnaś była usłyszeć je wcześniej - odparowałem. W końcu miała lepszy słuch niż ja.

- Zostawiłam pole do popisu twojej niespotykanej intuicji i spostrzegawczości - odburknęła i wstała.

Już któryś raz spostrzegłem, że wydarzenia w Jabłonkowie przyniosły mi dosyć wątpliwe korzyści. Obdarzona umiejętnością mówienia Micuma, owszem, bywała pożyteczna, jednak w większości przypadków byłbym o wiele bardziej zadowolony, gdyby milczała jak zwyczajny koń.

O dziwo, Blacharz dotrzymał słowa i udostępnił mi ze swoich baz danych to, czego tylko sobie zażyczyłem.

Teraz wiedziałem więcej niż większość żyjących i prawdopodobnie również martwych ludzi o bitwie o Sewastopol i Raymondzie Curtisie, mężczyźnie, którym kiedyś byłem. Mężczyźnie, który poprowadził ludzi do boju ze stworami z pierwotnie zamkniętych sfer, a potem postawił nową barierę między najgorszymi głębinami a starym światem. Jakim cudem jeden człowiek mógł dysponować taką siłą? Nie tęskniłem za nią, jej utrata niespecjalnie mnie wzruszała. Miałem inne powody do niepokoju - z rozmyślań wyrwało mnie chlapnięcie gliną w twarz.

Micuma stała nade mną i cierpliwie grzebała kopytem w ziemi jak najzwyczajniejsza klacz. Ten wewnętrzny monolog z pewnością trwał zbyt długo. Zdarzało mi się tak odlecieć, odkąd w walce z demonem straciłem część duszy, ostatnio jednak coraz rzadziej, coraz krócej. Potrzebowałem trochę czasu, żeby dojść do siebie, dlatego błąkałem się po górach bez celu. Kolejne chlapnięcie rozmięknęło gliną i pełne wyrzutu końskie spojrzenie. Podejrzewałem, że zmodyfikowane struny głosowe Micumy mają bardzo ograniczoną żywotność, dlatego musiała je oszczędzać. Całe szczęście. Wstałem, otrzepałem się i razem zesliśmy z powrotem do wąwozu. Czar w jakiś sposób zacierał nawet ślady pojazdów; został tylko ten, który wcześniej zauważyłem. Cóż, nie ma ideałów na tym świecie.

* * *

Jakimś cudem zgubiłem ich pół kilometra dalej. Z megatonowym potencjałem magii, który ułatwiał im pokonywanie drogi i jednocześnie maskowanie, mogli pojechać w dowolnym kierunku. Po godzinie poszukiwań zrezygnowałem z dalszego tropienia konwoju i ruszyłem w kierunku, w którym podążałem wcześniej. Nic do nich nie miałem, ot, zwykła ciekawość. Jeśli ktoś chce śledzić przejeżdżające przez Beskidy transportery wojskowe dla samej przyjemności śledzenia - jego sprawa.

Powoli jechałem przed siebie, tam, gdzie mnie niosły nogi Micumy. Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się w prastarym lesie. W cieniu gęstych koron drzew nie rosło praktycznie nic, pod nogami chrzęścił tylko dywan rudego igliwia. Czasami pomiędzy gołe pnie wdzierał się wietrzyk. Granica lasu musiała być gdzieś niedaleko.

Zsiadłem, zawiesiłem Micumie worek na karku i napełniłem go owsem. Resztką wody, która została w manierce, podzieliliśmy się na pół. Nie bałem się, że nie trafimy potem na wodopój. Tułaliśmy się po tych górach już od kilku tygodni i cały czas padało, tylko parę razy widziałem słońce. Znaleźć w tej okolicy suche miejsce na obozowisko to jak wygrać los na loterii.

- Te drzewa mają swoje lata. - Zadarłem głowę. - Pewnie rosły tu już na długo przed Krachem.

Micumy spojrzała na mnie. Stopniowo uczyłem się rozumieć jej słabo rozwiniętą mimikę. Chciała wiedzieć, dlaczego tak myślę.

- Tu są same świerki, nic między nimi nie rośnie. Kiedyś były tu tylko takie drzewa. Ludzie je sadzili, żeby mieć dużo drewna - wyrzucałem z siebie informacje wyczytane w na wpół wyblakłej broszurce, którą ktoś zostawił w pokoju hotelowym w Jabłonkowie.

- Cały czas jestem zdania, że podróż do Ostrawy naokoło, przez te dzikie zarośla, to zbyteczny wysiłek - powtórzyła już któryś raz. - Nic by się nie stało, gdybyśmy się zatrzymali i odpoczęli w jakiejś wiosce po drodze.

Puściłem jej uwagę mimo uszu i zacząłem zbierać chrust na ognisko. Ostrawa stanowiła kolejny etap mojej drogi do celu i ustalenia przeszłości Raymonda Curtisa. Potwierdzał to obrazek przedstawiający bitwę o Sewastopol oraz wszystko, czego się do tej pory dowiedziałem od ludzi i nieludzi. A jeśli moje poszukiwania miały przynieść pożądany efekt, nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek kojarzył mnie z masakrą w Jabłonkowie. Co więcej, istniało niebezpieczeństwo, że współwyznawcy Strazynskiego, ukryci wśród trzynieckich katolików, posłali za mną jakichś siepaczy, a

tych najłatwiej było się pozbyć właśnie gdzieś w dzikiej głuszy. Miałem już dość problemów.

Podniosłem pierwszą suchą gałąź. Chłodniejszy podmuch wiatru zjeżył mi włosy na karku. Mimowolnie zacząłem się trząść. Aż tak zimny to ten wiatr znowu nie był... Udawałem, że dalej szukam drewna, ale sięgnąłem po Margaret i z ukosa obserwowałem okolicę. Między drzewami były spore prześwity, ale nikogo nie dostrzegłem. Tylko wiewiórka w przerażeniu tuliła się do pnia. Nie próbowała nawet uciekać do góry, dość niecodzienne. Micuma zaczęła ryć ziemię kopytem, słyszałem, jak się cofa. Zacisnąłem zęby, żeby nimi nie szczekać. Zerwał się wiatr, a wraz z nim fala wirującego igliwia, za którą ujrzałem marsz płonących ludzkich szkieletów; odwróciłem się na pięcie i rzuciłem do ucieczki - a za mną ruszyły gigantyczne, magiczne gargulce, zębaci pożeracze dusz, których wołałbym nigdy nie zobaczyć.

Krzyczałem z przerażenia, wiedziałem, że muszę uciec za wszelką cenę, w przeciwnym razie nagle otwarty portal do innego świata mnie wchłonie. O nie, mowy nie ma. Przeskoczyłem powalone drzewo, przeleciałem przez ścianę cierni i w panice zacząłem się przedzierać przez zielone zarośla. Spowalniały mnie, tak bardzo mnie spowalniały! Trąba igliwia, kawałki gliny i mchu latały naokoło, fala wzburzonej ziemi, stanowiącej krawędzie portalu, już mnie doganiała, kątem oka dostrzegłem dzina szukającego ofiary. Na szczęście przede mną była już wolna przestrzeń. Wzbiłem się w powietrze.

Kości, konary trzeszczały, zaplątałem się w gałęzie ogromnego jaworu. Nie mogłem się oswobodzić, żeby dalej uciekać. Dopadnie mnie, zaraz mnie dopadnie! Przypadkiem dotknąłem chłodnej rękojeści Margaret - na szczęście nie zgubiłem jej podczas biegu.

Płonące szkielety były już prawie przy mnie, ich ręce niczym pochodnie niszczyły rzeczywistość wszystkopalnym ogniem. Strzelałem - *prask, prask*. Nic, żadnego efektu. Ale przecież coś się powinno stać, po mojej amunicji na pewno! To mnie zastanowiło. Strach minął, dwa razy głęboko westchnąłem i zmusiłem serce, by przestało się bez sensu kołatać i zaczęło znowu porządnie pompować krew.

To było złudzenie, bies, koszmar nocny w biały dzień, przywidzenie żywiące się moimi najmroczniejszymi myślami. Obraz zaczął się znowu zmieniać. Atakujący mnie duch sięgnął jeszcze głębiej, po wspomnienie, za którym naprawdę nie tęskniłem. Nie mogłem na to patrzeć, nie mogłem, by nie oszaleć. Znowu się trząsałem, rozpadałem pod naporem koszmarów. W postępującej destrukcji poczułem, jak kajdany krępujące

ukrytą część mojej osobowości pękają. Uniosłem się na ogromnych skrzydłach z czarnych luster. W ich idealnej powierzchni odbijała się groza, która miała wypalić moje ja, i projekcja nocnych zmór dręczących ducha. Rozległ się rozrywający bębni krzyk - tym razem nie mój.

Obudziłem się zaplątany w gałęzie jaworu, w kurczowo zaciśniętej dłoni trzymałem Margaret z ostatnim nabojem w magazynku. Piętnaście metrów wyżej, na stromym zboczu, widziałem ślady swojego szaleńczego biegu, niżej - szeroką dolinę przeciętą rzeczką, a za nią kolejne pasmo górskie.

- O mało co nie zabił mnie zwykły duch. - Zakląłem i zacząłem pomału złazić z drzewa, a potem jeszcze wolniej i ostrożniej wspinać się zboczem do lasu, z którego tak beztrudno wzbilem się w przestworza. Nie, to nie był zwykły duch. Jego potężny atak o mało mnie nie zabił. Tylko dzięki szczęściu i nienaturalnej odporności nie poddałem się złudzeniu.

Duchy ludzkie nie są dostatecznie silne, nieludzkie nie potrafią zaatakować słabych punktów psychiki z taką precyzją. Zastanawiając się nad tą sprzecznością, wracałem ostrożnie po swoich śladach przez dobre pół kilometra. Na co drugim kroku mogłem się nadziać na jakąś gałąź, na co trzecim złamać nogę, a na co piątym skrócić kark. Musiałem być niezłe przerażony.

Micama stała tam, gdzie ją zostawiłem, spieniona. Najwyraźniej spotkało ją to samo co mnie.

Kiedy sięgałem po urządzenie Zeissa, ciągle trzęsły mi się ręce.

- Zobaczmy, skąd to przyszło.

- Tego właśnie się bałam - dorzuciła. - Że będziesz takim wariatem. Szybciej, do cholery, nie chcę, żeby to coś wróciło i uzało mnie w zad! - wybuchła, kiedy nie mogłem wyciągnąć lornetki z sakwy.

Jak na biobota klasy końskiej była bardzo nerwowa, ale przy tym niezwykle wydajna i pojętna dzięki sztucznej inteligencji, którą jej wszczepiono. Przyłożyłem do oczu dzieło mechanika na tyle szalonego, że nie bał się współpracować z demonami, i już po chwili poczułem szarpnięcie. Tym razem demon wgryzł się w mięso między kciukiem a palcem wskazującym. Bolało.

Urządzenie pozwoliło mi dostrzec szarawą ścieżkę wijącą się kilka metrów nad ziemią między pniami drzew. Przypominała kondensacyjny ślad myśliwca - o ile oczywiście dałoby się kluczyć myśliwcem w gęstym lesie.

Schowałem urządzenie Zeissa, zanim demon zażyczył sobie drugiej porcji, i podążyłem śladem ducha. Tutaj las był młodszy, pomiędzy świerkami rosło całkiem sporo jaworów; czasami nawet błysnął gdzieś srebrny, gładki pień buku. Słyszałem szelest liści, gdy pełna wahania Micuma szła za mną. Tym razem postanowiłem przewietrzyć Zabójcę, Margaret trzymałem w kaburze. Las nie był zbyt gęsty, ewentualne niebezpieczeństwo zauważyłbym odpowiednio wcześniej.

W powietrzu czułem chłód. Może to skutek późnej jesieni, a może zimno nadciągające od strony polskich równin. Ostrawa, cel mojej podróży, znajdowała się na głębokim cyplu wgrzającym się w zamarznięte i niezamieszkane ziemie niczyje.

Wciągnąłem głęboko powietrze. Już nie byłem pewny, czy idę dobrym tropem, a nie chciałem drugi raz korzystać z lornetki. Odwróciłem się w kierunku, z którego przyszedłem, i w żółtych koronach drzew dostrzegłem ciągnącą się kilka metrów nad ziemią ciemną kreskę. Ułamałem gałąź ze szerniałymi liśćmi. Była zupełnie sucha, martwa. Zabójcze duchowo empatyczne zwierciadło było niebezpieczne nie tylko dla zwierząt, ale również dla drzew. Dość niecodzienne zjawisko.

Teraz, kiedy wiedziałem, na co patrzeć, szło mi dużo łatwiej. W końcu dotarliśmy do łąki otoczonej z jednej strony pionową skalną ścianą, a z pozostałych trzech rzędami jaworów. To nie była poręba, lecz naturalna łąka. W tak lichej i kamienistej glebie drzewa na pewno nie dałyby rady się zakorzenić.

Micuma zarżała. Ja również to poczułem - duch był gdzieś blisko. Bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania odciągnąłem kurek Zabójcy i zacząłem ostrożnie obchodzić łąkę. Pod wysokim dywanem listowia, który miejscami sięgał aż po kolana, kryły się wielkie głazy.

Sygnal dochodził z samego środka łąki. Nie widząc innych zagrożeń, wyszedłem na otwartą przestrzeń. Duch znajdował się właśnie tam, nagle niemal niewidzialny. Unosił się zaledwie kilkanaście centymetrów nad ziemią. Już nie emanowała z niego groza, przeciwnie, sam się trząsał ze strachu. Nachyliłem się nad nim, żeby sprawdzić, czy nie rozpoznam struktury, która pozwoliłaby mi stwierdzić, co to jest. Zadrżał, poczułem przepływ energii, potem uczucie interakcji ustąpiło i za chwilę niematerialne ciało ducha zaczęło się rozrywać na strzępy, aż w końcu nic z niego nie zostało.

- Zabiłeś to - stwierdziła Micuma. - Przeraziłeś na śmierć.

Popatrzyłem na nią, ale nic nie powiedziałem. Pewnie miała rację - odwróciłem atak ducha, odbiłem to, co sam posłał w moim kierunku, on zaś ponownie sięgnął do

mojego wnętrza. Dobrze, że się nie przekonałem, co tak naprawdę kryje się w zamkniętej części mojego ja. Też mógłbym tego nie przeżyć.

- Rozbijemy się tutaj. Lepszego miejsca nie znajdziemy - zdecydowałem.

Rzuciłem plecak na ziemię i zacząłem uwalniać Micumę z uprząży.

* * *

Odgarnąłem trochę liści i przyniosłem chrust na ognisko. Micuma w tym czasie włóczyła się po okolicy, szukając czegoś bardziej soczystego od owsa, który mieliśmy ze sobą. Niebo szarzało, noc zapowiadała się bezgwiazdna. Nie żeby mi zależało na oglądaniu jakichś konstelacji, ale byłby to godny zapamiętania widok w tym ponurym kraju.

- Jesteś pewien, że to dobre miejsce na nocleg? - Micuma wyrwała mnie z rozważań, czy na kolację zaserwować suszoną wołowinę, czy suszoną wołowinę. Miałem też puszkę mleka skondensowanego, ale trzymałem ją na gorsze czasy.

Coś odkryła i w ten sposób dawała mi do zrozumienia, że nie jest zadowolona z wyboru miejsca na obozowisko.

- No jestem - odpowiedziałem, ale posłusznie wstałem i ruszyłem w kierunku, z którego dobiegał jej głos.

Czekała na mnie w półmroku na łagodnym zboczu zaraz za pierwszymi drzewami okalającymi łąkę. Nie musiała nic mówić. Nie było tam żadnych krzyży, żadnych nagrobków, a mimo to nie miałem najmniejszych nawet wątpliwości, że w środku lasu znajduje się cmentarz. Zadano sobie wiele trudu, by nie dało się go zbyt łatwo odnaleźć, lecz rozpadowa esencja duszy unosiła się wszędzie dookoła, intensywna jak smród piżmaka. Intensywna dla mnie i dla mnie podobnych.

Wróciłem po saperkę, jeden z bardziej zbytecznych elementów ekwipunku, ale od czasu do czasu przydatny. Wybrałem najbardziej oddalony grób, gdzie esencja duszy była niemal niewyczuwalna. Nie chciałem, żeby ni stąd, ni zowąd wyskoczył na mnie rozwścieczony nieboszczyk.

- Nie nazwałabym tego najszcześniejszym pomysłem, ale nie będę cię od niego odwozić - zaznaczyła Micuma, przyglądając się, jak w gęstniejącym mroku kopię w glinie.

- Cmentarz pośrodku lasu jest dziwny, świeży cmentarz jeszcze dziwniejszy. A jeśli dodać do tego ducha, który nas omal nie zabił, i ten mały konwój... - nie dokończyłem, kopałem dalej.

Po bardzo długiej przerwie Oko w końcu raczyło nawiązać ze mną współpracę, włączyło tryb nocny i przekazywało obraz wyjątkowo wysokiej jakości. Ściemniło się, w powietrzu unosiła się mroźna wilgoć, która rano zmieni się w szron i pokryje szeleszczący dywan. Wreszcie wygrzebałem nieboszczyka - raczej mumię niż porządnego trupa. Nie zgnił nawet przy panującej w lesie wilgoci, drobne gryzonie ani czerwie nie nadźarły go zbyt. Sztywne, zasuszone mięso przy najdelikatniejszym dotyku odpadało i odkrywało kości. Specyficzne, zniekształcone narostami nowotworowymi, w niektórych miejscach zwężone. Wydawało się, że nie uniosą ciała.

Wyskoczyłem z dołu i jeszcze przez chwilę przyglądałem się ciału z pewnej odległości. Jaśniejsza od reszty szkieletu czaszka dziękowała za poświęconą jej uwagę krzywym uśmiechem.

- Jesteś zadowolony?

- Tak. Cokolwiek tu się wydarzyło, ci martwi są szczęśliwi, że mają to już za sobą. Żaden z nich nie będzie nam przeszkadzał.

Zostawiłem grób rozkopany i położyłem się spać tak, jak stałem, z rękoma aż po łokcie umazanymi gliną.

* * *

Ranek był dokładnie taki, jak przewidywałem. Czubki palców u nóg miałem zgrabiące i obolałe z zimna. Tym razem nie rozpałem ogniska, ruszyliśmy w drogę najszybciej, jak się tylko dało. Dopiero przy pierwszym potoku zatrzymaliśmy się na skromne śniadanie - dla mnie suszona wołowina, dla Micumy garść trawy okraszona dwoma zmarzniętymi jabłkami.

Potem w milczeniu, ostrożnie zjeżdżaliśmy z grani w kierunku północnym. Za następnymi dwiema albo trzema dolinami - moja mapa była stara i miejscami nieczytelna - góry kończyły się, a za nimi powinna się otwierać wygodna droga aż do Ostrawy, o ile nie powstał tam nowy lodowiec.

Za pralą rozciągała się bezbrzeżna łąka, na której to tu, to tam rosły pojedyncze drzewa. Sto metrów niżej i kilka kilometrów dalej rozpościerało się zielone morze. To znaczyło, że ciągle byłem daleko od siedlisk ludzi, którzy wypasiliby tutaj stada bydła lub owiec. Micuma spojrzała w lewo i zachwiała się. Wystarczyła mi mała podpowiedź. Na starym, na wpół spróchniałym świerku siedział duch. Nie, „siedział” to złe słowo. Unosił się nad zielonym klinem igliwia, skulony, całą uwagę, jeśli można o czymś takim mówić w przypadku duchów, skupiał na

środku łąki. Był duchem tego samego gatunku co ten, który mnie wczoraj omal nie zabił. Ale kiedy człowiek przeżyje ich pierwszy atak, każdy następny to już tylko łaskotki. Ten duch nie był nami zainteresowany. Spojrzałem w drugą stronę - kilkaset metrów dalej siedział jego bliźniak.

- Założę się, że na skraju lasu czatuje ich dużo więcej - zauważyłem cicho.

Mimo to duch mnie usłyszał. Sparaliżowany strachem obserwowałem, jak spogląda w moim kierunku, rozpina skrzydła wspomnień i uczuć. I nagle przestałem go w ogóle interesować, znowu gapił się przed siebie.

Rozejrzałem się. Łąka obniżała się na początku łagodnie, potem bardziej stromo i znowu łagodnie. Spod skarpy unosiło się kilka słupków dymu, a pośrodku leżała wioska. Duchy najwyraźniej sprawowały nad nią pieczę.

- Cofnijmy się kawałek do góry i omińmy wioskę - zaproponowałem Micumie. - Nie musimy mieszać się do wszystkiego.

- Doskonale - na wpół powiedziała, na wpół zarżała. - Wprost genialny pomysł.

Nie ma to jak zgodzić się z własnym koniem.

Skraj lasu nie był najlepszy na wędrówki, szliśmy wolniej, niż zakładałem, ale nie przeszkadzało mi to specjalnie. Miałem przyjemne uczucie, że omijając wioskę, unikamy wielkich problemów, które czaiły się na nas na każdym kroku. W pewnej chwili uaktywnił się sygnał oznajmiający, że duch udał się na łowy. Na szczęście to nie ja byłem zwierzyną. Co prawda już wiedziałem, jak sobie poradzić z takim stróżem, ale i tak przeszły mnie dreszcze. Zamiast odpocząć, dalszą godzinę przebijaliśmy się przez las. Dopiero późnym popołudniem zdecydowałem się ogłosić ostatni odpoczynek przy wodospadzie. Słońce nie grzało już zbyt mocno. Wyszliśmy po kąpieli i zaczęliśmy się szykować do dalszej drogi.

Zaszeleściły liście. Po stromym zboczu do doliny sturlał się człowiek. Margaret i Zabójcę zostawiłem w kaburach, o Greysonie nawet nie pomyślałem. Ten facet i tak był już w połowie drogi między życiem a śmiercią - wychudzony na wiór, wąskie, bezkrwiste usta odsłaniały ledwo zakorzenione w pokrwawionych dziąsłach zęby, ręce od łokci w dół pokryte wrzodami. Ubrany jak nieboszczyk, którego za chwilę mieliby wystawić w trumnie.

- Niech nam pan pomoże, błagam! - Wyciągnął do mnie ręce, zrobił dwa kroki i zatrzymał się, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak straszny musi przedstawiać widok.

Ucieleśnienie powolnej i potwornej śmierci. Poczulem smród z jego gnijących ran. Micuma cofnęła się o kilka kroków. Delikatnisia.

- Niech nam pan pomoże, błagam!

Jedno oko miał pokryte bielmem. Kąciki ust drgały mu jak człowiekowi, który balansuje na granicy poczytalności. Drugie oko obserwowało mnie z niemal hipnotyzującą zawziętością.

Liście znów zaszeleściły. Słyszałem, jak się zbliżają - cztery, pięć, może sześć osób - ale udawałem, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Mężczyzna jednak wiedział, że tam są, widziałem to w jego zdrowym oku. Zachowywał się jednak, jakbyśmy byli sami.

- Niech nam pan pomoże, błagam! Oni, oni... - zaciął się, jakby nagle zabrakło mu słów.

Wyłonili się zza drzewa i na wpół nagich krzaków dzikiej róży. Widziałem dokładnie wielkiego siepacza z metalowymi ochraniaczami na przedramionach, ciężkim karabinem w prawej ręce i wyrazem rozbawienia na twarzy. I drugiego mężczyznę, mniejszego, z rybimi oczami. Nie trzymał żadnej broni, ale do prawego biodra miał przypięty zamkiem błyskawicznym subkompaktowy automat.

- A więc to ty uciekłeś - odezwała się kolejna postać gdzieś na granicy mojego pola widzenia. - Kto by przypuszczał.

- Niech nam pan pomoże!

Z tej rozpaczliwej prośby ulotniła się już wszelka nadzieja.

Szczęknął zamek automatu. Podeszedłem kilka kroków, spojrzałem umiarkowanie w oczy. Był blady, a teraz zrobił się wręcz siny.

- Spróbuj jeszcze raz, kolego. Może tak będzie ci łatwiej. - Z całej siły kopnąłem go w klatkę piersiową. Trafiłem w mostek, piętą dodałem jeszcze trochę rotacji. Wyleciał w powietrze niczym szmaciana laleczka, upadł na plecy i już nie wstał. Po jakimś stuleciu dał się słyszeć wydech i bulgot krwi w gardle.

W kopaniu martwych byłem jednym z najlepszych.

- Dobrze - powiedział siepacz z ochraniaczami. - Trochę niżej i rozprułyś bebechy, trochę wyżej i poharatałyś krtań.

Nie potrafiłem określić, czy w jego głosie brzmi drwina, czy podziw. A może jedno i drugie.

- Bardzo uważałem, w końcu nie należy do mnie. Nie chciałem uszkodzić waszego majątku - odpowiedziałem szorstko i jednocześnie dyskretnie się rozejrzałem.

Było ich sześćoro, w tym kobieta. Wszyscy uzbrojeni po zęby; typki wynajmowane do roboty gorszej niż brudna. Jeden z nich był jeszcze większy od tego, który ze mną rozmawiał. Wyglądał tak potężnie, że aż nienaturalnie.

- Zabiję go - powiedział z dziwnym dzieciennym entuzjazmem i zaskakująco zwinnie zbliżył się do na wpół martwego nieboraka leżącego na ziemi.

Potem powtórzył moje kopnięcie, zrobił to jednak ze zbyt wielką siłą i rozmachem. Łatwo było przewidzieć efekt. W ten sposób każdego pozbawiłby głowy albo roztrzaskał klatkę piersiową.

- A kto to posprząta? - zapytał mężczyzna z rybimi oczami.

Był mózgiem grupy. Zdradziły mi to spojrzenia pozostałych.

- Dwig odeskortuje go do wsi, a ty, Marty, będziesz pilnował Dwiga. Nie chcę, żeby znowu skalał się kobietą, jasne?

„Skalał kobietą” - dziwne sformułowanie. Co miał na myśli?

Marty był roslym chłopem w goglach, sądząc po oprawkach, nie zwykłych, lecz takich, które pozwalały nawiązać łączność z komputerem albo jeszcze lepszym urządzeniem. Kolejny członek bandy - wychudły facecik o końskiej twarzy - w przeciwieństwie do swych kompanów nie miał ubrania w barwach maskujących, tylko skórzane spodnie, kurtkę i krótkie poncho zarzucone na ramiona. Był uzbrojony w karabin z bardzo pojemnym magazynkiem oraz masywny nóż zawieszony przy pasie. Tropiciel, rozszyfrowałem go natychmiast. I ostatnia z szóstki - kobieta. Gdyby nie obcięte nożem włosy, podkrążone oczy i permanentne zmęczenie wyryte w każdym rysie twarzy, mogłaby uchodzić za całkiem ładną. Sposób, w jaki trzymała automatyczną śrutówkę, trochę podobną do Margaret, zdradzał, że lubi strzelać i jest szybka.

- Marty?

Szef zwrócił się do Tropicielea.

- Widzę, jasna dupa, widzę. - Z obrzydzeniem zbliżył się do nieprzytomnego mężczyzny i małą łopatką zaczął sypać do woreczka igliwie i glebę z bezpośredniej bliskości jego ust.

Może ciekła z nich krew, ale nie byłem pewny. W ogóle nie miałem pojęcia, dlaczego Tropiciel to robi.

Zapaśnik i kobieta zawinęli wieśniaka w płachtę, prostolinijny olbrzym przerzucił go sobie przez ramię i prowadzony przez Marty'ego ruszył od razu w stronę łąki, dokładnie tam, skąd unosiły się słupki dymu.

Spojrzałem na Rybiookiego najpierw z ukosa, a potem wprost. Prawą rękę miałem tylko centymetr od wygładzanej przez lata rękojęści Margaret. Jeśli chcieli ze mną skończyć szybko i bez robienia bałaganu, właśnie przyszedł na to czas.

Rybiooki kiwnął głową, jakby właśnie doszedł do jakiegoś wniosku.

- W tych lasach człowiek codziennie kogoś spotyka - zauważył. - Może byśmy tak usiedli i zamienili kilka słów?

Z pewnością dzielił ludzi na tych, którzy pożerają, i na tych, którzy dają się pożerać. Z pewnością mieliśmy wiele wspólnego. Był ostrożny. Chciał wiedzieć, co mnie tu sprowadza. Dwoje z nich odeszło, pozostałych miałem w zasięgu wzroku. Jak na mój gust, jeśli miało dojść do strzelaniny, to był idealny moment.

- Dlaczego nie, nigdzie się nie spieszę. Zamierzałem ominąć te góry, ale na wschodzie coś się ostatnio działo i cudzoziemcy nie są tam teraz mile widziani. Postanowiłem pojechać na skróty.

- Idziemy do obozu? - chciał wiedzieć Siepacz. Rybiooki posłał mu zabójcze spojrzenie.

- Kawalek dalej jest dobre miejsce. Tam możemy się rozbić - podsunął Tropiciel.

Nie spojrzał przy tym na żadnego z nas, jego oczy były rozbiegane, tak jakby nieustannie czegoś szukał.

Z oddali dobiegł głos jastrzębia, odpowiedziały mu następne.

- Młode opuszczają matkę. Zima tuż-tuż - powiedział bardziej do siebie, niż żeby kogokolwiek poinformować.

Nie chcieli mi pokazać, gdzie mają stałe obozowisko. Wcale im się nie dziwiłem.

Tropiciel podszedł do młodego jaworu i zrobił nożem kilka nacięć w korze.

- Musimy iść. Marty nas znajdzie.

- Zrozumie ten znak? - zapytał pełen obaw Siepacz.

- W przeciwieństwie do ciebie, tak - odezwała się kobieta.

Głos miała równie zaniedbany jak wygląd. Stwardniały, z poszarpanymi szumami.

- O, Agnes! Dałaś głos pierwszy raz od tygodnia i od razu się wymądrzasz, co? - naskoczył na nią

Siepacz, ale pierwszy ruszył w kierunku przeciwnym niż prąd strumienia - prosto na ścianę ogołoconych z liści wierzby i leszczyn.

Rybiooki nie komentował tej sprzeczki. Pewnie pracowali ze sobą tak długo, że znali się już na wylot. Zerknął tylko przelotnie na Tropiciele i Agnes, po czym ruszył śladem Siepacza. Ufał swoim ludziom - zakładał, że oni trafią mnie szybciej, niż ja

trafię jego, gdybym postanowił spróbować. Nie miałem jednak powodu, by to robić. Byłem ciekawy i chciałem zdobyć kilka informacji.

Tropiciel miał rację. Kawalek dalej, za skałą, strumień biegł parowem szerszym niż gdziekolwiek indziej. Strome zbocze chroniło przed nagłymi porywami wiatru i spadającymi ze zboczy gałęziami, wyłobienia po ostatnich deszczach pokazywały, którądy spływa woda. Sądząc po osmalonych kamieniach porozrzucanych dookoła, ktoś całkiem niedawno tutaj obozował.

- Dzisiaj zrobimy sobie wolne - ogłosił Rybiooki, gdy dotarliśmy na miejsce.

- No, ten miernota Krug już pojechał. Zasłużyliśmy sobie - zgodził się Siepacz.

Udawałem, że nie usłyszałem tej uwagi, Rybiooki uważnie mi się przyglądał. Siepacz z pewnością jako jedyny mógł zdradzić ich sekrety.

Pół godziny później ognisko już płonęło, ludzie rozpakowywali bagaże - wodoodporne śpiwory wojskowe, obtłuczone garnuszki na kawę i inne drobiazgi. Siepacz zaczął przegląd broni. Miał jej zatrzęsienie, wspaniale utrzymane egzemplarze z czasów tuż przed Krachem albo zaraz po nim.

- Chyba od dawna jesteście w lesie, co? - zacząłem rozmowę.

Rybiooki przytaknął.

- Pracujemy dla właścicieli kilku pobliskich wiosek. Tutejsza okolica jest kompletnie dzika, ludzi natychmiast by coś pożarło, a ktoś musi przecież uprawiać pola.

- Albo by uciekli.

- No właśnie, nikomu nie chce się tyrać - zgodził się ze mną Siepacz.

Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, napięcie ustąpiło. Agnes wyciągnęła z plecaka zwiniętą termobieliznę i zaczęła ją prać na kamieniach w potoku.

Na dole coś chlupnęło, trzasnęła złamana gałązka. Nagle wszyscy mieli w dłoniach broń, Siepacz schował się za drzewem, Agnes w cieniu wystających leszczyn, Rybiooki został tam, gdzie siedział.

- Marty z Dwigiem wracają - powiedział spokojnie Tropiciel.

Z prędkością możliwą tylko w montażu filmowym wszyscy wrócili do przerwanych czynności.

- Masz ładną klacz - stwierdził Rybiooki. - Pewnie nie jest na sprzedaż - dodał.

Na końcu parowu pojawili się Marty i Dwig, który taszczył ogromną, ciężką pakę. Szedł bardzo ostrożnie, z wywalonym na wierzch językiem, całą uwagę skupiał na każdym kroku.

- Nie, nie jest. To Mitsubishi.

Siepacz uśmiechnął się. Agnes skończyła pranie, nie zdejmując koszulki, ściągnęła stanik, a potem spodnie. Miała długie, zgrabne i umięśnione nogi, a na sobie proste, wysoko wycięte spodenki. Dwig zatrzymał się i zaczął gapić lubieżnie.

- Rusz się, do cholery, i zostaw ją w spokoju - popędzał go Marty, starając się nie patrzeć w stronę kobiety.

- No, niezła z niej cizia, ale ja bym się o nią nawet nie otarł - burknął Siepacz.

Agnes odwróciła się. Piorąc spodnie, zmoczyła koszulkę. Woda była zimna, pod cienką tkaniną brodawki rysowały się wyraźnie.

- Ty nie masz czym się otrzeć. A może chcesz się sprawdzić? - Wydeła wargi i przesunęła po nich językiem. - Chyba że się boisz...

Zamarłem. Siepacz, o dziwo, pozostał w cieniu.

- Przynieśliśmy coś do jedzenia i picia - Marty rozładował narastające napięcie. Dwig już wyciągał rzeczy z paki. „Coś do jedzenia” oznaczało kilka kilogramów porcjowanej dziczyzny, a „coś do picia” skrzynkę wódki z emblematem górskiego lodowca wyrytym na butelkach.

Agnes skrzywiła się pogardliwie w stronę Siepacza, a potem, rzuciwszy mi nieprzyjazne spojrzenie, odwróciła się z powrotem w stronę strumienia.

Nie mogłem przestać jej obserwować, zresztą nie ja jeden. Tylko Rybiooki nie miał z tym problemu.

- Mitsubishi? Oryginalny model, seryjny? - wrócił do poprzedniego tematu.

- Zgadza się.

Teraz Agnes nachylała się, prezentując nam tyłek i smukłe uda.

- Całkowicie fabryczna wersja, bez przeróbek i ulepszeń. Zwykle obniżają wydajność i wartość. Niestety, brakuje modułu reprodukcyjnego.

Nie zamierzałem zatajać danych technicznych. Rybiooki bez wątpienia miał już do czynienia z biobotami.

- Płodnych biobotów było raptem kilka, strasznie skomplikowana technologia. Nawet wojny się o nie toczyły. O ile mi wiadomo, nie ma już żadnego żywego egzemplarza - Marty wmieszał się do rozmowy.

Nie miałem o tym pojęcia.

Siepacz otworzył pierwszą butelkę i porządnie z niej pociągnął.

- Nie ma nic lepszego od przedkrachowych trunków - westchnął zadowolony.

Dwig też wyciągnął rękę po butelkę, ale Rybiooki go powstrzymał.

- Ty nie. Potem zawsze ci jest niedobrze.

Olbrzym zaczął marudzić jak małe dziecko, ale posłusznie usiadł i jął zawzięcie ostrugiwać kij nożem, który mniejszemu mężczyźnie mógłby służyć za maczetę.

Nalałem sobie średniego kielicha. Trunek rzeczywiście był pierwszorzędny. Agnes wróciła znad strumienia - na nogach buty, od pasa w dół owinięta w koc. Podałem jej swój garnuszek. Łyknęła dwie porządne porcje, głęboko wciągnęła i wypuściła powietrze.

- Dzięki - nagle jej głos stał się mniej chrapliwy, bardziej aksamitny.

A może tak mi się tylko wydawało. Siepacz popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział.

Gadaliśmy sobie od niechcienia, od czasu do czasu polewając, dorzucając do ogniska i opiekając mięso. Wypytywali, co godnego uwagi można znaleźć na południu, ja - co na północy. Starannie unikaliśmy wszystkiego, co mogłoby dotyczyć ich pracy. Zwykle głos zabierał Rybiooki, pozostali tylko coś domrukiwali. Prawie idylla - gdyby nie bróń, ukradkowe zerknięcia na boki i mnóstwo niedopowiedzeń.

Zawziętość Dwiga szybko minęła, odszedł trochę od ogniska i zaczął ćwiczyć. Nie była to żadna konkretna sztuka walki czy samoobrony, raczej seria niezależnych i niezwiązanych ze sobą elementów technik z różnych stron świata - każdy doskonale i gwałtownie wykonany przez bliskiego krewnego cyklopów.

- To debil, może nawet idiota. IQ około siedemdziesiątki - oceniła Agnes, oddając mi garnuszek z wódką.

Trzymała go tak, że nasze palce się zetknęły. Może wzruszali ją pozszywańcy, chłopcy z teleskopowym Okiem, Kleszczami i kręgosłupem, którego nie złamie nawet strzał z mózdzierza - nawet jeśli to ostatnie było tajemnicą, której nie zdradzałem kobietom na pierwszej randce. Ale już to, co widziała, wystarczyło, żeby nie zgodziła się pójść ze mną do łóżka.

Ponury, deszczowy dzień chylił się ku końcowi, nadchodził długi zmierzch pod zachmurzonym niebem.

Siedziała obok mnie z nogami wyciągniętymi w stronę ogniska, w jej szarych oczach odbijały się płomienie, a wypita wódka zmywała z twarzy obojętność.

- Za to potrafi doskonale naśladować. Jakby mu ktoś tę umiejętność wszczepił prosto do głowy - kontynuowała.

Zaczęło przyjemnie kropić, ale nasze obozowisko było dobrze osłonięte przed deszczem, a ogień grzał. Siepacz z nienawiścią obserwował trening Dwiga.

- Nie miałbyś szans - skomentował Marty, dostrzegłszy jego zainteresowanie.

Pił bardzo wstrzemięźliwie i czyścił rozebrany pistolet. Pełnił w grupie rolę specjalisty od spraw technicznych, być może także związanych z magią. Miał słabość do prostodusznego olbrzyma. Na swój sposób poświęcał mu więcej troski, niż wymagał tego Rybiooki.

- To debil. Rozwaliłbym go na kawałki - burknął Siepacz.

Ogień potrzaskiwał, wódki ubywało.

Ciemność zapadała coraz głębsza, ale my mieliśmy dostatecznie duże zapasy drewna, żeby siedzieć tak do późna, zanim uspi nas zmęczenie i alkohol. Liczba opróżnionych butelek sugerowała, że nie spróbują mnie zabić tak od razu. Raczej dopiero nad ranem, kiedy jeszcze będę spał.

Agnes położyła głowę na moim ramieniu i naląła kolejny garnuszek wódki. Tym razem bardzo niewiele wypilem. Chciałem sobie poużywać i nie stracić kontroli.

- Już mnie to nudzi. Zbyt długo tu tkwimy, mam po dziurki w nosie tego wszawego kraju i tych cuchnących, rozmokłych gór. - Siepacz zaczął nagle kłąć.

Z pewnością upił się na smutno.

- Cuchnący, dogorywający ludzie, których człowiek boi się dotknąć, cuchnący Krug, który chce dostać wszystko dokładnie co do minuty, nawet jeśli mielibyśmy się przez niego posrać. I żadnych kobiet, żadnej porządnej zabawy.

- Masz kontrakt - zwrócił mu uwagę Rybiooki.

- Taaa, bo ciebie obchodzi tylko kontrakt - odciął się Siepacz. - Ty po prostu chcesz do Genewy. Zrobisz wszystko, żeby się tam dostać.

Bajkowa Genewa, miasto ukryte daleko w lodzie, tam gdzie żyją tylko nieśmiertelni bogacze. Słyszałem o nim już wiele opowieści, ale wierzyłem w nie tak samo, jak w opowieści o Złotym Runie.

Agnes ugryzła mnie w ucho i podetknęła garnuszek.

Odrzuciłem go, a ją przyciągnąłem do siebie, wsuwając ręce pod kurtkę, którą miała zarzuconą na ramiona. Poczulem gorąco jej giętkiego, jędrnego ciała. Alkohol wszystkim rozwiązał języki, rozmowy zeszyły na naprawdę ciekawe tematy. W tej chwili jednak to nie informacji pożądałem najbardziej.

- Chodźmy kawałek dalej - zażądała Agnes.

Już dawno zapadł zmrok. Ogień oświetlał tylko najbliższe otoczenie, w ciemności lśniły puste butelki i oczy pijaków.

Z chrypiącym śmiechem Agnes zrzuciła buty. Podniosłem ją, przytrzymałem jedną ręką, a drugą wziąłem derkę, na której siedzieliśmy.

Ktoś coś do nas powiedział, kiedy odchodziliśmy, ale nic nie rozumiałem. Wiedziałem dokładnie, dokąd z nią pójdę, upatrzyłem sobie to miejsce już wcześniej.

Z dala od ogniska było znacznie chłodniej, ale nie zwracałem na to uwagi. Rzuciłem derkę na ziemię. Agnes objęła mnie długimi nogami, rękami rozpięła kamizelkę. Ledwie usiadłem, dobrała się do moich spodni. Przesunąłem ją sobie na krocze, kąsała mnie po uszach. Miała małe, jędrne piersi, czułem, jak brodawki pęcznieją w moich ustach. Odnalazła dłonią mój członek i dosiadła go. I znowu. Wiedziałem, że długo tak nie wytrzymam, ale nie miałem siły jej tego zabronić. Jeszcze raz. Tuż przed ejakulacją ścisnęła go z całej siły u samej nasady. Prawie zaskowyczałem, ale nie puściła, dopóki nie skończyły się konwulsje rozkoszy zmieszanej z niezaspokojeniem.

Nie wiedziałem, czy mam się upajać błogością, czy wyc z niezadowolenia.

Położyłem się, chwyciłem Agnes za biodra i przyciągnąłem tak, żeby dostać się językiem między jej uda. Krótko ostrzyżone włosy łonowe łaskotały w twarz, drapały w język. Zostawiła mnie w spokoju tylko na chwilę, a potem chwyciła penisa i zaczęła ssać. Im bardziej jej dogadzałem, tym ostrzej mnie pieściła i tak dotrzymywaliśmy sobie kroku. Znowu zawiodła mnie prawie na samą granicę, ale przeszkodził jej własny orgazm. Pieściłem ją, aż po serii gwałtownych westchnień zwiotczała z wyczerpania. Dopiero potem wyslizgnąłem się spod niej, uklęknałem i wszedłem w nią od tyłu.

Wraz z zadowoleniem i zmęczeniem wrócił mi rozsądek. Gdyby jednak postanowili mnie zabić, nie usłyszałbym ich ani nie zobaczył. Robota okazałaby się równie trudna co skręcenie karku kurczakowi.

Agnes przeturlała się na plecy, chwyciła mojego obwisłego i śliskiego penisa, wpełzła pode mnie i objęła nogami. Znowu zacząłem sztywnieć.

Następny stosunek był jeszcze bardziej dziki, spontaniczny, jakbyśmy walczyli o dominację. Nie pozwoliłem już sobie na całkowite zapomnienie o otaczającym świecie, spodziewałem się, że lada moment usłyszę kroki i pojawi się ktoś z obuchem. Może dzięki temu seks dawał mi jeszcze więcej satysfakcji, niż się spodziewałem, a jednocześnie na tyle się kontrolowałem, że nie dopuszczałem do głosu ciemnej strony mojego ja, chociaż Agnes nieświadomie pobudzała ją i syciła bardziej niż bardzo.

W końcu zasnęliśmy, przylepieni jedno do drugiego pod cienkim kocem. Agnes miała twardy sen, oddychała równo i głęboko; ja tylko drzemałem. Teraz powinni przyjść. Ze względu na Micumę albo informacje, które niechcący zdradzili. Nie było ich wprawdzie dużo, ale najemnicy zachowywali daleko posuniętą ostrożność - albo popadli w paranoję, skoro opłacało im się zabić samotnika takiego jak ja. W końcu zapadłem w czujny sen niczym dzikie zwierzę gotowe zerwać się w każdej chwili.

Pomyliłem się. Obudziły mnie usta i ręce Agnes. W jej ruchach było jeszcze więcej pożądania niż na początku, jakbyśmy wcześniej w ogóle się nie kochali albo jakby dopiero teraz miała zamiar kochać się ze mną naprawdę. Jej zwierzęca namiętność znowu mnie podnieciła. Agnes zdarła ze mnie koszulę, próbowała ściągnąć nawet rękawicę z Kleszczy, ale jej na to nie pozwoliłem.

Czasami, zwłaszcza w chwilach wielkiego napięcia, moja Ręka robiła rzeczy, które bardzo mi się nie podobały. Nie chciałem zranić Agnes. Nie chciałem, choć może ta część mojego ja, która nie była całkiem mną, ale której nie mogłem się pozbyć, chciała.

Zanim Agnes zdążyła przejąć inicjatywę, przyciągnąłem ją do siebie i zacząłem laskotać językiem po udach, stopniowo zbliżając się do łona. Kilka razy naprężyła się z podniecenia, potem rozluźniała. Czułem jej słony zapach. Skosztowałem jej, puściłem i położyłem dłonie swobodnie na biodrach. Przez dłuższą chwilę tak leżała i rozkoszowała się minetą.

Po pożądaniu nie został nawet ślad, nie miałem już żadnych potrzeb. Przeżywałem samo dawanie, bez poczucia, że coś bym za to chciał.

Potem Agnes przesunęła się, ostrożnie mnie dosiadła i w tempie wolnej jazdy unosiła się i opadała. Trzymałem ją za biodra i czekałem. Podniecenie pomалу rosło, bezsensownie leniwe i uspokajające. Potem w jej ruchy znowu wkradło się pożądanie, ekscytacja, pragnienie...

Odchyliłem głowę, wygiąłem plecy w łuk - ostrze zaledwie przejechało po mojej klatce piersiowej, zamiast ją rozharatać. Natychmiast uniosłem się i dostałem w czoło. Agnes krzyknęła, zaląła mnie wilgoć jej orgazmu, a potem krew. Kleszcze wyrwały się z rozpiętej rękawicy i przebiły kobietę na wylot. Oko pokazało mi szczegółowy szaroniebieski obraz jej twarzy wykrzywionej orgazmem, ekstatyczną żądzą i pragnieniem śmierci. Agnes kochała śmierć i udrękę swoich kochanków.

Drgnęła po raz ostatni, doprowadzając mnie do orgazmu. Z jej oczu zniknęło życie, aż w końcu została w nich już tylko pustka.

Trzymałem ją wciąż na sobie - nie kobietę, lecz stygnące ciało.

Z dziwną ulgą pomyślałem, że nawet nie zdążyła się zorientować, co właściwie się stało. Ostatnie, czego zaznała w życiu, to idealne zaspokojenie tych mrocznych zachcianek, które prowadziły ją drogą kończącą się tu, w chmurnych beskidzkich pralaszach.

- Już go zaliczyła - dobiegł mnie głos spitego Siepacza. - Słyszałem ich.

- Wyglądał rozsądnie, powinien być ją przejrzeć... Ale który chłop nie zgłupieje, kiedy zobaczy takie nogi? - przytaknął Rybiooki. - Albo cycki? - dodał w zamyśleniu.

- Kto bierze Micumę? - chciał wiedzieć Siepacz, zachlupotała nalewana wódka.

- Sprzedamy ją. Ja dostaję dwie części, Agnes dwie, pozostali po jednej.

- Dlaczego Agnes dwie?

- Bo go zabiła.

Nadal trzymałem ją na sobie, żeby nie spadła. Krew z rany w klatce piersiowej ciągle płynęła gorącym i dziwnie pomału słabnącym strumieniem. Byłem nagi, moje ubranie walało się bóg wie gdzie. Gdyby się dowiedzieli, że to nie ja zginąłem, szybko by ten błąd naprawili. Jednak nie to było najgorsze, lecz to, że nie miałem ochoty uciekać, ponieważ - ponieważ...

- Nie znoszę tego, co robi potem - burknął Siepacz. - Jak ich ujeżdża do rana i tak dziwnie przy tym wzdycha. Myślałem, że jak chłop kipnie, to fujara też mu klapnie.

- To ty nic nie wiesz? - odezwał się Marty. Sądząc po głosie, też już był podпиты.

Nie chciałem uciekać, żeby ratować życie - nienawidziłem się, ponieważ to, co się właśnie stało, podobało mi się. Podobało się tej części mojego ja, którą zamykałem i której się obawiałem; demonowi, z którym dzieliłem jedno ciało i jeden umysł. Tak, przypadł nam do gustu ten śmiertelny stosunek. Strasznie mu-mi się podobała i wiedziałem, że teraz będzie-będę coraz bardziej pragnął znowu dostać to, co tak lubi-lubię. Nienawidziłem siebie.

Mój penis w końcu opadł i wysunął się ze zwłok Agnes.

Skóra zbryzgana krwią była strasznie śliska. Wiedziałem, że jej długo nie utrzymam. Z największą ostrożnością zacząłem kłaść trupa na siebie. Krew, mazista, lepka krew połączyła nas po raz ostatni.

- Ma taki pręcik z supertwardego stopu z silikonową główką. Wbija im go w fiuta i może sobie używać aż do rana. Najbardziej lubi z zimnymi - bełkotał Marty, jakby był na granicy zaniku zdolności artykulacyjnych.

- Obrzydliwe - mruknął Siepacz. - Idę spać.



- Moment - zatrzymał go Rybiooki, a jego głos znowu brzmiał bardzo surowo. - Jutro, jeszcze przed świtem, muszę jechać coś sprawdzić. Mam dla was zadanie. Straciliśmy jednego ducha-strażnika. Jeśli ten facet przeszedł przez regularnie obstawiony krąg, może to się udać również komuś innemu. A my musimy oszczędzać ludzi, już i tak przekroczyliśmy dopuszczalny limit zgonów przy pracy. Jutro zrobicie z Martym nowego ducha i umieścicie go w pustym miejscu. Marty, masz jeszcze syntetyczne czary?

- Jeden - potwierdził technik. - Ostatni.

- Zameczyć chłopca to nic, ale zameczyć drzewo to już zapieprz - protestował Siepacz.

- Możesz to zostawić Dwigowi, ostatnio się przyglądał, poradzi sobie.

- No, zostawmy to kretynowi.

- A kiedy już skończycie, dołączycie do mnie. Wiecie gdzie.

W końcu udało mi się położyć Agnes na ziemi. Ku swojemu zdziwieniu nie czułem do niej nienawiści. Może dlatego, że byliśmy do siebie tak podobni; że byłoby lepiej, gdyby to ona wygrała.

Rozmowa przy ognisku pomału cichła, a ja jeszcze wolniej się ubierałem. Buty były najważniejsze. Potem oczywiście spodnie, koszula, kamizelka. Kiedy zaczynało świtać, podniosłem się i metr za metrem pomknąłem do góry jak najdalej stąd. Przy najcichszym szeleście liści cierpła mi skóra - w nawet najmniejszym stopniu nie lekceważyłem Tropicielea.

Dolina schodziła coraz niżej i niżej; zanikała zupełnie przed dwoma przewróconymi świerkami, gdzie strumień brał swój początek. Pomyślałem o drodze, którą miałem już za sobą, i po raz pierwszy od wielu, wielu godzin odetchnąłem głęboko, nie zastanawiając się zbytnio, czy ktoś mnie usłyszy.

- Znalazłem cię!

Zamarłem i pomału odwróciłem się w stronę, z której dobiegał głos. Wiedziałem, kogo zobaczę. Dziecinnej dykcji w męskim gardle nie dało się zapomnieć.

Dwig spoglądał na mnie z jamy po korzeniach wywróconego drzewa, celując z wielkokalibrowego karabinu, który wyglądał w jego dłoni jak zabawka. Na glinie obok siebie ułożył starannie pięć nabojów. Były dłuższe od szerokości mojej dłoni, stalowe końcówki odgrażały się srebrzystym blaskiem, a mosiężne łuski zdobiły magiczne diagramy. Miały wystarczająco dużą siłę rażenia, żeby mnie zabić, nawet gdyby Dwig

jakimś cudem nie trafił w serce albo głowę. Ale on nie popełniłby takiego błędu. Czulem śmiertelną nić łączącą mój byt z lufą jego broni.

- Ja ciebie też widzę - powiedziałem spokojnie. Ależ byłem głupi.

Czulem się nagi i bezbronny. Miałem tylko nóż poplamiony własną krwią.

- Posuwałeś Agnes - rzucił oskarżycielsko Dwig.

Zazdrościł mi.

- Ano posuwałem. Ale ona już nie żyje.

Dziecinny olbrzym wytrzeszczył oczy.

- Jak to?

Gestykulował jedną ręką, dziwnie poruszał głową to w lewo, to w prawo, ale karabin, który trzymał, ciągle był skierowany w odpowiednią stronę. Opisywanie, co dokładnie się stało, chyba nie miałoby wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

- Twój kompan... ten wielki, który cię nie lubi, zabił ją. Nie chciał, żeby ze mną była.

- Wielki? E tam! Wypierdek! - Zadarł dumnie nos. - Zabił?

- Zabił, od tyłu - przytaknąłem, kiwając przy tym głową, lecz nie spuszczać Dwiga z oczu.

Zaczął warczeć. Dźwięk rodził się gdzieś głęboko w jego gardle. Niemożliwe, by wydał go człowiek. Bardziej pasował do tygrysa szablozębnego.

Ze świerku spadła szyszka. Dwig odwrócił wzrok w jej stronę, lecz karabin nawet nie drgnął. W swojej ograniczoności był doskonały.

- Już jest martwa? Na zawsze? - upewnił się.

W jego głosie gniew mieszał się ze smutkiem i płaczącą bojaźnią.

- Tak. Na zawsze. Ale to jej nie bolało. Umarła szczęśliwa - dodałem wbrew sobie.

- Zadbalem o to.

- To dobrze - powiedział cicho i przez chwilę wyglądał jak normalny człowiek, który wspomina kogoś, kogo lubił. - Ale Vincent powiedział, że mam cię zabić, jeśli cię zobaczę.

- Vincent nie pozwala ci pić wódki - spróbowałem. Obym się nie mylił, zakładając, że Vincent to prawdziwe imię Rybiookiego.

- Nooo.

- Vincent nie pozwala ci chodzić na kobiety - ryzykowałem dalej.

- Nooo, Vincent jest na mnie zły. Lubię wódkę i lubię posuwać babki. Albo chociaż owce, jeśli są pod ręką - rozmarzył się.

Nie spuszczałem wzroku z ciemnego wylotu lufy karabinu. Dwig może i był kretynem, imbecylem albo debilem, ale świetnie panował nad nerwami i mięśniami. To, co chciałem zrobić, nie napawało mnie dumą, lecz nie miałem innego wyjścia.

- Vincent cię nie lubi, ciągle cię upokarza - rzekłem i poczekałem, aż przytaknie. - Ja ciebie lubię.

Przyglądał mi się badawczo, czułem, jak mnie analizuje nieludzkimi zmysłami. Ludziom brakuje inteligencji, by z nich korzystać.

Uświadomiłem sobie, że pierwsze, co Dwig zrobi, kiedy stwierdzi, że tak naprawdę go nie lubię, to pociągnie za spust. Podpuściłem go bardziej, niż zamierzałem. A więc jak? Lubię go czy nie?

- No, lubisz mnie. Tak, myślę, że tak - potwierdził w końcu.

- Zabij Vincenta. Jeśli ci się to uda, zaprowadzę cię do miasta. Będziesz miał własny dom i więcej wódki, niż dałbyś radę wypić do śmierci. A jeśli tylko zechcesz, kobiety będą się za tobą uganiać.

- Serio? - Wybałuszył na mnie dziecięce oczy w męskiej twarzy.

- Pewnie, załatwię to - obiecałem.

- Wierzę ci - przytaknął. Odłożył karabin na ziemię, wyskoczył ze swojej kryjówki i minąwszy mnie, ruszył w kierunku obozowiska.

Nie zdążyłem nawet zareagować - nagle odwrócił się na pięcie z niespotykaną u ludzi czujnością i znowu zademonstrował mi ciemny wylot lufy.

- Sprawdź jeszcze, czy nie kłamiesz - wyszczerzył się. - Nie, ty nie kłamiesz. Ja się na tym znam.

Zanim cokolwiek odpowiedziałem, zniknął gdzieś pomiędzy krzakami.

Ta rozmowa wykończyła mnie bardziej niż cała poprzednia noc. Usiadłem zmęczony, zgarnąłem pięć porzuconych naboju. Magia, która z nich emanowała, niemal parzyła, postanowiłem zatem odłożyć je na miejsce. Najrozsądniej byłoby jak najszybciej się stąd ulotnić, ale nie chciałem zostawić Micumy, Margaret, Greysona i Zabójcy, musiałem więc wrócić do obozu. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że najgłupsza decyzja to jednocześnie decyzja najwłaściwsza.

Nie wracałem doliną, zatoczyłem szeroki łuk. Sadziłem susy, czołgałem się przez otwarte tereny, a w miejscach dogodnych dla snajpera czekałem, czy gdzieś w pobliżu nie pojawi się nieprzyjaciel.

Około południa usłyszałem kilka wystrzałów, to wszystko. Wydawało mi się, że zostałem w pralesie sam, ale nie dałem się zwieść złudnemu poczuciu bezpieczeństwa i nawet w najmniejszym stopniu nie osłabiałem czujności.

Przejście jednego kilometra zajęło mi cały dzień; dopiero przy zachodzie słońca i tradycyjnym wieczornym deszczu dotarłem do celu. Ku mojemu zdziwieniu obozowisko nie było opuszczone.

Technik grupy, Marty, właśnie zasypywał ostatni z trzech grobów. Na umazanej gliną twarzy widać było wyraźne ślady łez. Miał w nosie ostrożność, karabin, który wcześniej u niego widziałem, zostawił zawieszony na gałęzi leszczyny trzy metry dalej. Wyszedłem z ukrycia i usiadłem przy dogasającym ognisku. Dopiero teraz mnie zauważył.

- Powinniśmy byli cię zabić. Wszystko by poszło inaczej - powiedział bez przekonania i rzucił kolejną łopatę ziemi do grobu.

- Możliwe - odparłem. - Co tu się stało?

- Dwig wrócił i zabił szefa - zaczął wyjaśniać. - Zabiłby i Gravesa, ale mu przeszkodziłem.

A zatem tak się nazywał Siepacz - Graves.

- Dwig jest jak duże dziecko. Nie odpowiada za to, co robi. A ja... - Marty mówił przez łzy.

Jakim cudem ktoś taki jak on trafił do tej zdziczałej bandy?

- Co się potem stało?

- Potem Graves zabił Dwiga. Zastrzelił go. Nigdy za nim nie przepadał.

A zatem zostali jeszcze Tropiciel i Siepacz. Broń leżała tam, gdzie ją wczoraj zostawiłem, ale nigdzie nie widziałem Micumy.

- Ano nie przepadał - przytaknąłem. - Co wy tu właściwie robiliście?

Marty dopełnił grabarskiej powinności i usiadł. Musiał się wygadać.

- Organizowaliśmy pracę i nadzorowaliśmy ludzi dla kogoś z Genewy. Szczegóły kontraktu znał tylko szef.

Na górze, koło skały, tam gdzie zabiłeś naszego ducha, jest magazyn paliwa nuklearnego. Szef otworzył fabrykę obrabiającą uran. Czysty materiał wysyłaliśmy regularnie do Genewy.

Czubkiem noża Agnes usiłowałem wydłubać drzazgę z dłoni i myślałem. To wszystko brzmiało sensownie. Jeśli Genewa, bajkowy raj najpotężniejszych superbogaczy, ciągle istniała gdzieś w alpejskiej lodowej krainie, nie mogła się obejść

bez ekstremalnie wydajnych źródeł energii, a do tego niezbędne były reaktory termojądrowe albo klasyczne. Raczej klasyczne, mniej skomplikowane - nawet teraz, po Krachu, ludzie potrafili je utrzymać na chodzie. Ale musieli skądś brać do nich paliwo. Najłatwiej było wydostać je ze starych magazynów elektrowni jądrowych. Nie zostało ich zbyt wiele, znalezienie jakiegoś przypominało szukanie igły w stogu siana.

- A te duchy? Do czego wam były potrzebne?

- Wykorzystywaliśmy je jako strażników. Oczyszczanie uranu to nie jest praca, którą ktoś chciałby dobrowolnie wykonywać bez pomocy nowoczesnej technologii - przyznał szczerze Marty.

Mnie ostatniemu kogokolwiek sądzić.

- Czarodziej Krug dał nam instrukcję, jak je produkować. Trzeba połączyć siłę duszy drzewa i duszy ludzkiej. Przy niewoleniu wystarczy przestrzegać kolejności działań i prawidłowej procedury syntezy. Nic trudnego.

- Wieśniacy są waszą siłą roboczą - zrozumiałem wreszcie. - A duchy ich pilnowały.

Marty skinął głową, jakby było mu już wszystko jedno.

- Zgadza się. Musieliśmy ich pilnować z dwóch powodów. Żeby nie uciekali i żeby śmiertelność nie była zbyt wysoka. Mimo tych wszystkich czarów promieniowanie zabijało ich zbyt szybko. W okolicy nie ma już żadnych odizolowanych wsi, skąd moglibyśmy pozyskiwać nową siłę roboczą. Gdybyśmy zajęli jakąś większą miejscowość, która ma łączność ze światem zewnętrznym, ktoś zacząłby się nami interesować, a tego chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć.

Poszczególne elementy układanki połączyły się w logiczną całość. Właściwie to nie była moja sprawa - wieśniacy, najemnicy, klientela w Genewie, wszystko to z wyjątkiem Agnes, choć tego akurat nie chciałem.

- Kim jest Krug? - zapytałem jeszcze, podchodząc do swoich rzeczy.

- Członkiem armii genewskiej. Szef chciał zdobyć wizę... Ja właściwie też. Tam ciągle potrafią wykorzystać większość przedkrachowych technologii. To... to jest raj...

W głosie Martyego brzmiała tęsknota.

Zapiąłem rzemień. Choć bezpośredni kontakt z Nożem nie był zbyt przyjemny, poczułem ulgę, kiedy znowu miałem go przy sobie.

- Uznałeś mnie za przygłupiego eksperta od zabawek technicznych. Więc jak to teraz z nami będzie? - odezwał się Marty zupełnie innym głosem.

- Nie rób głupstw - ostrzegłem go, nawet się nie odwracając. - Wezmę rzeczy i pójdę w swoją drogę. Nigdy więcej się nie spotkamy.

- Myślisz, że pozwolę ci odejść? - prawie krzyknął. - Po tym jak zdradziłem wszystkie tajemnice, które zrobiłyby ze mnie genewianina? Wystarczy, że przejmę kontrakt po szefie, i już jestem ustawiony!

Miałem w dupie Genewę, miałem w dupie bogactwa, paliwa, całe dziedzictwo minionych generacji. Kochałem się z kobietą, którą w szczytowym momencie seksualnego uniesienia zabiłem. Cóż, miałem na sumieniu wiele gorszych rzeczy, jednak przyjemność, jaką to sprawiło mnie albo mojemu drugiemu ja, była przerażająca. Straszna, obca część, którą ktoś we mnie uwięził, zażąda powtórki. Najgorsze, że inna kobieta - dziesięć, sto, tysiąc razy lepsza ode mnie - poświęciła własne życie, by mnie ratować. Umarła, ponieważ wierzyła, że ocaliłem ludzkość, że już raz zapobiegłem zagładzie. Srałem na ludzkość, srałem na wszystkich. Bałem się o siebie. Było mi żal Agnes, Hekate. Nie potrafiłem zrozumieć, jak to możliwe, że mężczyzna na zachlapanej krwią ilustracji, którą trzymałem bezpiecznie w kieszeni, to właśnie ja. R. C, Raymond Curtis. Co wyście z niego zrobili? W co go zamieniliście?

Wróciłem jednak do rzeczywistości.

- Marty, nie rób tego, naprawdę nie warto. Z pewnością nikogo jeszcze sam nie zabiłeś - próbowałem go ostrzec.

Własny głos wydawał mi się obcy. Zmęczony, wyeksploatowany i może właśnie dlatego taki przekonujący. Ale to nie wystarczyło.

- Sam nie, ale widziałem już setki umierających ludzi - odpowiedział.

Trzymał w dłoniach broń i palcem wskazującym szukał spustu. Wszystkie jego ruchy zdradzały nerwowość i nierozważność.

Nóż Agnes był wielki i ciężki, ale dobrze wyważony. Marty pociągnął za spust, ale kula przeszła obok, trafiając w ziemię obok mojej lewej nogi. Próbował strzelić jeszcze raz, zorientował się jednak, że nie ma na to siły. Automat wyślizgnął mu się z ręki. Marty ze zdumieniem spojrzał na stróżkę krwi, która ciekła mu z piersi.

- A więc umrę - wycharczał i padł na liście. Brzmiało to niemal jak: „A więc w końcu umrę”.

Wykopałem czwarty grób, po prostu czułem, że muszę to zrobić. Opuściłem obozowisko, dopiero gdy zaczęło się ściemniać. Nabita Margaret w jednej kaburze, Zabójca w drugiej. A jednak czułem się dziwnie nagi i niemal osamotniony. Brakowało mi Micumy i Greysona. Choć za pasem miałem żadnego walki boga, bez

miotacza granatów byłem tylko w połowie mężczyzną. Kiepski żart. Ani trochę nie poprawił mi nastroju.

Wiedziałem, gdzie znajdę Siepacza - w pobliżu magazynu zużytego paliwa, czyli w okolicach poręby i starego cementarza. Nikomu nie chciałoby się przecież taszczyć w tę i z powrotem niepotrzebne, napromieniowane trupy. Wczesny ranek to chyba najwłaściwsza pora na odwiedzin.

Rozbił się właśnie tam, gdzie podejrzewałem. Był tak pewny siebie, że nawet rozpalil ognisko i spał trzy metry od niego. Drugie, wciąż ciepłe miejsce świeciło pustkami. Micuma, przywiązana do drzewa w sposób, którego nie znosiła, zniesmaczona raczyła się rosnącymi nieopodal paprociami. Za nimi również nie przepadała. Greyson rdzewiał w oszronionej trawie i pewnie też nie był zadowolony.

Pozostałem w ukryciu, obserwując obozowisko i zastanawiając się, gdzie może kryć się Tropiciel. Oczywiście wszędzie. Był zbyt dobry, żebym go znalazł. Przemieszczał się niczym duch.

Nie chciałem jednak, by Micuma tak tam stała. Zbyt dobry, zbyt dobry, rezonowało mi w głowie. Nagle poczułem, że ktoś z tyłu na mnie patrzy. Przewróciłem się na bok i zobaczyłem go pięć kroków za sobą. Wysokiego, chudego mężczyznę stworzonego przez dzicz, w której żył. Nie miał nic w rękach, nie sięgnąłem po żadną broń.

- Ciężko ciębie zabić - rzekł cicho.

- No, ciężko - potwierdziłem.

- Wynajęli mnie jako tropiciela. Szef jest martwy, tym samym kończy się moja praca.

- Pewnie tak - przytakiwałem, ale jednocześnie uważnie śledziłem każdy jego ruch.

Może i był wspaniałym tropicielem i traperem, ale i tak za łatwo mnie zmylił. Coś mi w nim ciągle nie pasowało. Nie zostawiał śladów, człowieczeństwa też w nim nie było zbyt wiele.

- Zapłacili mi jednak. Nie mogę ich zdradzić, nawet tego ostatniego.

Zaczął sypać śnieg. Z nieba spadały drobne płatki, szeleściły w trawie i we włosach, czułem chłód, gdy roztopiały się w krople wody spływające po twarzy. Nagle było ich więcej, wirowały w powietrzu i wypełniały przestrzeń, przypieczętowując ostateczną kapitulację jesieni. Miałem je we włosach, na policzkach. Ale już nie topniały.

- Chcę tylko z powrotem klacz i broń, nic więcej - spróbowałem. - Ten facet w ogóle mnie nie interesuje.

Tropiciel słuchał.

- Poproszę go uprzejmie, a jeśli się zgodzi, odejdę.

- Brzmi uczciwie. - Skinął głową.

Czułem, jak mnie oplata, ocenia, przegląda na wylot. Zastanawiałem się, kim on jest, ale mogłem się tylko domyślać. Nowe wcielenie leśnego człowieka z przeszłości? Zmaterializowany duch, obrońca okolicy? Nieznana zjawia albo ktoś - coś zupełnie innego?

- Dotrzymuję słowa - dodałem.

Posłał mi pełne rozbawienia spojrzenie.

- Wiem - powiedział i rozpląnął się.

Przez chwilę oddychałem nieco szybciej niż zwykle, ale dosyć szybko udało mi się uspokoić. Ulotnił się, czyli nie chciał się mieszać. Najchętniej załatwiłbym Siepacza jednym strzałem w głowę, ale wtedy nie dotrzymałbym słowa. Dał mu je człowiek, bóg, pozszywaniec i bękart - ja. Wszedłem na porębę i pomału zbliżyłem się do ogniska.

- Wstawaj. - Czubkiem buta trąciłem chrapiącego Siepacza.

Wyskoczył ze śpiwora szybciej, niż wydawało się możliwe. Kopnięciem wytrąciłem mu pistolet z dłoni.

- Oddawaj Micumę i Greysona.

- Oszalałeś - zaśmiał się. - Wydaje ci się, że jak załatwiłeś Agnes i ogłupiłeś Dwiga, to możesz wszystko.

Załatwiłem Agnes, ogłupiłem Dwiga. Miał rację, choć wcale nie chciałem tego zrobić.

- Spieprzaj. Może daruję ci życie. - Źle zinterpretował moje wahanie.

- Oddawaj Micumę i Greysona - powtórzyłem.

Obiecałem, że poproszę uprzejmie.

- Jak to z nią robiłeś? Jak to było, kiedy ją ciąłeś?

Uderzyłem go. Normalnego faceta to by zabiło, jego uratował wzmocniony szkielet i ultraszybki refleks. Siepacz leżał na ziemi, krew z rozwalonej wargi rozmazał sobie po całej twarzy.

- Ty gnoju, ruszają mi się zęby - warknął.

- Oddawaj Micumę i Greysona - powiedziałem po raz trzeci. - Proszę.

Obiecałem, że poproszę uprzejmie. Ostatnie słowo zmieniało groźbę w prośbę.

Trzy razy wystarczy, według wszelkich zasad, czarów i zaklęć.

Zaśmiał się. Nagły ruch i już trzymał w dłoni sześciolufową spluwę.

- Obyś skończył w piekle, gnoju - wypowiedział życzenie i strzelił.

Właśnie stamtąd przyszedłem - przynajmniej miewałem takie wrażenie. Sześć kulek, jedna obok drugiej, trafiło mnie w brzuch. Padłem w konwulsjach na kolana, ale ostatkiem sił już unosiłem Zabójcę. Siepacz zachowywał się, jakby go w ogóle nie widział.

- Nie czujesz czaru, który w ciebie wpakowałem? Sporo za niego dałem, ale teraz widzę, że się opłacało. Żaden karabin, żaden pistolet, nic ci nie pomoże. Jedną krótką serią zmasakruję twój mózg i nic na to nie poradzisz.

Bez pośpiechu sięgnął po automat. Już czułem, jak magia wgryza się we mnie i zaczyna działać. To dlatego musiał strzelać z takiej lichej broni. I nie powiedział mi wszystkiego. Nie tylko nie mogłem używać broni, czar przegryzał się też przez moje wnętrzności aż do kręgosłupa.

- Ty zasrańcu - wydusiłem, przytrzymując dłońmi wnętrzności, które wypływały przez rany postrzałowe w brzuchu. - Nawet Dwiga byś nie pokonał w normalnej walce, musiałeś go zastrzelić.

- A zatem zmiana planów, gnojku - warknął Siepacz, odłożył broń i strzelił stawami w dłoniach, potem zrobił kilka wymachów ramionami, jakby rozgrzewał się na sali gimnastycznej. - Poużywam sobie trochę. Wytrzęsę z ciebie życie własnymi rękami.

To był dobry kopniak. Rozharatał mi brzuch jeszcze bardziej niż sześć jadowitych kulek wystrzelonych z bliska. Po kolejnym leżałem trzy metry dalej na plecach. Dolnej części tułowia w ogóle nie czułem, jakby ktoś mi ją odciął.

- Podoba ci się? Bo mnie bardzo! Zawsze chciałem wiedzieć, jak ta kurew to robi. - Przechylił głowę i znowu mnie kopnął. - Opowiesz mi, zanim zdechniesz.

Wziął zamach i czubem podbitego metalem buta kopnął mnie tak, że wzbilem się w powietrze. W brzuchu eksplodowała mi supernowa, po krótkim locie wylądowałem w błocie, padające płatki śniegu szeleściły w trawie coraz głośniej i głośniej. A może coś się stało z moim mózgiem. Tak, prawdopodobnie tak właśnie było.

- Mówiła, że nie masz jaj. Że wolałeś to robić sam niż z prawdziwą kobietą - wycharczałem.

- Ty gnoju! Zmiażdżę ci czaszkę!

Pochylił się, by spełnić groźbę, i znalazł się w zasięgu moich rąk. Złapałem go za skronie i strzeliłem z główki, zmieniając jego nos w krwawą plamę. Drugi raz, trzeci. Próbował mnie odepchnąć, ale trzymałem mocniej niż imadło i waliłem czołem, potem Okiem i znowu czołem. Siepacz młócił na przemian to pięściami, to łokciami, aż sikała ze mnie krew, lecz w porównaniu z bólem, które zadawał mi czar z nabojów, to były łaskotki. Nawet na chwilę nie przerywałem, aż wreszcie usłyszałem, jak jego czaszka pęka, zaczęła się z niej lać krew, a spomiędzy kości wypłynął mózg. Jednak Siepacz ciągle żył i szukał czegoś po omacku. Nic nie czułem. Patrzyłem, jak umiera, na odłamki kości wbijające się w mózg, który w końcu zmienił się w bezkształtny ochłap. A przecież już czuł się zwycięzcą. No cóż, robiłem znacznie gorsze rzeczy.

* * *

Ruszyłem w drogę dopiero po południu. W tym czasie spadło dobre dwadzieścia centymetrów śniegu. Zimno powstrzymało trochę krwawienie z brzucha i dzięki doskonałej regeneracji zacząłem dochodzić do siebie. Czar już się wyczerpywał, śmierć Siepacza go osłabiła. Wciąż jednak miałem wrażenie, że posłańcy śmierci, których pojawiło się niespodziewanie wielu, ciągle zastanawiali się, czy nie zabrać również mnie. Wystraszyłem jednego z nich drapieżnym uśmiechem i na razie dali mi spokój. Tymczasem Micuma przegryzła powróż i pełna troski krążyła wokół mnie. Może to ona przepędziła posłańców, nie ja?

Wieczór spędziłem przy ognisku, pod koronami trzech rosnących obok siebie świerków. Dochodziłem do siebie, coraz bardziej świadomy, że muszę szybko ruszać w drogę. Zginęło sześciu ludzi powiązanych z magazynami radioaktywnego paliwa. Może powinienem chociaż zerknąć na przedkrachowy skarb? Może znalazłbym coś, co by mi się przydało?

Z mapą zabraną Rybiookiemu i w goglach Marty'ego pokazujących radioaktywny przekrój okolicy, tak starannie dotychczas strzeżonej, w południe następnego dnia stanąłem przed drzwiami starego magazynu. Czułem pomału rozpraszające się dusze tych, którzy znaleźli tu śmierć. Na szyi przybył mi medalion ze specyficznego czerwonego materiału, który znalazłem przy Rybiookim. To Micuma zwróciła na niego uwagę. Zażądała, żebym założył jej na szyję podobny, ten, który wcześniej nosił Marty. Na początku w ogóle nie wiedziałem, do czego by mógł służyć, doszedłem jednak do wniosku, że medalion wchodzi w interakcję z materią w sposób, który

chronił nas przed promieniowaniem. Nie byłem jednak pewny, czy zadziała kolejny raz.

- Otwieramy? - Odwróciłem się do Micumy.

Warstwa niskich chmur tłumiła światło dzienne. Dzięki goglom zobaczyłem głęboko w ziemi świecące kontury martwych ciał. Odwróciłem się z powrotem do bramy - z małych szczelin sączyło się zielonkawe światło. Gogle z pewnością potrzebowały czasu, by dopasować się do właściciela, dopiero teraz pracowały w pełni swoich możliwości.

- Otwieramy - zgodziła się Micuma, nawet jeśli jej nerwowe zachowanie mówiło, że wolałaby tego nie robić.

Była ciekawa, ciekawa ponad wszystko. Albo zbierała dla kogoś informacje, pomyślałem, ale już wstukałem kod z komunikacyjnego naszyjnika Marty'ego.

Wrota pomału się otwierały, miernik radioaktywności natychmiast zaczął wyświetlać na czerwono różne wartości. Superenergetyczne fotony i neutrony przeszły moją tkankę, ale zanim zdążyły wyrządzić poważniejsze szkody, czar wszystko naprawił. Przy takiej szybkości i intensywności musieli wykorzystywać niewyobrażalne siły, a ja ich w najmniejszym nawet stopniu nie rejestrowałem. Trochę mi to przypominało magię wykorzystywaną przy przejeździe transporterów przez las.

- Wprawdzie wszystko wygląda jak należy, ale nie chcę tu zostać ani chwili dłużej, niż to konieczne - Micuma wyrwała mnie z pełnego podziwu namysłu nad użytą tu magią.

Przyjemny biobot... ale w pełni się z nią zgadzałem.

Weszliśmy do betonowej pieczary. Sztolnie ciągnęły się daleko, daleko w głąb góry, gdzie w betonowych i stalowych sarkofagach spoczywał uran, pluton i inne produkty reakcji rozszczepialnych. Źródła energii uznane w czasach dobrobytu i marnotrawności za odpady - albo surowce wtórne. W następnej sali, pełnej elektroniki kontrolnej, gdzie monitorowano warunki w celach setki metrów pod ziemią, znaleźliśmy świeże ślady czyjejś obecności. Miernik radioaktywności szalał, musiałem ściągnąć gogle Marty'ego, ponieważ blask, jaki teraz przez nie bił, całkowicie mnie oślepił. Przy ścianach naokoło znajdowała się skomplikowana linia laboratoryjna z oprzyrządowaniem z błyszczącej stali. Kolumny filtracyjne i rozpuszczające, odparowywacze rotacyjne, płyty grzewcze.

- Rozpuszczają uran z domieszkami kwasu azotowego, a potem rozdzielają wzbogacony i zubożony za pomocą wirówek - Micuma podzieliła się wiedzą ze swej niemal nieskończonej bazy danych.

- Chyba powinniśmy się stąd wynosić - odpowiedziałem. - Gardło mnie piecze. Czar nie chroni przed tym świństwem, które wdychamy i połykamy - zwróciłem jej uwagę.

Wpadłem na to, gdy się zorientowałem, jak moje ciało reaguje na wysoki poziom promieniowania w tym miejscu.

- Specyficzny czar, niewiarygodnie skuteczny. Załóż maskę, chcę zobaczyć, co jest dalej! - Micuma nie dawała się przekonać. Ciekawski biobot potrafi zaprowadzić swojego właściciela prosto do piekła.

Uśluhałem jednak i z kawałkiem tkaniny na ustach ruszyłem dalej, do wnętrza zabójczo szkodliwej fabryki śmierci.

- To wirówka do wzbogacania uranu. - Micuma zatrzymała się przed stalową skrzynią, wielką jak ogromna zamrażarka. - Tutaj odbywa się ostateczne rozdzielanie gazowych związków izotopów uranu.

Odwróciłem wzrok.

- A oto efekt - oznajmiłem głośno.

Na stołach oddalonych od siebie o metr leżały dwie półkule ze srebrzysto błyszczącego metalu. Czysty pluton. Wystarczyło przyłożyć je do siebie i reakcja łańcuchowa gotowa.

- Ostatnich bomb nuklearnych użyto pięćdziesiąt lat temu. Może ktoś trzyma w sejfie jeszcze kilka sztuk. Ale tutaj najwyraźniej wyprodukowano ładunek na kilkadziesiąt nowych - stwierdziła Micuma.

Nikt nie lubi bomb nuklearnych. Bogowie, demony, czarodzieje, upiory i inne monstra. Bomby nuklearne naruszają pierwotną strukturę fundamentów materii, bardzo ciężko je zwalczać czarami. Póki nie powiesiłem na szyi medalionu z magią chroniącą przed promieniowaniem radioaktywnym, myślałem, że to praktycznie niemożliwe - nawet jeśli demony najwyższych kategorii podobno były na nie odporne.

- Ile ich tutaj wyprodukowali? I ile istnień ludzkich to pochłonęło?

W żadnej z podziemnych sal nie widzieliśmy żadnych osłon, manipulatorów czy innego oprzyrządowania chroniącego personel przed szkodliwym promieniowaniem. Konstruktor podziemnego laboratorium z pewnością kierował się zasadą, że element ludzki najłatwiej zastąpić.

- Umiera ich więcej niż wielu, mimo wszystkich naszych zabezpieczeń - odezwał się mocny głos.

Kiedy ktoś przemawia z taką pewnością siebie, nie ma co się starać go zaskoczyć. Odwróciłem się pomału i ostrożnie schowałem Margaret i Zabójcę, którzy jakoś tak sami znaleźli się w moich dłoniach.

Pożałowałem tego, gdy zobaczyłem właściciela głosu. Ledwo powstrzymałem chęć sięgnięcia po półkule i połączenia ich. Mężczyzna stojący przy wejściu do ostatniej sali laboratoryjnej był pozszywanцем. Nie fizycznym, psychicznym. W jego aurze rozpoznawałem człowieka, wampira, dzina i nawet mały, pokrzywiony i zdegenerowany ułamek myśli jakiegoś mniejszego, zapomnianego boga. Jakim sposobem komuś udało się połączyć tak różnorodne elementy, utrzymać je w całości i stworzyć nową duszę, choćby nawet wykoślawioną, groźną i nienaturalną? Czerń maski zakrywającej twarz pozszywanca subtelnie podkreślała grozę, jaką roztaczał wokół siebie na metafizycznych poziomach.

- Krug z Genewy? Spodziewałem się lepszej techniki - oznajmiłem, szacując swoje szanse.

Najwyraźniej nie miałem żadnych. Za zamaskowanym monstrum czały się lufy zbirów, w powietrzu unosiła się dziwna magia nieznanego mi rodzaju.

- Ciężko przetransportować takie urządzenia, kiedy trzeba zachować tajemnicę. Wiedziałem, że ten partacz Vincent w końcu coś spieprzy - zaśmiał się tryumfalnie. - A tak bardzo chciał do Genewy. Ubzdurał sobie, że to raj.

Rzuciłem się - szybciej niż wilk, niż chart, niż gepard, po dwóch krótkich krokach już biegłem po ścianie. Pierwsze wystrzały huknęły, pociski wbiły się w podłogę w miejscu, w którym powinienem stać. Ale ja już trzymałem palce na spustach. Najpierw wypaliłem z Margaret, potem zagrzmiał Zabójca. I wtedy ktoś mnie ściał z nóg. Nie, nie ktoś, tylko coś - seria z działka zamontowanego na suficie. Podrasowany czarem strzał Siepacza był przy tym jak zwykle splunięcie.

Krug pochylił się nade mną. Dostrzegłem wykrzywioną wściekłością twarz pod maską.

- Trafiłeś mnie, gnoju - zaskrzeczał.

Chyba trochę go popsulem, a może miał piękny, melodyjny głos i tylko ja źle słyszałem? Wsadził mi dłoń do brzucha i wyciągnął z niego coś, co niepokojąco przypominało wnętrzności. Tak, to były moje wnętrzności. Wszędzie unosiły się opary

plutonu i inne świństwa. Jeśli nie umrę natychmiast, promieniowanie z pewnością zabije mnie później, stwierdziłem niezbyt inteligentnie.

- Pewnie, że cię trafiłem. Masz refleks szachisty - odpowiedziałem.

Nie słyszałem swojego głosu, ale on na pewno tak, sądząc po tym, jaką zrobił minę.

- Wywleczenie to ściervo na zewnątrz. Zabawimy się - rozkazał swoim ludziom.

Dotarło do mnie, że maska nie służy mu tylko jako ozdoba. Krug nie oddychał powietrzem, przynajmniej nie czystym. Stworzenie takiego pozszywańca musiało pociągnąć za sobą jakieś niepożądane skutki uboczne.

- Właściwie to powinienem ci podziękować. Vincent miał wyniki: zminimalizował straty w sile roboczej i niektórzy decydenci zaczęli twierdzić, że jest lepszy ode mnie. Wyeliminowałeś moją konkurencję, potrafię to docenić. Poświęcę ci wyjątkowo dużo uwagi i zaangażowania.

I już całkiem zwyczajnie wyglądający żołnierze w mundurach, kamizelkach kuloodpornych i maskach przeciwgazowych wiązali mnie niczym bagaż albo paczkę.

- Ugrzęźliśmy w błocie, a potem nagle odebraliśmy sygnał, że drzwi zostały otwarte. Vincentowi nie wolno było tu wchodzić pod żadnym pozorem. Dlatego zjawiliśmy się tak szybko.

Dostałem pięścią w brzuch. Ból posłał mnie prosto w objęcia nieprzytomności.

Obudziłem się przywiązany do pala. Nieopodal płonęło ognisko, a na granicy światła i ciemności stał transporter. Krug z pewnością nie uderzył z całą siłą. Reszta jego oddziału kontynuowała przewóz cennego materiału.

- Dziwne, że jeszcze żyjesz - poznałem jego głos.

Siedział przy ognisku sam, nieco dalej dostrzegłem dwóch innych mężczyzn.

- Musisz mieć coś w sobie, skoro pokonałeś Vincenta. A ja sprawdzę, co to takiego! - Zaśmiał się z własnego dowcipu.

Związali mnie doskonale, ale nie wiedzieli, kim jestem, nie mieli pojęcia o Kleszczach. Rozłożyłem rękawicę mentalnym rozkazem, tym samym ją niszcząc. Cóż, siła wyższa.

- I szybko się regenerujesz, niemal tak szybko jak ja! - Krug kontynuował swój samopochwalny monolog, pociągając z butelki.

Nie sądziłem, że stara, dobra wódka jest tak popularna wśród żołdaków. Pewnie mieli gdzieś w okolicy magazyn.

- Chcesz trochę? - zapytał.

Sposób, w jaki się podniósł, zdradził, że za tą propozycją nie kryje się nic dobrego.

Wylał mi na otwartą ranę połowę zawartości butelki; znowu zemdlałem.

Do świadomości przywrócił mnie jego szalony śmiech. Konglomerat dzina, wampira, człowieka i boga nie może być istotą rozumną. To jasne. Na szczęście Kleszcze już się oswobodziły.

Czułem, jak ich ostrze przecina pierwsze włókna liny, ostrożnie - i ta ostrożność ocaliła mi życie. Przy pierwszym nacięciu liny napiął się cały kokon, którym byłem przywiązany do pali, aż zatrzeszczały mi żebra. Z przeciętej skóry zaczęła się sączyć krew.

Krug śmiał się i skakał wokół mnie z butelką wódki w dłoni.

- Niezłe zaskoczenie, co? Byłem ciekawy, co na to powiesz. Dobrze, nie sądzisz?

Nie byłem w stanie mówić, nie byłem w stanie nic zrobić. To koniec. Absolutny koniec. Kiedy uświadomiłem sobie, jak długo to może trwać, zanim nadejdzie śmierć, zacząłem trząść się ze strachu. Krug wyglądał na zapalonego wielbiciela tortur, przy mojej odporności mógł się bawić naprawdę długo. Strach. Nagle sobie uświadomiłem, jak dobrze go znam, jak bardzo jest mi bliski. Stanowił część mnie. Musiałem stykać się z nim częściej, niż sobie przypominałem. Miałem na niego jakiś sposób? Przeżywałem go czy szerzyłem? Pewnie jedno i drugie.

Krug podszedł bliżej. Wepchnął nóż między zwoje liny i zaczął nim dłubać w moim biodrze.

- Zobaczymy, jak wyglądasz w środku! - bełkotał w pijackiej malignie.

Ciepło bijące z ogniska na chwilę rozproszyło powiew lodowatego wiatru. Widziałem, jak jeden z żołnierzy sięga po następną butelkę wódki.

Ostrze zanurzyło się głębiej w moim ciele.

- Wątroba, gdzie ty masz, chłopie, wątrobę? - mamrotał sam do siebie Krug.

W krzakach nieopodal coś mignęło. Zmysły zaczynały odmawiać współpracy. W okolicy nie było nikogo, kto by o mnie wiedział, kto mógłby i chciałby mi pomóc.

Może lepiej by było przeciąć magiczne pęta, by magiczny uścisk zabił mnie na miejscu? Zacząłem próbować, ale nagle pojąłem, że Kleszcze mnie nie słuchają.

Krug nachylił się w moją stronę. Słyszałem cichy bulgot w jego oddechu - oddychał jakąś ciecżą.



- Rozpierzdziłem ci tę cholerną Rękę. Wiedziałem, że prędzej czy później spróbujesz mi spieprzyć tę przemiłą noc.

Kto mógł stworzyć istotę po części boskiego pochodzenia mówiącą jak żul spod budki z piwem?

- Rozpierzdziłem - powtórzył, jednocześnie wbijając we mnie nóż.

Ból. Jego też bardzo dobrze znałem. Tak samo jak strach. Więzy krępujące zamkniętą część mojego ja zaczęły trzeszczeć. Miałem nadzieję, że umrę, zanim zobaczę, co się za nimi skrywa. Nagle znowu miałem o co walczyć, o co się starać.

- Słyszałem o koleśiu, któremu orzeł co noc wyszarpywał wątrobę, a ona mu ciągle odrastała. Też byś tak chyba dał radę, jak myślisz?

Krug był bardziej pijany, niż mi się wydawało, albo tylko robił wstęp do swojej ulubionej zabawy.

Kątem oka dostrzegłem trupa. Jak długo to jeszcze potrwa?

- No, przywiązali go do jakiejś skały. Ale nie chce mi się aż tak wysilać, znowu musiałbym to jakoś maskować. Koleś nazywał się chyba Propan Butan... czy jakoś tak.

- Człowiek powinien obrażać bogów tylko wtedy, kiedy ma ważne powody - wymamrotałem. - Nie dla zabawy.

Skąd to wiedziałem?

Znowu ból, martwi wyczołgują się z ciemności, bulgocąca wódka, bulgocący oddech szalonego metafizycznego pozszywańca.

- To jest twoja wątroba! Widzisz ją i ciągle żyjesz! To przecież niewiarygodne, wspaniałe!

Trzymał mnie za brodę i ciągle coś mi pokazywał. Przebudziłem się długo po świcie. Znowu padał śnieg. Biały dywan wokół moich nóg był cały pokrwawiony, wszędzie wały się ciemne ochłapy zamrożonego mięsa. Nie odważyłem się spojrzeć całkiem w dół, żeby nie zobaczyć własnego ciała. Mróz częściowo złagodził ból, czułem się niemal dobrze. Dobrze - pojęcie względne, jak każde inne. Może mi się poszczęści i umrę z wyziębienia? Nie liczyłem na to zbyt, to by było jak wygrana na loterii. Ktoś zaszczekał zębami. Odgłos dobiegł od strony żołnierskich śpiworów ułożonych wokół pojazdów opancerzonych. Zobaczyłem, że ktoś tam siedzi skulony. Biała płachta pokrywała go jak posąg, we włosach topniały białe płatki śniegu.

To nie był Krug, wyglądał zbyt marnie, jak bezradna ruina.

- Halo? Słyszysz mnie pan? - dałem radę wydukać.

Kolejne szczęknięcie zębami. Tych dźwięków nie wydawał przysypany śniegiem człowiek, ale jeden ze śpiących w śpiworach.

Obcy popatrzył na mnie. Nie mógł być naprawdę żywy, wyglądał jak parodia człowieka, nieudane dzieło jakiegoś boga - trup z twarzą pokrytą wrzodami, nieboszczyk, któremu na kościach zostało tak mało mięsa, że nie starczyło go nawet na ropę wyciekającą z niegojących się ran. Poznałem go. Ten wieśniak dzięki swojej woli przebił się przez krąg strzeżony przez duchy.

Popatrzył na mnie, jego usta o opadających kącikach wykrzywiły się w uśmiechu.

- Spróbuj jeszcze raz, kolego. Może tak będzie ci łatwiej - wypomniał mi i spuścił głowę.

Miałem wrażenie, że pojedyncze płatki śniegu, które wirowały w powietrzu, nie topią się w jego włosach.

- Spróbuj jeszcze raz?

Spróbowałem ruszyć Ręką - udało się. Ostrożnie przeciąłem pierwszy fragment liny. Czar nie zadziałał. Od wygasłego ogniska dobiegało charczenie. Potężna postać uniosła się, poznałem Kruga. Wyglądał niezbyt zdrowo, twarz miał pokrytą jakimiś plamami. Zrobił pierwszy krok, potem padł na kolana i zwymiotował zieloną mazią pomieszaną z krwią. Uwalniałem się z kolejnych zwojów liny, choć nie byłem pewny, czy utrzymam się na nogach, kiedy już się oswobodzę.

- Jakiś gnój, jakiś gnój nas otruł... Dodał do wódki pluton i inne świństwa - wycharczał Krug i zwrócił porządną porcję wnętrzości.

Zaczęło do mnie docierać, co się stało. To wszystko zasługa umierającego wieśniaka. Ostatni zwój liny ustąpił. Gdybym nie przytrzymał się pała, runąłbym na ziemię.

- W wozie jest zestaw ratunkowy. Czary, technika. Magia, której nigdy nie widziałeś. Ja już tam nie dojdę. Skocz po to, przyjacielu. To wszystko tylko nieporozumienie. Dam ci referencje, przyjmą cię w Genewie - bełkotał Krug, próbując przepelznąć kawałek dalej.

Trząsłem się z bólu i osłabienia. Wiedziałem jednak, że to minie. Życie boli. Wiedziałem to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Czary, Genewa. Ochroni przed promieniowaniem nawet martwego.

Zataczając się, ruszyłem w stronę transportera.

Wszędzie dookoła skakali mali posłańcy śmierci, byli coraz bardziej wyraźni. Wielu z nich wyciągało ręce w moją stronę, ale odstraszył je mój uśmiech i Kleszcze. Niektóre zjawily się tu właśnie po mnie. Było mi wszystko jedno.

Kiedy wyszedłem z transportera, oprócz umierających czekało na mnie jeszcze dwóch ludzi - czy raczej istot. Żaden z nich nie zostawiał śladów w świeżym śniegu.

Jeden, z czarnymi, kędzierzawymi włosami i wyraźnie zarysowanym greckim profilem, był ubrany w jasną, spływającą w dół szatę, może habit. Drugi miał na sobie biały smoking, a przy pasie kilka mieczy, chyba japońskich.

Przeszedłem obok nich, niepewny, czy istnieją naprawdę, czy też są wytworem mojej rozpadającej się myśli. Wszystko jedno, zostawili mnie w spokoju. Uklęknąłem przed umierającym wieśniakiem i zacząłem wyciągać rzeczy z siatki. Strzykawki, zwykłe i pneumatyczne, mieniające się magią przedmioty.

- Ten jest mój - odezwał się elegant w smokingu. Ostrze katany w jego dłoni odbijało biel śniegu.

- Naprawdę? - Sięgnąłem po Nóż. - A na co ci biały smoking?

Był tak rzeczywisty, że nie wiedziałem, czy przede mną nie stoi aby sam Pan Śmierci. Oślepiiony błyskami, które rzucało ostrze, mogłem tylko zgadywać.

- Na białym krew wygląda efektowniej, nie sądzisz? - zapytał zaczepnie.

Spojrzałem na śnieg koło pali, gdzie jeszcze parę minut temu stałem.

- Racja, jest efektowniej - zgodziłem się. - Dobry wybór. Daj mi parę minut - poprosiłem.

- Żadna magia już nie zadziała.

Mężczyzna o greckim profilu przysłuchiwał nam się z zainteresowaniem.

Wzruszyłem ramionami i ponowiłem prośbę.

- Upierasz się przy swoim?

Skinąłem tylko głową, dłoń pozostała na rękojeści Noża. Czułem, jak mu spieszo do pojedynku z kataną Pana Śmierci. Podburzał mnie i po raz pierwszy nie pobierał siły, przeciwnie - dawał mi ją.

- Dobrze, masz parę minut - zdecydował w końcu elegant.

Kiwnąłem głową i przestałem zwracać na niego uwagę.

Tymczasem pomniejsi posłańcy już zbierali swoje żniwo.

Nafaszerowałem wieśniaka wszystkim, co tylko znalazłem w torbie. Nie wiedziałem, czy to zadziała, ale Pan Śmierci po chwili spojrzał na mnie zdziwiony.

- Chyba muszę go tu zostawić. Ciekawe. Ktoś będzie musiał sprawdzić, co właściwie zastosowałeś. Ale ten drugi to już inna sprawa. To z jego powodu stawiałem się tu osobiście.

Potem pociemniało mi przed oczami. Ocknąłem się na śniegu raptem kawałek od Kruga, dzięki któremu całe to zajście zyskało taką rangę i oprawę.

Sądząc po ilości krwi i strzępów tkanek, nie zostało w nim zbyt wiele życia.

- Czy mogę prosić o łaskę? - przemówił po raz pierwszy twardziel w habicie.

Jego nos był w istocie wzorowy, grecki w każdym calu.

Pan Śmierci spojrzał na mężczyznę z zaciekawieniem.

- Tak, możesz. Ale on i tak musi umrzeć.

- Dałoby się to na chwilę odłożyć?

- Owszem, ale każda łaska musi zostać spłacona. A ja naliczam odsetki.

Twardziel uklonił się. Jego włosy zafalowały.

- Nie jestem z tych, którzy się układają. Żądam łaski. Daj mi go na chwilę. Dzień, miesiąc, rok, wiek, tysiąclecie, jak długo będzie mnie bawić.

Pan Śmierci słuchał, ostrze jego katany przecinało płatki śniegu równo na pół.

- Propan Butan - mruknął zniesmaczony mężczyzna o greckim profilu. - Taki brak szacunku. Znam całkiem dobrze jedną skałę na Kaukazie i jednego orła, który lubi wątrobę.

- Dobrze, Prometeuszu. Oddasz mi go, kiedy z nim skończysz. I jesteś mi winien jedną łaskę.

* * *

Nagle zostałem na zaśnieżonej łące sam. Ja, półmartwy wieśniak i martwi żołnierze. Pomyślałbym, że spotkanie starego boga z elegantem w smokingu tylko mi się przywidziało, ale ciało Kruga zniknęło, a nie prowadziły od niego żadne ślady.

Wieśniak uniósł głowę i popatrzył na mnie.

Znowu miał usta, a w oczach to zacietrzewione spojrzenie człowieka, który nigdy się nie podda.

- Spróbuj jeszcze raz, kolego - poradziłem mu. - Może tak będzie ci łatwiej.

Byłem w dobrym humorze. Po raz pierwszy od długiego czasu byłem w naprawdę dobrym humorze. Micuma zarżała i wyszła spod drzewa. Czas jechać dalej.

OSTRAWA – ZAMARZNIĘTE PIEKŁO

Na górskim grzbiecie zostały tylko martwe szkielety drzew. Ledwo mineliśmy z Micumą szczyt, pojąłem - dlaczego. Z północy wiał silny, lodowaty wiatr. Musiałem wyteżać płuca, żeby w ogóle nabrać powietrza. Dolinę poniżej porastała kosodrzewina, opuszczone lub niemal opuszczone miasteczko otulały zaspy lśniącego srebrzyście nawianego lodu. Dopiero teraz zrozumiałem, że narzekanie na pochmurną pogodę w Beskidach było nie na miejscu. To właśnie te lasy stanowiły przeszkodę na drodze śmiertelnych wiatrów północnych i powstrzymywały rozprzestrzenianie się chłodu na wschód i południe. Micuma niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Przestałem wpatrywać się w dal i skuliłem się w siodle. Nie potrzebowała już żadnej komendy, zaczęła pomału stąpać w dół po pokrytym zaroślami zboczu. Po kilku pierwszych krokach jakby się ociepliło, ale to tylko wiatr osłabł nieco. Kilkaset metrów niżej w objęciach gęstego lasu kuliło się miasto, a właściwie podupadająca miścinka.

Mieszkańcy już dawno opuścili swoje domostwa, zostawiając je na pastwę pustki i mrozu, i tylko z dwóch kominów wydobywał się dym. Widać osiedlili się tu jacyś straceńcy albo ludzie mający ważne powody, by unikać towarzystwa. Według mapy to był Frýdlant nad Ostrawicą.

Dojechaliśmy do rzeki. Już teraz, w połowie listopada, była zamarznięta, a na jej brzegu leżał martwy niedźwiedź, zamarznięty na kość. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegłem żadnych ran.

- Będę potrzebowała więcej jedzenia, i to lepszego niż trawa i owies - napomknęła Micuma. - Utrzymanie temperatury ciała pozwalającej funkcjonować w trybie

roboczym kosztuje mnie mnóstwo energii, a nie mam zbyt dużo rezerw. Przy tak niskiej temperaturze otoczenia mogą stracić nanoflorę w krtani.

- Zrobimy sobie krótki postój.

Wybrałem dom na wpeł przysypany gruboziarnistymi kryształkami lodu. Wyważyłem drzwi kopniakiem i wszedłem razem z Micumą do środka. Mieliśmy szczęście. Zostało tam mnóstwo wyposażenia, które mogliśmy wykorzystać jako opał. Na początku chciałem rozpać ognisko bezpośrednio na podłodze, ale potem sprawdziłem piec. Miał dobry cug i wkrótce ogrzewał nas życiodajny żar. Wróciłem do niedźwiedzia i obejrzałem go dokładnie. Ktoś strzelił mu dwa razy w głowę. Może być. Ściągnąłem rękawicę, uciąłem mu tylną łapę Kleszczami i pokroiłem zamrożone mięso na plastry grubości palca. Po chwili wahania rozciąłem brzuch niedźwiedzia i wyciągnąłem wątrobę. Była twarda jak kość, musiał tu leżeć już jakiś czas. Zbadałem mięso Okiem - żadnych pasożytów ani uszkodzeń powstałych w wyniku kontaminacji czarów albo substancji chemicznych. Niedźwiedź był wyraźnie zdrowszy ode mnie, póki ktoś nie przestrzelił mu mózgu.

Wróciłem w samą porę, żeby dołożyć do ognia. Ułożyłem mięso na kamiennym obramowaniu pieca i po krótkich poszukiwaniach wyciągnąłem z tobołka starannie zamkniętą ampulkę z mlecznobiałą substancją.

- Połknij to. I nawet nie próbuj rozgryźć, przeżarłoby ci błony śluzowe - ostrzegłem Micumę.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- To enzymy umożliwiające trawienie mięsa, białka i tłuszczów nasyconych - wyjaśniłem. - Kupiłem je kiedyś przypadkiem, wreszcie się przydadzą. Mam jeszcze kilka tabletek o podobnym działaniu, ale nie polecam ich na pusty żołądek.

- Cukier albo suszone owoce dałyby ten sam efekt, a smakują o wiele lepiej.

- Widzisz tu jakieś suszone owoce?

Posłusznie otworzyła pysk, a ja położyłem jej ampulkę na języku.

Potem siedzieliśmy w milczeniu i czekaliśmy, aż mięso się rozmrozi, a przy odrobinie szczęścia może nawet trochę opieczce.

- Jakoś mi dziwnie, tak jakoś... niekońsko - ogłosiła po półgodzinie z niepokojem.

Porąbałem stół przyniesiony z piętra.

- Nikt nie mówił, że ci będzie po tym dobrze. - Wzruszyłem ramionami. - Chcesz mięso surowe czy przypieczone?

- Spróbuję obydwu wersji.

- Zauważ, że jesz pierwsza - zwróciłem jej uwagę. - Chociaż ja też umieram z głodu.

- Nawet nie próbuj takich sztuczek. Chcesz się przekonać, czy mięso nie jest zatrute.

Pomału przeżuwaliliśmy swoje porcje.

- Obrzydlistwo. Nie mająk soczysta trawa albo dobrze przesuszony owies - westchnęła.

- Nie mam nic przeciwko stekom - powiedziałem. - Zjedz jak najwięcej. Do Ostrawy jeszcze daleko, a nie wiem, jak tam gotują.

Wiatr przybierał na sile. Choć ogień nadal płonął, w pomieszczeniu mocno się ochłodziło.

- Nie jest dobrze - mruknęła Micuma.

* * *

W nocy ktoś chodził wokół domu. Nie podniosłem się, ale wyciągnąłem Zabójcę i drzemałem, trzymając palec na spuście. Na szczęście nieznajomy miał wystarczająco rozumu albo intuicji, zostawił nas w spokoju.

Na śniadanie zaserwowałem puszkę skondensowanego mleka, którą od bóg wie jak dawna trzymałem na gorsze czasy. Chyba właśnie nadeszły. Po świcie wyruszyliśmy w nieprzyjazny chłód. Ktoś ułożył wokół domu krąg z owczych czaszek, niektóre wciąż były umazane krwią. Zamarzła tak szybko, że nawet nie zdążyła szernieć. Raczej nie byliśmy tu mile widziani.

Szliśmy dalej wzdłuż wijącej się Ostrawicy i po kilku kilometrach dotarliśmy do lodowej góry. Okolica przeszła z tajgi w jeszcze bardziej niegościnną tundrę. Ale przecież mapa nie pokazywała tu żadnego wzniesienia. Gdy w końcu usłyszałem szmer strumyków, zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Gdzieś w pobliżu lód skuł rzeczkę aż do dna, a ze ściekającej i zamarzającej nadal wody powstała lodowa góra. Okrążyliśmy ją. Miała kształt kilkukilometrowej kropli pełnącej w stronę Ostrawy.

- Woda w zetknięciu z ziemią topnieje pod wpływem ciśnienia. Całe to zwałisko, jak mały lodowiec, jedzie korytem, którym pierwotnie płynęła rzeka - stwierdziła Micuma.

Miała rację.

Wyjechawszy z za pełznącego lodowca, wystawiliśmy się na chłostę wiatru. Przenikał aż do kości, wysysał z ciała wszelkie ciepło, wyszarpując dziury w samych fundamentach życia ciepłokrwistych istot. Gdybym był zwykłym człowiekiem, już dawno bym zmarzł.

- Muszę się najeść - ostrzegła mnie Micuma.

Skinąłem głową, zsunąłem się z siodła i dalej szliśmy już jedno obok drugiego. W regularnych odstępach czasu podawałem jej kawałki mięsa i ostatnie kostki cukru.

Kolejnym miastem na naszej trasie był Frydek-Mistek. Nikt już tutaj nie mieszkał. Zasypany naniesionego przez wiatr śniegu i lodu przykryły większość budynków, tylko kilka kominów fabrycznych, podobnych do szarych stalaktytów, stawiało opór podmuchom wiatru. A my uparcie brnęliśmy na północ. Z każdym kilometrem temperatura spadała o kilka stopni. Ostrawa leżała w głębokiej bruździe lodowca - ostatnia wyspa człowiecza w kraju niczym.

* * *

Każde porządne miasto ma mury obronne, Ostrawa nie była wyjątkiem. Jej fortyfikacje zbudowano w połowie ze starego żużlu, a w połowie z lodu. Wznosiły się na dobre sto pięćdziesiąt metrów. Sądząc po gładkości, musiały być regularnie odnawiane przy pomocy armatek wodnych. Zatrzymaliśmy się u ich podnóża, ale nawet stąd odległość do bramy wynosiła jedną trzecią długości lotu pocisku z miotacza granatów. Zsiadłem i wyciągnąłem z sakwy siekierę. Nawet w temperaturze minus trzydzieści lód wciąż powinien się łatwo rąbać. Materiał okazał się jednak dużo bardziej odporny niż drewno. W nocy wystarczyło włączyć agregat i w ciągu kilku godzin wzmocnić albo załatać mury następną setką czy tysiącem kubików lodu. Ostrawa naprawdę była miastem nie do zdobycia.

Nie męczyłem już Micumy swoim ciężarem. Do żelaznej ramy osadzonej na lodowych ścianach dotarłem pieszo. Pośrodku drogi stał strażnik opatulony w kozuch tak, że widać mu było jedynie oczy. Nie zauważyłem u niego żadnej broni. Dopiero kiedy zacząłem szukać wzrokiem czegoś, co w razie konieczności zapewniało mu osłonę ogniową, zaniemówiłem. Coś, co uważałem za opuszczony transporter obronny, w rzeczywistości nie było maszyną, tylko pozszywańcem. Pozszywańcem, którego do tej pory nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. Nie przypuszczałem, że coś takiego w ogóle może istnieć. Z płaskiej nadbudowy wozu wystawał korpus stworzenia, które z wielkimi trudnościami dałoby się określić mianem człowieka. W

kategorii zwalistości mógłby z powodzeniem konkurować z nosorożcem, osłonę zapewniała mu mozaikowa zbroja przypominająca pancierz z masy rogowej z jedynym w swoim rodzaju połyskiem.

- To żyje? - zapytałem strażnika.

- Radziłbym go nie drażnić - spod kożucha odpowiedziało mi burknięcie. - Jedyne, co go jeszcze cieszy, to zrobienie od czasu do czasu sita z jakiegoś szmuglera, włóczęgi albo przemądrzałego pozszywańca.

Na pewno miał czym. Wskutek biotycznych ulepszeń jego sylwetka straciła nawet resztki ludzkich proporcji. W ręce trzymał szybkostrzelny karabin kaliber czterdzieści milimetrów; na głowie, której rzeczywisty kształt maskował hełm, dostrzegłem krzyż celowniczy z intuicyjnym łączem zwrotnym. Nigdy nie widziałem tak dobrej pokrachowej kombinacji technologii i magii.

Człowiek-czołg drgnął nieco i już patrzyłem prosto w czarny wylot lufy.

- A co muszę zrobić, żeby ominął mnie ten tragiczny los? - zapytałem, licząc, że dostanę od tej mizeroty w kożuchu szybką i właściwą odpowiedź.

Przemarzałem, Micuma też była już u kresu sił. Nie miałem ochoty na przepychanki z sytym strażnikiem, któremu najchętniej uciąłbym głowę i rzucił jego kompanowi do zabawy. Oczywiście pod warunkiem, że nie miałbym innego wyjścia.

W tym swoim kożuszku strażnik wyglądał na zniewieściałego facecika, lecz z pewnością był o wiele bystrzejszy, bo wyczuł mój prawdziwy nastrój. Zadał mi trzy łatwe pytania, zapłaciłem wstępne, klepnąłem Micumę i ruszyliśmy naprzód. Miała dosyć tego wszystkiego.

- Nie sądzisz, że twojemu koleźce zaczyna brakować rozrywki, jeśli przez dłuższy czas nikogo nie zabije? - zapytałem strażnika, przekraczając granicę miasta. - Życie bez uciech musi być bardzo ciężkie.

Kožuch spojrział na mnie tępo, jakby jego inteligencja równała się inteligencji rosomaka.

- Może któregoś dnia oszaleje, postanowi zrobić sobie dobrze i wypróbować karabin na tobie? - dodałem i ruszyłem swoją drogą.

* * *

Ostrawa już zdążyła się przystosować do morderczego klimatu, jaki panował na rubieżach lodowej krainy. Otwarte przestrzenie przeplatały się z gigantycznymi halami - zadaszieniami nad mniejszymi placami. Na każdym kroku natykałem się na

strzeżone zejścia do podziemi. Sądząc po mundurach strażników, tam żyli zamożniejsi obywatele. Ale również na powierzchni istniały bogatsze dzielnice, a niewątpliwym wyznacznikiem dobrobytu była temperatura, w jakiej żyli ludzie. W powietrzu nieustannie unosił się popiół z wysokich, wiecznie otulonych szalem z dymu kominów, pod dachami, osłaniającymi całe ulice, huczały niezwykle skomplikowane grzejniki na miazę. Niemal bez przerwy padał śnieg, a właściwie małe kryształki lodu, które prowadziły nieustanną walkę z sadzą na przestarzałych, nieefektywnych kotłach grzewczych. Tu i ówdzie na murach wisiały ogromne termometry. Skala zaczynała się od zera i kończyła na minus stu dwudziestu stopniach. Ostatni punkt zazwyczaj oznaczano alarmująco czerwoną czaszką ze skrzyżowanymi pieszczelami pod spodem. Rzeczywistość dnia powszedniego w krainie mrozu.

Zignorowałem kilku nachalnych naganiaczy, którzy oferowali mi miejsca w najwspanialszych ośrodkach w mieście, gorące kąpiele, korpulentne dziwki i kto ich tam wie co jeszcze. Zatrzymałem się przed szarym blokiem z miniaturowymi okienkami.

„Temperatura w pokojach minimum dziesięć stopni, temperatura w stajniach minimum dwa stopnie”, głosiła dumnie wywieszka z brązu pokryta szronem.

- Brzmi nieźle, nie sądzisz?

- Znowu tobie będzie lepiej - mruknęła Micuma.

Chłód miał bardzo zły wpływ na jej struny głosowe.

Choć może nie aż tak zły - częściej milczała.

- Jesteś tylko koniem - zwróciłem uwagę Micumie, a raczej jej zadkowi, ponieważ już skierowała kroki w stronę dwuskrzydłowych drzwi stajni.

Właściciel i szef w jednej osobie był bystry, a może nawet mądry. O nic nie pytał i zadowolili się płatnością z góry za trzy dni. Kolacja i wielki dzban grzanego wina wliczone w cenę pokoju. Być może wszystkie te niesympatyczne mity krążące o Ostrawie, które słyszałem, należało włożyć między bajki.

Leżałem na łóżku bez butów, ale w skarpetach; popijałem gorący trunek i w zamyśleniu obserwowałem ilustrację z mężczyzną powstrzymującym napór ciemności. Każdy dzień drogi, każdy kilometr, który przeszedłem, odbijał się na niej. Nie było wieczoru, żebym jej nie wyciągnął i nie obejrzał. Trzymałem poplamiony kawałek papieru między palcami i czułem ciosy, brud i krew, która nigdy nie powinna zostać przelana.

Mimo wszystko, a może właśnie dlatego, ilustracja nie straciła na wyrazistości. Charakter, moc, wewnętrzna siła mężczyzny stawiającego opór szarzy nieprzyjaciół jawiły się przede mną jak oszlifowany diament, klejnot symbolizujący doskonałość. Jeśli przywódca ludzi w bitwie o Sewastopol miał jakieś negatywne cechy, artysta i czarodziej, który był twórcą tej ilustracji, nie wiedział o nich. Nie potrafiłby kłamać tak przekonująco, z takim natchnieniem i naiwnością, że jego dzieło zyskiwało rys niezafałszowanej autentyczności. Aż miałem ciarki. Świadomość, że ten człowiek to właśnie niegdysiejszy ja, sprawiała, że moje serce na przemian zatrzymywało się i przyspieszało nienaturalnie.

Teraz jednak skupiłem się na rzece ciemności napierającej na człowieka stojącego przed bramami ciężko doświadczonego miasta, przed ostatnią cytadelą broniącą monstrem z ukrytych sfer wstępu do ludzkiego świata. Czerń nie była tak jednolita, jak się na pierwszy rzut oka wydawało, a kiedy zacząłem przyglądać się jej dokładniej, coraz lepiej i lepiej rozpoznawałem poszczególnych wojowników. Bojowe demony, duchy, dziny, upiory i wampiry, deksy i inne potwory, o których nie powinienem nic wiedzieć, ich imiona wynurzały się jednak z mojej pamięci z przerażającą łatwością. To była sprawka tego drugiego mnie; potwora, z którym dzieliłem jedno ciało i mózg, skrzepowanego czarami. A mimo to samą swoją obecnością wywierał na mnie wpływ, zmieniał mnie. Musiał, bo jak inaczej Raymond Curtis, przywódca ludzi spod Sewastopola, mógłby dopuścić się takich rzeczy jak ja? Nie rozumiałem tego. Nie rozumiałem, ale chciałem się dowiedzieć.

W archiwach Blacharza, sztucznej inteligencji urzędującej w Beskidach, znalazłem imię człowieka, który walczył przy boku Raymonda Curtisa. Jego najwierniejszego druha, jedyne ocalałego spośród jednostek prowadzonych w pierwszej linii przez samego Curtisa. Do Ostrawy przyjechałem głównie po to, żeby zapytać Waarda o kilka rzeczy.

Po kolacji włożyłem buty i zszedłem na dół. Właściciel, strzegący recepcji jak twierdzy, wyglądał tak samo jak w chwili, kiedy się zakwaterowywałem - wielkie, żylaste dłonie położone na blacie tak spokojnie i nieruchomo, jakby należały do trupa, a ktoś dla ozdoby przykleił je do stołu.

- Gdzie znajdę Wilhelma Waarda?

- Każdy wie, gdzie znaleźć Wilhelma Waarda - odpowiedział, nawet nie mrugnawszy. - Należy do niego pół Ostrawy.

Jedna rzecz bardzo mi się podobała u ostrawian. Mówili krótko, zwięźle i zawsze trafiali w sedno.

- Pół? - Zmarszczyłem brwi.

- Może tylko ćwierć - skorygował nieco wcześniejszą wypowiedź.

- Gdzie go znajdę?

- Pałac ma na Franciszku. Stąd to dosyć daleko, a tramwaje nie jeżdżą już od pół wieku - dodał z uśmiechem. - Może też być na Urksie albo Stachanowie. Wydobycie prowadzi się teraz wszędzie.

- Dzięki. - Położyłem na ladzie półkoronówkę, nawet jeśli nie było za co.

- Dzisiaj będzie zimno - zawołał za mną, kiedy wychodziłem z sieni.

Zimno? Co w Ostrawie znaczyło „zimno”? Już teraz rtęć w termometrach pulsowała gdzieś pomiędzy minus dwadzieścia pięć a trzydzieści. Zimno.

- Na szczęście nie powiedział, że będzie mróz - przywitałem Micumę. - Mam ochotę zostawić cię w tym luksusowym apartamencie.

- Znowu starasz się popisywać czymś, co niesłusznie uważasz za poczucie humoru?

- Doszedłem do wniosku, że to ułatwia kontakt z ludźmi - wyjaśniłem. - W ten sposób oszczędzam naboje.

- Myślę, że nie powinnam cię zostawiać samego - odparła. - Według źródeł historycznych wierny rumak zawsze towarzyszy swojemu panu na placu boju.

- Swojemu panu?

- Cytuję źródła historyczne. Tak się po prostu kiedyś mówiło - zarzała rozdrażniona. - I nie łap mnie za słówka.

- Lepiej podciągnij się z historii.

- Dobrze. - Zarzuciła grzywą. - Potem jednak życzyłabym sobie kopyta okute diamentami i jedzenie w marmurowym żłobie. Tak napisano w książkach historycznych. I nie tylko.

- To już dawno wyszło z mody - skwitowałem, nawet jeśli wiedziałem, że właśnie w ten sposób przypieczętowuję jej zwycięstwo.

* * *

Zanim wyjechaliśmy, zarzuciłem Micumie na grzbiet dwa koce, a dopiero potem założyłem na nie siodło. Z domu naprzeciwko dochodziły odgłosy młota, wszechobecny lód pokrywający chodnik topił się w pobliżu drzwi. Zajrzałem do

środku. Owionął mnie ciepły powiew znad paleniska. Ocenilem jakość wyposażenia kowalskiego i mechanicznego na ścianach i półkach i kazałem podkuć Micumę. Nowe podkowy miały żebrowaną laserem powierzchnię antypoślizgową.

- Teraz dużo lepiej - przytaknęła, kiedy stamtąd wyszliśmy.

Zadaszone części miasta przeplatały się z otwartymi przestrzeniami, zimno - z zabójczym mrozem. Oświetlenie nie działało, ale stosunkowo dobrze zastępował je system gazowych grzejników ulicznych. Wokół nich gromadzili się bezdomni, żebracy i złodzieje.

Minęliśmy patrol strzegący wejścia do jednego z krytych placów. Nie zareagowali. Termometr z dumą obwieszczał, że w środku jest jedynie minus dwanaście,

- Na dzisiejszą noc wszystkie miejsca zajęte! Komplet, znacie zarządzenia! - wydierał się policjant opatulony w barani kozuch i zagrażał drogę grupce bezdomnych domagających się wpuszczenia do środka.

- Dzisiaj będzie zabójcza noc! - ktoś biadolił.

Kompan policjanta wpuścił tymczasem do środka kogoś, kto dał mu kilka drobnych do ręki, a teraz pertraktował z dziewczyną poowijaną w poszarpane szmaty. Miała zsiniałe z zimna palce, dziecięcą twarz i mimo grubej warstwy ubrania zaskakująco kształtną sylwetkę - zapłatę za noc spędzoną w cieple.

Przejechaliśmy przez plac i dotarliśmy do niezadaszonej ulicy. Termometr wskazywał już minus trzydzieści pięć, w ruchach przechodniów było o wiele więcej pośpiechu, w sporadycznie zasłyszanych słowach powracał termin „zabójcza noc”. W niebieskim świetle huczącego grzejnika ulica wydawała się gładka niczym lustro. Wołałem zsiąść i iść na własnych nogach. Z szarości półcieni wyłoniła się drobniutka postać. Poruszała się po lodzie z pewnością, jaką daje doświadczenie. Idąc, osłaniała twarz kawałkiem materiału. A kiedy doszła do mnie, opuściła rękę i ukazała mi delikatną twarz z wielkimi, kocimi oczami.

- Nie ma pan ochoty się zabawić? Jak dla pana wyjątkowa cena, tylko dwie korony.

Była piękna, w pewien sposób niewinna. Może w tym tkwił jej potencjał.

- Dla mnie jest zbyt zimno, dziewczyno. - Pokręciłem głową.



Nikomu jej nie będzie brakowało, niczym nie ryzykujesz, coś we mnie szeptało. Co najgorsze, ten głos nie należał do demona spętanego magią, lecz do mnie samego. Wodziła mnie na pokuszenie ta część osobowości, którą znałem, a przynajmniej tak mi się do tej pory wydawało. Demon musiał mnie w jakiś sposób zakazić, ale jak? Byłem przecież R. C, Raymondem Curtisem, wodzem spod Sewastopola - największym przywódcą w historii ludzkości, czyż nie? A może byłem już kimś zupełnie innym? Powykrzywiany, zmutowany potwór rozkoszujący się cierpieniem i bólem.

- Mam mały pokoik, proszę pana. Nic wielkiego, ale woda w wazie nie zamarza - kusila mnie.

Kleszcze w rękawicy poruszyły się, starały się rozewrzeć, czułem ich pożądanie.

- Popatrz na mnie, dziewczyno - powiedziałem i spojrzałem na nią tak, żeby mogła zobaczyć moją twarz. - Nie spodobałoby ci się, ani trochę. Lepiej pozwól mi odejść.

Powinienem ją spławić, ale ta gorsza część mnie bardzo tego nie chciała.

- To chyba lepsze niż zamrażnięcie - odpowiedziała spokojnie. - Tylko dwie korony, proszę pana. Będzie się panu podobało, zrobię wszystko, co tylko będzie pan chciał.

Ta nora nie mogła należeć do niej, inaczej by tam siedziała i nie łąziła po mieście, żeby zarobić nędzne dwie korony. Podobałoby mi się, tego byłem pewien. Moje mięśnie już trzeszczały.

- Zamrażnięcie jest z pewnością lepsze niż to, co by cię spotkało, dziewczyno - odparłem.

Trochę jej zrzędała mina, ale już chciała ponowić ofertę.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem srebrną pięciokoronówkę i rzuciłem jej.

- Masz dzisiaj szczęście, nawet nie wiesz jakie - powiedziałem. Micuma bez żadnej komendy ruszyła przed siebie. Kurewka zeszła jej z drogi.

Potem jakby się otrząsnęła z zaklęcia, popędziła w stronę półcieni, a z jej ruchów emanowała czysta, szczerą radość i ulga.

Stąpaliśmy dalej po zamrażniętej ulicy. Stopniowo na gwiazdnym niebie zaczynały się ukazywać, piąć w górę sylwetki wieży wydobywczyc węgla imperium Wilhelma Waarda. Czasami w niebo tryskał pomarańczowy płomień grzejnika, który głosił całemu światu, że Waard może szastać ciepłem. Szliśmy powoli, w nowych podkawkach Micuma czuła się dużo pewniej niż ja. We wszystkich domach

od frontu zarejestrowałem wzmożony ruch, ale nie czułem żadnego zagrożenia. Tylko zainteresowanie.

Na końcu ulicy łączącej się z następnym placem zbiegła się wokół nas gromada kobiet.

- Trzy korony, proszę pana! Jestem pana za trzy korony!

- Pięć koron! Potrafię rzeczy, o jakich pan nawet nie śnił!

- Niech pan mi coś da! Mam w domu trójkę dzieci i już tydzień temu zamarżała mi woda!

Mała kurewka nie zachowała w tajemnicy swojego szczęścia. Teraz robiłem za jelenia, którego łatwo naciągnąć.

Były młode lub stare, a wszystkie jednakowo wychudzone. Ale to mi nie przeszkadzało.

Tę najbardziej nachalną, która starała się otworzyć sakwy przy siodle, chwyciłem brutalnie za ramię i przyciągnąłem do siebie. Znieruchomiała jak przyszpilony motyl.

- Ile was jest? - zapytałem. - Zapłacę wszystkim!

Jednocześnie odpiąłem rękawicę, Kleszcze wydostały się na zewnątrz. Dopiero w ostatniej chwili zapanowałem nad nimi i ledwo musnęły twarz kobiety, rozcinając jej kaptur i spinkę. Moje ręce przykryły fale brązowych włosów. Ręka wydłużyła się do swoich maksymalnych rozmiarów, światło odbijające się w ostrzach mieniło się wszystkimi barwami tęczy.

- Mogę zapłacić z góry, żaden problem - zarechotałem.

Babski szczebiot ucichł, patrzyły na mnie jak mały na olbrzymiego boa tuż przed dobrowolnym wejściem do jego paszczy.

- I gwarantuję, że nie będzie wam się podobało! - dodałem.

Kleszcze złożyły się z powrotem, ostrza jadowicie zazgrzytały jedno o drugie. Dziewki rozbiegły się we wszystkie strony.

- Na prawdzie zajdziesz najdalej - stwierdziłem, kiedy się nieco opamiętałem. - W jednej chwili pozbyliśmy się wszystkich.

- To już tylko kawałek - powiedziała Micuma, spoglądając na mnie bardzo poważnie.

Nie miałem pojęcia, co ten wzrok oznacza. Kiedy nie zareagowałem na jej zaczepkę, uderzyła kopytem o lód.

Zimny, sterylnie czysty dźwięk pomógł mi się uspokoić.

Pałac Waarda niczego nie udawał. Grubo ciosany budynek ze stali i grubego betonu udekorowany błyszczącymi, wielkimi oknami przypominał dekolt obrzydliwej staruchy ozdobiony perłowym naszyjnikiem.

Odźwierny bez zbędnych pytań wpuścił mnie do hali wejściowej. Oprócz kilku luf wielkokalibrowych karabinów wystających ze stanowisk strzelniczych w przeciwległej ścianie nie było tam zupełnie nic. Niezbyt mi się podobało to wnętrze. Spojrzałem na Micumę, ta skinęła głową i wycofała się na zewnątrz. Nie chciałem, żeby w wyniku jakiegoś głupiego nieporozumienia coś jej się stało.

- Jestem R.C., Raymond Curtis - przedstawiłem się najpierw inicjałami, a dopiero potem pełnym imieniem. - Chciałbym mówić z Wilhelmem Waardem - dodałem i od razu zacząłem się zastanawiać nad sposobem, w jaki się do niego dostanę, jeśli moje kurtuazyjnie wypowiedziane życzenie nie odniesie oczekiwanych efektów.

Czekałem pięć minut i nie dostałem odpowiedzi. W betonowej ścianie pojawiła się mikroskopijna szczelina, która rozszerzyła się stopniowo, tworząc korytarz.

* * *

Dotarłem korytarzem do krętych schodów i wszedłem na górę. Mimo nieprzyjemnej wilgoci bijącej od gołych ścian w pomieszczeniu było zaskakująco ciepło. Lśniąca srebrzyście podłoga rozpraszała ciemność w odcienie szarości. W kilku miejscach poczułem wyraźnie badawcze czary i ultrakrótkie fale elektromagnetyczne. Te środki bezpieczeństwa były jak najbardziej na miejscu, zwłaszcza w przypadku takich gości jak ja. Nikt mnie jednak nie zatrzymywał, każąc oddać Margaret albo Zabójcę, nie wspominając o Nożu. Może wystarczyła im świadomość, że mam taką broń.

Jeden krok i z podziemnego bunkra przeniosłem się do luksusowo urządzonego pałacu. Dywany, freski na ścianach, buzujący ogień.

- Tędy, proszę - odezwał się sługa w prostym czarnym garniturze.

Następny otworzył przede mną drzwi zdobione mosiężnymi okuciami. Salon. Salon kogoś, kto ma gust i odpowiednie środki, by stworzyć sobie otoczenie, które będzie mu odpowiadało, pomyślałem, patrząc na sufit pokryty drewnianymi kasetonami, inkrustowaną podłogę i meble stylizowane na kształt rozmaitych fantastycznych zwierząt. Osobliwego pokoju strzegły dwa portrety mężczyzn: japońskiego samuraja z kataną za pasem i hiszpańskiego dandysa z nożem o ząbkowanym ostrzu w dłoni. Ich oczy śledziły mnie, beznamiętnie i bez zainteresowania. Nie było nic dziwnego w tych obrazach.

Pegaz z rozłożonymi skrzydłami odwrócił się. To był fotel. Siedział w nim mężczyzna w wieku około czterdziestu, pięćdziesięciu lat, o jasnoniebieskich oczach.

Włosy miał krótko ostrzyżone, był starannie ogolony, a w jego uszach kołysały się kolczyki, każdy inny. W tej samej chwili dostrzegłem również dwóch innych mężczyzn - niemal identycznych, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, kanciaste ramiona, dwurzędowe marynarki, a pod nimi ukryta broń. Czy byli tu już wcześniej, a kamuflaż optyczny ukrył ich przed moim wzrokiem, czy też teleportowali się skądś na swoje miejsca?

- Chciał pan rozmawiać z Wilhelmem Waardem - zaczął mężczyzna w fotelu.

Przyglądał mi się badawczo.

- Owszem. Ale to nie pan. Waard powinien mieć co najmniej sto dziesięć lat.

- Jeśli rzeczywiście jest pan R. C. Raymondem Curtisem, to samo można by powiedzieć o panu - odparł. - Z drugiej strony, pański wiek z pewnością dużo trudniej określić niż mój.

Co racja, to racja. Moja pozszywana twarz wymykała się kryteriom wieku. Czy już słyszałem ten głos? Nie byłem pewien.

- Przyszedłem porozmawiać o tym, co się przydarzyło Raymondowi Curtisowi pod Sewastopolem. I o jego dalszych losach - powiedziałem surowo.

Oko nagle ocknęło się z długiego letargu i pokazało mi Waarda w podczerwieni, a potem w jakimś innym trybie, z pewnością już nie czysto fizycznym. Widziałem, jak pod czaszką mężczyzny kłębią się myśli. Coraz szybciej i szybciej, aż w końcu cały mózg zmienił się w pulsującą plamę.

- Zabijcie go - rzucił lakonicznie.

Mężczyzna po lewej sięgnął po broń, ale ja już miałem Zabójcę w dłoni. Rozległ się wystrzał. Skoczyłem w stronę drugiego przeciwnika, łokciem podbiłem lufę jego pistoletu i wbiłem mu w żebra. Na chwilę zamarł, spojrzał na swojego kompana, który próbował podnieść się na kolana. Dziura w tułowi, o średnicy talerza, nieco mu w tym przeszkadzała. Drugi ochroniarz nie wyciągnął z tego należytych wniosków. Delikatnie się pochylił, opuścił lewe ramię, żeby sięgnąć po rezerwową broń, którą z pewnością miał gdzieś pod marynarką. Pociągnąłem za spust. Strzał z bezpośredniej odległości rozerwał klatkę piersiową mężczyzny na strzępy i rzucił trupa na podłogę u moich stóp.

Wilhelm Waard nadal siedział w fotelu i obojętnie przyglądał się jatce, jaka rozgrywała się w jego salonie.

- W przeciwieństwie do poprzednich samozwańców pan rzeczywiście mógłby być Curtisem. On też nie wdawał się w zbyteczne dyskusje - dodał i klasnął w dłonie. - Zabijcie go.

Już to raz słyszałem.

Szermierze zstąpili z portretów. Słyszałem szelest jedwabiu, skrzypnięcie skóry, iluzja była doskonała. A może to wcale nie była iluzja.

Usunąłem się poza zasięg ich broni, wymierzyłem Zabójcę między wciąż obojętne oczy Hiszpana. Nie miałem ochoty na dyskusje. Wystarczyło dotknięcie, pociągnięcie za spust. Rewolwer wypluł śmiercionośny pocisk, ale Hiszpan zrobił unik z nierzeczywistą w tym świecie szybkością. Uwolniłem Kleszcze jednym szarpnięciem, szybki przewrót w tył przez stół pozwolił mi uniknąć ciosu kataną. Zablokowałem ostrze miecza Hiszpana zmierzające w stronę mojego brzucha. Wykorzystując długość oraz ruchliwość Ręki, zacząłem kontrować i trafiłem przeciwnika w biodro. Ustąpił. Na zdobionym koronkami stroju rozkwitała krwawa plama. Cudem odbiłem jadowite cięcie katany. Byli szybcy, bardzo szybcy.

Wystrzeliłem, Japończyk zrobił unik, jakby wyczuł moje zamiary. Uderzyłem Kleszczami, brzęknęła stal. Odskoczyłem przed cięciem miecza, z hukiem wpadłem na ścianę i odbiłem się. Wytrąciłem Hiszpanowi broń z ręki. Runęliśmy na podłogę i zaczęliśmy się szarpać. Wsiadłem mu na plecy i ścisnąłem udami, w odpowiedzi złamał mi nos ciosem ciemienia. Zdołałem zrobić mostek i zasłoniłem się przed cięciem katany. Ostrze skamieniało w powietrzu - Japończyk potrafił zatrzymać swój zabójczy atak.

Przyłożyłem Kleszcze do gardła Hiszpana, ale w pewnym momencie jego głowa straciła stały kształt i już po chwili patrzyłem mu w twarz - całe jego ciało przeformowało się do odwrotnego położenia. Mój uścisk zelżał, poczułem ząbkowane ostrze wbijające się w brzuch. Ruchem bioder odepchnąłem Hiszpana w stronę Japończyka, zerwałem się i sięgnąłem po Nóż. Skoro oni nie grali fair, ja też nie zamierzałem sobie żałować.

Nagle zaszli mnie z obu stron jednocześnie. Rzuciłem się na samuraja, przeciąłem Kleszczami ostrze jego katany. Zostawiłem go, osłaniając się Nożem przed szarżą Hiszpana. Był jednak zbyt szybki, poczułem w biodrze palące ukłucie. Próbowałem jeszcze zadać cięcie, ale przeciwnik zrobił unik, odskoczył, odchylił się i nagle ujrzałem ostrze jego miecza spadające jak gilotyna na moje ramię. Nóż, choć trzymałem go kurczowo, upadł na podłogę. Jakoś uciekłem przed ciosem, który jak

nic rozplątałby mnie od biodra do ramienia, ale jego błyskawicznemu następcy już nie. Czułem, jak moje żebra ustępują, a ich ostre końce wrzynają się głęboko w tkankę.

Leżałem na plecach, przyszpilony do podłogi ostrzem katany i miecza. Gejzer krwi tryskający z odciętej ręki szybko słabł, ciało usiłowało regenerować obrażenia. Czułem odłamki połamanych kości tuż przy sercu. Próbowałem się poruszyć, ale bez powodzenia. Cholera, tę potyczkę chyba przegrałem.

Słyszałem, jak Wilhelm Waard wstaje z fotela, chwilę potem go zobaczyłem. Wraz z nim przyszedł ból, piekielny ból, którego nie mógłby zaznać żaden człowiek. Już dawno byłby martwy.

- Witaj, Raymondzie - rzekł zamyślony Waard. - Wyglądasz trochę inaczej i wydaje się, że masz za sobą długą drogę. Nie rozumiem, jak ci się to udało.

Przez chwilę jeszcze tak rozmyślał, a ja tymczasem starałem się przywyknąć do bólu. Szło mi zaskakująco dobrze, miałem już w tym spore doświadczenie. Może jeszcze nie przegrałem - nawet jeśli została mi tylko jedna ręka...

- Mogłeś oszczędzić sobie wysiłku. Zabijcie go. Posiekajcie na kawałki i rzućcie je żebrakom! - krzyknął rozkazująco.

Echo jego słów jeszcze nie umilkło, a już wbijał się we mnie miecz - widziałem własną łydkę lecącą bezwładnie w stronę ściany. Kolejne cięcia, kolejne.

Japończyk wziął do ręki odciętą część ostrza, przyłożył do reszty, przytrzymał chwilę i nagle znów miał nienaruszony miecz. Następne cięcia, ból przybierał na sile, już nie mogłem sobie z nim poradzić, ale nadal nie umierałem. Waard kopnął mnie w głowę, a ta potoczyła się i zatrzymała dopiero przy stołowej nodze stylizowanej na płetwę morskiej panny. Widziałem krwawe ślady zostawione na wypolerowanym parkiecie przez poszczególne części mojego ciała. Chciałem, żeby to się już skończyło. Żeby posiekali mój mózg albo serce. Przecież i tak kiedyś umrę naprawdę, cierpienie się skończy i wreszcie będę miał spokój.

Kiedy skończyli, pojawił się sługa. Zachowywał się tak, jakby sprzątanie rozczłonkowanych ciał należało do jego codziennych obowiązków. Wrzucił to, co ze mnie zostało, do kosza wyłożonego polietylenowym workiem. Ostatnie, co spostrzegłem w jednym z przeblysków świadomości, to szermierze znów spoglądający na świat ze starych, popękanych płócien.

Potem ból zwyciężył. Straciłem siebie na zawsze - rozbity, rozszarpany na kawałki niepasujących wspomnień, wizji, cudzych myśli. Z niebytu wyrwały mnie uderzenia. Moja głowa turlała się stromymi schodami w dół opuszczonej uliczki pokrytej lodem.

* * *

Ból. W końcu przeniknie przez wszystkie bariery, do każdego zakamarka, rozreguluje wszystko. Z prawdziwym bólem nie da się żyć, prędzej czy później zabije każdego - każdego, kto go nie pokocha; strach, nienawiść i miłość stopią się w jedno.

Chłopczyk leży nagi na operacyjnym stole, ma zakrytą głowę. Przez cienką tkaninę obserwuje odbicie swoje i mężczyzn w białych kitlach w błyszczącej powierzchni gałek manipulacyjnych automatycznego chirurga. Ręce i nogi ma przywiązane, na ramieniu i tułowiu czerwoną linię cięcia; amputują mu lewe ramię razem ze stawem. Jeden z obecnych naciska guzik na panelu sterującym, agregat ekshaustora zaczyna huczeć, diamentowa pila kręci się i zbliża do ciała.

Ktoś krzychał, na pewno nie ja. Moje gardło ze strunami głosowymi było teraz bóg wie gdzie. To ten chłopczyk. Krzychał, choć nic go nie bolało, mężczyźni w kitlach wykorzystali dobre czary. Krzychał, bo wiedział, co go czeka później. Ból.

Mróz go przytępił, znowu rozpoznawałem własne myśli. Padał delikatny śnieg; nie, raczej kryształki lodu niż płatki śniegu, poznawałem ich obrysy, kiedy w zwolnionym tempie lądowały przede mną na ziemi. I na oczy, za chwilę całe będą pokryte lodem. Jeśli zebracy nie znajdą mnie w miarę szybko, rozmrażanie przez gotowanie będzie boleć.

Rękę amputowano, na stole operacyjnym wyposażonym w kanaliki odprowadzające krew zostały tylko czerwone plamy. Manipulator tkwi w martwym bezruchu. Ból. Znowu i znowu. Itak już przez cały czas.

Leżałem w łóżku. Głowa na poduszce, Ręka, obandażowana i uformowana w kształt ludzkiej kończyny, i prawe ramię na kołdrze. Czarne, cieniuteńkie linie znaczyły miejsca cięć. Wszystkie palce, nadgarstki na miejscu, skośna szrama na całej długości przedramienia oraz mnóstwo innych, poprzecznych. Bez sensu. Japończyk i Hiszpan ścigali się, kto szybciej mnie posieka na mniejsze kawałki, ale serce i mózg zostawili w całości. Jakby wiedzieli, że tylko tak mogą mnie zabić - albo kapryśny los nie miał jeszcze mojej śmierci w planach.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że żyję, istnieję, odczuwam - ból. Rozejrzałem się. W pokoju mieściło się tylko łóżko i stolik nocny. Stała na nim szklanka z wodą, na jej powierzchni formował się albo roztopiał lodowy skrzep. Cienki koc zdobiło mnóstwo nieregularnych brązowych plam - prawdopodobnie mojej krwi. Posiekali mnie na dwieście dwadzieścia sześć kawałków. Nie musiałem liczyć, każdy z nich czułem niczym rozżarzony szpikulec wbity wprost do mózgu. Ale wiedziałem już, że się z tego wyliżę. Potrafiłem to. Nauczyłem się tego - zacząłem szperać w pamięci, ale znowu natrafiłem na mur, białą plamę. Niezbyt się tym przejąłem, zdążyłem się już przyzwyczaić.

Wróciłem do oglądania pokoju. Mój wybawca mieszkał w bardzo skromnych warunkach, na pewno nie było go stać na wymianę zakrwawionej koldry. Miał jeszcze dwie miski, jedną większą od drugiej, trochę świeżo wypranych ubrań złożonych w kostkę na podłodze w rogu.

Zasnąłem albo zemdlałem, obudziło mnie skrzypnięcie drzwi. Wraz z powiewem mroźnego powietrza w pokoju pojawiła się drobnutka osóбка od stóp do głów opatulona w szmaty. Poznałem ją, zanim jeszcze zdążyła się rozebrać.

- Dlaczego mnie uratowałaś? - zapytałem kurewkę, której całą wieczność temu podarowałem pięć koron.

Przestraszyła się tak, że aż podskoczyła.

- Ja, ja... pan żyje! - wydukała.

- Dlaczego mnie uratowałaś? - powtórzyłem. Brzmiało to bardziej jak wyrzut niż pytanie.

- Bo mi pan pomógł. - Wzruszyła ramionami. W jej spojrzeniu mieszały się radość, strach, obrzydzenie i współczucie. - Kiedy przyszedł do mnie pański koń, wiedziałam, że stało się coś złego, jeszcze zanim zaczął mówić. Znalazłam - przez moment zastanawiała się nad właściwym słowem - kawałki pańskiego ciała na ziemi. Wszystkie pozbierałam, inaczej żebracy by je zjedli. Nie chciałam, żeby zniszczyli pana duszę. Kiedy człowiek nie zostaje pochowany w całości, jego duch błąka się po świecie - wyjaśniła, widząc, że nie rozumiem, co ma na myśli.

Patrzyłem na drobną kobietę z wielkimi, smutnymi oczami zbyt często krzywdzonego stworzenia.

- A dlaczego poskładałaś mnie do kupy? - chciałem wiedzieć. - Musiałaś się niezłe narobić.

- To... to było straszne. - Zatrzęsła się na samo wspomnienie. - Pański koń kazał mi to zrobić. Podobno ma pan bardzo silną, niemal materialną aurę, która może zdziałać cuda. Na początku mu nie wierzyłam, ale potem... potem części ciała zaczęły się ze sobą zrastać.

Micum. Nie wiedziałem, czy mam ją przekląć, czy być jej wdzięczny.

- Jak długo już u ciebie jestem?

- Ponad dwa tygodnie.

- Skąd bierzesz pieniądze? Gdybyś mnie nie karmiła, nie zrosłbym się z powrotem.

Zawahała się, zastanawiała, czy powiedzieć prawdę. Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią kłamać. Nie mają lekko na tym świecie.

- Wynajmuję pańskiego konia jako siłę pociągową, a sama pracuję - przyznała.

Nic nie powiedziałem, skinąłem tylko głową. Pomaganie mi bardzo dużo ją kosztowało. Sam bym nie dał rady, zdechłbym jak pies. Spróbowałem ruszyć ręką. Wytężyłem wszystkie siły i w końcu udało mi się ją odrobinę unieść.

- Obawiam się, że jeszcze nie jestem w stanie odejść - stwierdziłem.

- Nie szkodzi, dzisiaj miałam dobry dzień. Za ten pokój płacę cztery korony, a pański koń zarobił ich aż osiem. Musiałam go wynająć, żeby gdzieś pana ulokować i się panem opiekować.

Wyobraziłem sobie, jakie musiała pokonać trudności. W dodatku utrzymywała mnie teraz z tego, co zarobiła własnym ciałem.

- Odejdę, gdy tylko będzie to możliwe.

Przytaknęła ze źle ukrywanym strachem w oczach.

Może bała się, że odejdę zbyt późno albo przeciwnie - zbyt wcześnie. Nie pytałem. Nie chciałem wiedzieć o niej więcej, niż to było konieczne.

Następnego dnia udało mi się wstać z łóżka i zamienić na ulicy kilka słów z Micumą. Jak na konia miała całkiem praktyczne podejście do życia. Zabójcę i Margaret ukryła w zaspie, pewnie nadal tam leżały. Nie miałem pojęcia, co stało się z Nożem. Pewnie Waard go sobie zatrzymał.

* * *

Kobieta, z którą dzieliłem łóżko, a której imienia nie chciałem znać, nadal się o mnie troszczyła. Z każdą chwilą wydawała mi się coraz bardziej zaniepokojona. Nic jednak nie mówiła, a ja o nic nie wypytywałem.

Zazwyczaj wracała późno wieczorem, kiedy zapadałem w głęboki sen przypominający nieprzytomność, wstawała wcześniej rano, żeby wynająć Micumę. Wtedy zmagalem się z halucynacjami wywołanymi przez ból. Przez cały dzień, siedząc w samotności, zbierałem siły, zszywałem kawałki ubrania w coś nadającego się do użytku albo manipulowałem przy Margaret i Zabójcy, które pewnego dnia przyniosła mi moja wybawicielka. Cztery tygodnie po nieudanej rozmowie z Wilhelmem Waardem czułem, że dam radę przejść kilka metrów, nie upadając na ziemię. To oznaczało, że mogę sobie znaleźć inne zakwaterowanie.

Czekałem, aż przyjdzie. Siedziałem na łóżku, z rękami na kolanach. W tej pozycji rany nie bolały mnie aż tak bardzo. Chciałem powiedzieć swojej wybawicielce, że odchodzę, ale wrócę, kiedy będę miał pieniądze, choć i tak nigdy nie zdołam spłacić zaciągniętego długu.

Znałem już sposób, w jaki chodziła i otwierała drzwi. Weszła ze służącym za siatkę workiem jutowym w dłoni. Po raz pierwszy widziałem jej uśmiech. Położyła worek delikatnie, musiało w nim być coś niezwykle wartościowego.

- Mam cztery długie bułki z mięsem, jeszcze ciepłe! Spieszyłam się, żeby nie wystygły.

Powinienem powiedzieć, że to wspaniale, ale zamiast tego milczałem. Była do tego przyzwyczajona, nie zepsułem jej zbytnio humoru. Wypakowała bułki na stolik nocny, usiadła na łóżku kawałek ode mnie i łapczywie zabrała się do jedzenia. Były wyśmienite. Choć w czasie rekonwalescencji czułem permanentny głód, zmusiłem się, by zjeść tylko jedną, a dla niej zostawić trzy.

- Nie jestem głodny - skłamałem. - W łóżku człowiek nie traci za wiele energii.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, z kim rozmawiam. Ona jednak z wdzięcznością kiwnęła głową i sięgnęła po ostatnią bułkę.

- Odchodzę - oznajmiłem, kiedy skończyła.

Odwróciła się w moją stronę, w jej oczach dostrzegłem ulgę i żal.

- To dobrze - odparła po chwili. - Będę mogła żyć tak jak wcześniej. Teraz musiałam bardzo uważać, nikt nie mógł się zorientować, że pan u mnie mieszka.

Zaskrzypiały nadmarznięte drzwi. Do budynku wszedł ktoś masywny i pewny siebie. O dziwo, kroczył po schodach na górę, na poddasze, gdzie mieściły się najtańsze pokoiki. Ona jeszcze się nie zorientowała, ale ja już wiedziałem, że nieznajomy zmierza właśnie do nas. Rozwiązałem bandaż utrzymujący Rękę w kształcie ludzkiej kończyny i zacząłem go odwijać.

Drzwi rozleciały się w drzazgi, a opustoszałą nagle przestrzeń wypełnił spasiony facet w długim, kudłatym kożuchu z jakiegoś syntetycznego materiału i rękawicach wyglądających na drogie. Po drodze rozpiął guziki, żeby móc szybko sięgnąć po nóż, który spoczywał w pochwie na pasku nabitym żelaznymi ćwiekami. Wielką głownię można było bez problemu chwycić nawet w grubej rękawicy.

- A więc to tu się chowasz, suko jedna! I to z gachem. Nie płacisz mi tyle, ile się należy! - zapiał.

- To nie jest mój gach, a ja płacę dokładnie tyle, ile trzeba! - próbowała protestować.

Głos miała słaby, a ten bydlak w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

- Odkąd sprawiłaś sobie tę norę, myślisz, że jesteś czymś lepszym niż zwykła kurwa. Ale tu się mylisz, suko zawszona. Potnę ci pysk, będziesz musiała dawać dupy za połowę mniej. A prowizja zostanie ta sama!

Zaczęła cicho popłakiwać i odsuwać się jak najdalej od mężczyzny w drzwiach.

- W przeciwieństwie do pana jestem tu proszonym gościem - zwróciłem facetowi uwagę. - Proszę stąd odejść.

Powiedziałem „proszę”. Przymuszanie się do bycia grzecznym szło mi coraz lepiej.

Nie przyszło mi jednak do głowy nic dowcipnego, czym mógłbym rozładować sytuację. Do tego przecież służy humor, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Wypad stąd albo ciebie też potnę. Jestem Horth, a ta kurewka należy do mnie. Potnę jej pysk, tak dla przestrogi.

To imię miało chyba zrobić na mnie wrażenie. Cóż, nie byłem miejscowy. Sięgnął po nóż. Porządny nóż myśliwski z fałszywym ostrzem i ząbkami na jednej trzeciej długości. Idealny sprzęt do zastraszania.

- I zrobię to teraz.

- Nie! Proszę, nie! - błagała.

Podniosłem się. Chyba dlatego, że ten wysoki głos niezbyt do niego pasował. Chyba.

- Wypad stąd, frajerze. - Zamachnął się nożem i to był ostatni błąd, jaki popełnił w życiu.

Wbiłem mu Kleszcze w brzuch. W pierwszej chwili w ogóle się nie zorientował, co się stało.

- Teraz żeś sobie nagrabił - wysapał. W oczach miał szok.

Jeszcze nie czuł bólu.

- Zabiję cię za to. Ją też.

- Chyba trochę niewłaściwie oceniasz sytuację. - Spojrzałem w dół, na krew płynącą z jego rany.

Zrobił to samo i w końcu zrozumiał. Nóż wyslizgnął mu się z palców.

- Pomóż mi i zapomnimy o tym - diametralnie zmienił ton. Czoło miał zroszone potem.

Z zainteresowaniem obserwowałem, jak przychodzi ból.

- Znam jednego czarodzieja, który da radę to załatać. Zaprowadź mnie do niego i zapomnimy o tym - sapnął. - Idź po Arachina, no już - zwrócił się do kobiety, kiedy nie reagowałem. - Zostawię cię w spokoju, wszystko będzie po staremu.

Tworzyliśmy nieruchomą rzeźbę - ani jeden, ani drugi nie odważył się poruszyć, Kleszcze nadal tkwiły w ranie. Podobało im się to.

- Zabiją mnie, za to mnie zabiją - moja wybawicielka już nie narzekała, tylko mechanicznie powtarzała te same słowa.

- Dla kogo pracujesz? Imię - zażądałem od Hortha. Staliśmy w szybko powiększającej się kałuży krwi.

- A pozwolisz mi odejść?

Nagle zaczął się trząść i jedną ręką musiał oprzeć się o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

- Ja się nie targuję - odparłem z uśmiechem.

Zaczynałem się naprawdę dobrze bawić.

- Ściągam kasę dla Gasa - wysapał. Kolana się pod nim ugięły i całym ciężarem osunął się na Kleszcze.

Doskonale ostrza, najdoskonalsze, jakie kiedykolwiek widziałem, rozcinały mięso, poszczególne żebra, kości ramienia, aż wynurzyły się z ciała pokryte krwią. Martwy Horth padł na podłogę z dziurą w tułowi w kształcie niesymetrycznego V.

- Nie chciałam tego, nie chciałam, żeby pan go zabił - lamentowała kobieta. - Zamęczą mnie za to, żeby odstraszyć innych.

Krew na impregnowanej powierzchni Kleszczy szybko zaczęła tworzyć pojedyncze krople.

- Pewnie właśnie tak zrobią - przytaknąłem. - Na ich miejscu sam bym tak postąpił. Wiesz, gdzie znajdę tego Gasa?

Przytaknęła.

- No to idziemy.

- Gas zawsze ma ochronę - westchnęła.

- To dobrze. Trzeba dbać o swoje bezpieczeństwo - zgodziłem się. - Utnę sobie z nim krótką pogawędkę.

Micuma już czekała na zewnątrz. Nie dałem rady wskoczyć na siodło, wystarczyło jednak, że mogłem się o nią wspierać, idąc. Uświadomiłem sobie, że czuję się o wiele lepiej niż kilka minut temu. Jakby niekulturalny pan Horth oddał mi część sił życiowych, których już nie potrzebował.

Gas wybrał sobie na kwatery główną piwiarnię na rogu dwóch ulic, z których jedna, zasypana śniegiem do wysokości pasa, dumnie nosiła nazwę Węgielnej. Nazwa drugiej zaginęła razem z tabliczką. Moja przewodniczka nie kwapiła się zbyt, żeby wejść do środka, musiałem ją niemal wepchnąć. Trzymała się za mną ze wzrokiem wbitym w ziemię - ofiara w świecie drapieżników.

Gas siedział w największym kojcu z dwoma facetami chyba dwukrotnie większymi od niego. Przed nim na stole leżało mnóstwo monet, a nawet banknotów.

Zatrzymałem się i oparłem o ławę, żeby się nie chwiać. Obydwaj ochroniarze gapili się na mnie tępym wzrokiem, jakby nie potrafili sobie wyobrazić, że ktoś może przeszkadzać ich szefowi w tak ważnym zajęciu, jakim jest liczenie pieniędzy.

- Muszę porozmawiać z Gasem. Spadajcie.

Może to nie był zbyt serdeczny początek, ale nie musieli od razu sięgać po rewolwery. Przez cały czas trzymałem Zabójcę schowanego w długim rękawie płaszcza i byłem na trochę lepszej pozycji niż oni. Oddałem po jednym strzale. Ich nierdzewne gnaty upadły z hukiem na blat stołu, monety rozsypały się po podłodze. Gas patrzył na mnie w osłupieniu.

- Nie robię sam, pracuję dla Kohna - uprzedził mnie, jakby to miało rozwiązać wszystkie problemy.

Nie bał się, wyglądał tylko na zdziwionego. Przypominał szczura wędrownego, stworzenie zdolne poradzić sobie ze wszystkim, nawet jadem i promieniowaniem radioaktywnym. Kiwnąłem głową w ramach uznania za gotowość udzielania informacji, o które nawet nie zdążyłem poprosić.

- Ja w sprawie tej pani. - Spojrzałem na swą przewodniczkę. Przerażona opierała się o ścianę. - Horth mnie przysłał. Podobno to z panem mam rozmawiać.

Gas spojrzał na mnie zdziwiony, potem na dwa trupy i znowu na mnie, jakby dopiero teraz zaczął stopniowo uświadamiać sobie, jak wyglądam i kim jestem.

- Pan skasował Hortha i zabił moich dwóch ludzi z powodu jakiejś dziwki? - wysapał, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- Porozmawiamy o niej czy nie?

- Jesteś zupełnie nie w temacie. Nawet jeśli ja ciebie nie załatwię, zrobi to Kohn. Nie pozwoli, żeby jakiś dupek, nawet taki potwór jak ty, niszczył mu reputację - powiedział Gas już trochę spokojniej. - To twoja ostatnia szansa. Spieprzaj stąd.

Naprawdę się nie bał, trzeba mu to przyznać.

- Gdzie znajdę Kohna? - zadałem następne pytanie.

- W restauracji „U Singerów”, wydaje dziś córkę za męża. Zgromadził tam taką małą armię. Na twoim miejscu przemyślałbym to sobie. - Uśmiechnął się złośliwie.

- Niech mu pan daruje życie. I tak mnie zabiją, a nie chcę, żeby z mojego powodu zginęło jeszcze więcej ludzi - odezwała się cicho kobieta. - Moje życie nie jest nic warte. Zrobiłam coś strasznego, zasłużyłam na śmierć.

Gas milczał i nie spuszczał wzroku z rewolweru w mojej dłoni. Osobiście uważałem, że Zabójca jest zbyt wielki, by zabijać z niego ludzi.

- Jak się nazywasz? - odwróciłem się do swojej przewodniczki.

- Evelyn, ale dziewczyny mówią na mnie Val.

- Każde życie jest coś warte, Evelyn - przypomniałem jej prawdę, o której nazbyt często się zapomina, i odwróciłem głowę dokładnie w tym momencie, żeby zobaczyć, jak Gas wyciąga rękę po jeden z rewolwerów leżących na stole. - Chciałem tylko z tobą pogadać, ale skoro nie możesz sobie dać na wstrzymanie... - Wzruszyłem ramionami i zrobiłem mu taką dziurę w tułowiu, której nawet najlepszy felczer nie zdołałby załatać. Życie Gasa kosztowało mnie jeden nabój do Zabójcy, całkiem drogi. Łoża już nie wyglądała tak przytulnie, przypominała raczej ubojnię, ale... wzruszyłem ramionami.

Kilku klientów zerkało odważnie w naszą stronę. Albo nic nie słyszeli, albo strzelaniny w knajpach są w Ostrawie częstą i pospolitą rozrywką. Zgarnąłem pieniądze ze stołu i odwróciłem się w stronę wyjścia.

Evelyn ciągle opierała się o ścianę, cała się trzęsła.

- Niech pan już nikogo nie zabija ze względu na mnie. Proszę. Zasłużyłam sobie na to, na wszystko sobie zasłużyłam. Moje życie nie jest nic warte. Naprawdę, proszę.

Niektórzy ludzie odczuwają współczucie, inni nie. Na szczęście zaliczam się do tych drugich.

- Idziemy. To jak ogniwa w łańcuchu pokarmowym, nie ma sensu kończyć w połowie.

Znowu czułem się lepiej niż wtedy, kiedy wchodziłem do tej knajpy. Słabość cielesna była już nieistotnym wspomnieniem. Ruch i odrobina emocji dobrze mi robiły.

Zaszedłem do hotelu, w którym zatrzymałem się przed wizytą u Waarda, żeby odebrać Greysona. Właściciel nawet nie mrugnął, podał mi tylko broń, a potem z zainteresowaniem przyglądał się, jak sprawdzałem mechanizm i ładowałem komory. W sakwach zostały już tylko dwa granaty, cięższe niż inne. Ich użycie wymagało specjalnej okazji, a na to się jeszcze nie zanosilo.

- Idę w odwiedziny - pożegnałem się.

- Zatem powodzenia.

Skierowałem się w stronę sieni, popychając przed sobą Evelyn. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, lecz nie mogłem na to pozwolić. Już choćby dlatego, że z jej powodu straciłem trzy naboje. Ale też dlatego, że byłem jej dłużny więcej, niż kiedykolwiek zdołam spłacić.

Micama niecierpliwie potupywała przed wejściem - termometr wskazywał minus trzydzieści siedem stopni.

- Mam nadzieję, że nie zamarzniemy - poklepałem Greysona.

Margaret i Zabójcę schowałem pod płaszc.

- Czy aby na pewno trzeba użyć w tej rozgrywce ołowiu i prochu? - zapytała Micuma.

Dobrze mnie znała i wiedziała, co zamierzam.

- Nie, proszę pana, niech pan tego nie robi. Zasłużyłam na śmierć. Naprawdę, zabiłam własne maleństwo, nie chcę dłużej żyć - wyrzuciła z siebie Evelyn, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

Wizja, której miałem nadzieję już nigdy nie ujrzeć, wróciła.

Palce starające się okręcić zbyt krótką pępowinę wokół szyi noworodka, dźwięk otwieranego kubła na śmieci i głucho uderzenie pełnego worka o stertę odpadków. Potem nagle zamiast śmietnika - stół operacyjny, ramię automatu chirurgicznego i ciało dziecka z obandażowaną klatką piersiową, tym razem już bez ramienia...

Uświadomiłem sobie, że opieram się o Micumę i trzęsę z osłabienia.

- Zrobiłam to, nie chcę już dłużej żyć.

Patrzyłem na Evelyn, zaciśnięte usta tworzyły na jej twarzy cieniutką linię. Oko chaotycznie próbowało nastawić ostrość, rozedrgane Kleszcze gotowe były w każdej chwili wydostać się na zewnątrz. Rękę schowałem za plecy, żeby mnie czymś nie zaskoczyła.

- Chce mnie pan zabić, widać to po panu - powiedziała prawie z entuzjazmem Evelyn. - Zasluguje na to bardziej niż inni. Moje życie nie jest nic warte.

- Evelyn! - powiedziałem cicho i sprawdziłem, czy nie trzymam przypadkiem jakiejś broni. Dopiero potem położyłem jej dłoń na ramieniu. - Nie mam prawa nikogo oceniać, ciebie też nie. A każde życie jest coś warte.

- Nikomu tego nie powiedziałam, nigdy. Tylko panu. Staram się odkupić swoją winę każdego dnia, ale... - Pokręciła głową z rezygnacją.

Byłem ostatnią osobą, która miałaby prawo kogokolwiek sądzić.

- Przebaczam ci - powiedziałem jak najłagodniej, starając się wyglądać niczym nowo narodzony człowiek.

Skłamałem, a ona mi uwierzyła.

Obok nas przeszła para opatulona kożuchami i rzuciła nam zdziwione spojrzenie. I to zniweczyło ulotny czar chwili.

- A teraz idziemy do Kohna - wróciłem do konkretów.

- Ale pan już przecież nie będzie... ze względu na mnie - zaprotestowała. - Po tym, co panu powiedziałam...

- A kto ci powiedział, że to ze względu na ciebie? Robię to sam dla siebie. W ramach pokuty - rzuciłem ostro i ruszyłem przed siebie.

Zmarzłem, Evelyn musiała być bliska wychłodzenia, maszerowaliśmy zatem szybkim i energicznym krokiem.

Restauracja „U Singera” nie została udekorowana. Jedyne mozaika plastikowych elementów izolacji zdobiła ściany. Okna osadzono w nich głęboko, musiały mieć jakieś pół metra grubości. Z pewnością w skutej lodem Ostrawie były o wiele bardziej praktyczne niż artystyczne reliefy. Przed wejściem stało dwóch strażników. Zauważyłem, że od tyłu wjeżdża na podwórko wóz, prawdopodobnie z zapasem delikatesów dla weselników. Postanowiłem zostawić główne wejście dla zaproszonych gości.

Przemknąć się było stosunkowo łatwo, wystarczyło spojrzeć niezbyt przyjaźnie na woźnicę i jego pomocnika. Doszli do całkiem słusznego wniosku, że nie mają kwalifikacji do wdawania się w dyskusję z takimi typami jak ja.

Z sali dobiegał zgiełk. Przemykając przez kuchnię, nie zauważyłem żadnych ochroniarzy, tylko obsługę. Patrzyli na mnie zdziwieni, lecz o nic nie pytali. Z pewnością uznali mnie za kogoś z ochrony, a Evelyn z personelu pomocniczego. Pan Kohn nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do środków bezpieczeństwa. A może wszystko kontrolował - tylko nie wziął pod uwagę przyjezdnych, którzy nie mieli pojęcia o jego pewności siebie.

- Jak to wygląda w środku? - zapytałem wycieńczonego kelnera, który wypadł z pustego na razie salonu z pięknie przystrojonym stołem biesiadnym.

- Kończy się część oficjalna, panie idą się przebrać - zdradził, nawet nie zwalniając.

W pomieszczeniu obok umilkła muzyka. Stałem przy drzwiach, które się otworzyły. Przeszła przez nie gromada kobiet i dziewcząt z panną młodą na czele. Evelyn niemal utonęła w zalewie koronek i efektownych kreacji. Uprzejmie przytrzymałem drzwi.

- Będzie lepiej, jeśli wejdiesz do środka chwilę po mnie - powiedziałem Evelyn, kiedy zostaliśmy na korytarzu przez chwilę sami.

Wszedłem do sali weselnej i z suto zastawionego stołu pożyczyłem sobie dwie tace. Wyszukane specjały ukryte pod srebrnymi pokrywami zastąpiłem Margaret i Greysonem, Zabójcy musiała wystarczyć mniej wytworna kryjówka pod płaszczem. Już miałem wejść do salonu, gdzie zostali wszyscy mężczyźni, gdy zjawił się kelner z tacą pełną kieliszków z koniakiem.

Zatrzymałem go, wziąłem jeden i jednym haustem wlałem w siebie trunek. Był naprawdę dobry.

- Może trafi się coś jeszcze lepszego, jeśli chwilę pan tu zaczeka - poradziłem kelnerowi i ruszyłem w stronę drzwi, z tacą w każdej dłoni. Mężczyzna odprowadził mnie zdziwionym wzrokiem, ale posłuchał.

W powietrzu wciąż unosiły się wspomnienia niedawno skończonego tańca, perfum i zapachu jeszcze niespoconych ciał. Nikt nawet na mnie nie spojrział, wszyscy byli przyzwyczajeni do krzątającej się dyskretnie, wszechobecnej obsługi. Moje akcesoria stanowiły doskonały kamuflaż.

Skierowałem kroki w stronę grupki starszych mężczyzn skupionej wokół łysego faceta z dystyngowanym brzuszkiem. Zanim do nich dotarłem, otworzyły się drzwi i do sali wpadł człowiek w długim płaszczu i wysokich butach. Podbiegł do mężczyzny, którego uznałem za Kohna, i coś mu krótko zrelacjonował. Nie musiałem ich słyszeć,

domyśliłem się, o co chodzi. Doszedłem do najbliższego stołu i położyłem na nim obie tace.

- Panowie, mamy na naszym terytorium wroga - Kohn uciął krótko swobodną dyskusję. - Prawdopodobnie spróbuje dostać się również tutaj. Nie wiemy, kto to, ale już zastosowałem odpowiednie środki. Patrole wokół restauracji zostaną wzmocnione. Nie pozwolimy jednak, żeby coś nam zepsuło ten uroczysty dzień. Będziemy spokojnie świętować, a jutro powieszę tego łajdaka na jego własnych flakach. I zrobię to osobiście. Jak śmiał tak obrazić moją rodzinę!

Ten rozemocjonowany potok słów został nagrodzony pełnymi szczerego podziwu spojrzeniami. Ja tymczasem zdążyłem znaleźć odpowiednią pozycję do mających się za chwilę rozpocząć pertraktacji.

- Nie dałoby rady załatwić tego już dzisiaj? - zaproponowałem.

Wszyscy się odwrócili i jak jeden mąż odruchowo sięgnęli pod płaszcze.

- Dość! - powstrzymał ich starszy mężczyzna. - Zostawcie go. Niech powie, o co mu właściwie chodzi. Możemy go przecież zabić w każdej chwili.

Pan Kohn natychmiast pojął, że to właśnie mnie przed chwilą obiecał osobiście poświęcić uwagę. Do jego gości docierało to jakoś wolniej.

- Chodzi o kobietę imieniem Evelyn - wyjaśniałem. - Pracowała dla niejakiego Hortha. Zabiłem go, ponieważ zbyt natarczywie wymachiwał nożem. Potem próbowałem porozmawiać z panem Gasem, ale jego obstawa okazała się dziwnie nerwowa i spotkanie skończyło się niezbyt szczęśliwie. W związku z tym postanowiłem zwrócić się bezpośrednio do pana. Nic osobistego, zwykły biznes.

Kohn najpierw zrobił się czerwony, potem siny, widziałem, jak pulsują mu żyły na szyi.

- Oczywiście spokojnie i z umiarem, jak wymaga tego dzisiejsza uroczystość, tak szczególna dla pańskiej rodziny - dokończyłem.

Micama zawsze twierdziła, że nie umiem rozmawiać z ludźmi. Dzisiaj z pewnością byłaby zaskoczona.

- Odważyłeś się przeszkodzić mnie i moim gościom w taki dzień z powodu jakiejś dziwki?! - wybuchł Kohn.

Gas ujął to podobnie. Może powinienem był najpierw złożyć pannie młodej najlepsze życzenia? Może wtedy rozmowa przebiegłaby w spokojniejszej i sympatyczniejszej atmosferze?

- Kurwa, zabić go!

Podobnie jak w piwiarni, to nie było starcie fair. Greysona i Margaret miałem bezpośrednio przed sobą na stole, ukryte pod pięknymi pokrywkami.

Przewróciłem stół kopniakiem, pociągając na przemian za jeden i drugi spust. Najszybciej zareagował pan młody i jeden mężczyzna po lewej. Pocisk z Margaret eksplodował, mocno przetrzebając tłum, strzał z Greysona rzucił pozostałych na ziemię. Utrzymałem się na nogach i strzelałem dalej. Wokół ze świstem przelatywały pociski i odłamki, powietrze wypełniło się ceglanym miałem, kawałkami tynku, drzazgami z kasetonów i mebli, kawałkami szkła. Margaret i Greyson ryknęły jednocześnie. Byłem jak okręt wojenny otoczony stateczkami, odpierałem napierającą ze wszystkich stron zagładę. Dopiero gdy przypuścili atak po raz piąty, ukryłem się za stołem i wystrzeliłem kolejne dwa granaty w kierunku wejść, studząc nieco bojowy zapal nadciągających posiłków. Magia dodała ładunkom pikanterii. Wybuchy wstrząsnęły budynkiem. W ostatniej chwili rzuciłem się w prawo, uciekając przed diabelskim czarem, który zostawił w podłodze krater głęboki na dobre trzy metry. - Tam jest!

Ruszyłem prosto w krzyżowy ogień przeciwników. Czwarty wystrzał z Margaret urwał głowę wysokiemu blondynowi, który wcześniej postrzelił mnie w udo. Skierowali na mnie magiczny, termalny atak. Czuję gorąco nawet we włosach, na szczęście talizmany rozproszyły niemal cały czar. Mieli naprawdę dobrego czarodzieja. Nie wątpię, że mnie pokona, to była tylko kwestia czasu. Strzeliłem w sufit, zamieniając ogromny żyrandol w broń masowego rażenia. Runął prosto na walczących. Zdażyłem skulić się na dnie krateru. Działanie magii ustało, widać żyrandol trafił też czarodzieja. Odłożyłem pustego Greysona i załadowałem do Margaret ostatnie cztery naboje.

Ku mojemu zdziwieniu nadal strzelali, a przecież amunicja, której używałem, powinna być nieco bardziej skuteczna. Prawdopodobnie większość gangsterów chroniły jakieś czary. Dwaj przeciwnicy pojawili się jednocześnie u wylotu krateru. Strzeliłem, jednemu urwało rękę i nogę, drugi zeszywniał, a jego broń zaterkotała. Poczulem trafienie w brzuch, straciłem ucho. Schowałem Margaret i chwyciłem pistolet, którym obdarował mnie świeżo upieczony inwalida. Skoczyłem, jeszcze w locie strzeliłem do tego odpornego łajdaka. W końcu się poddał. Poślizgnąłem się na krwi i spojrzałem prosto w lufę pistoletu samego pana Kohna. Leżał pośród ciał swoich ludzi. Nie dało się już poznać, czy jest siny, czy też nie. Trzymał broń kurczowo w obu dłoniach.

- Zabiję cię, skurwielu - wyszczał. Czulem impuls, który popłynął z jego mózgu przez mięśnie ręki aż do palca, każąc pociągnąć za spust. Nie mogłem nic zrobić, jednak niezbyt mi to przeszkadzało. Zagrałem z losem va banque. Zamek szczęknął, dostałem w czoło lufą.

- Pusty magazynek.

Kohn rzucił się z podziwu godną zwinnością po kolejny pistolet. Sięgnąłem po Zabójcę, który w tym zamieszaniu w ogóle nie miał okazji dojść do głosu, to nie było fair. Facet z rozprutym brzuchem leżący obok mnie wyrecytował jakiś wierszyk, a potem się zaśmiał. Oszalał z cierpienia. Tak to bywa przy ciężkich obrażeniach, gdy przybycie śmierci powstrzymuje już tylko magia. Kohn próbował do mnie strzelić, ale znowu bez powodzenia.

- Za mało amunicji. To musi być przykre - stwierdziłem.

Obserwował mnie, w jego oczach nienawiść mieszała się z niezrozumieniem. Nie wiedząc jak i dlaczego, z drapieznika przeistoczył się w ofiarę.

Na „jak” odpowiedź była prosta, na „dlaczego” tak skomplikowana, że sam jej nie pojmowałem.

- Tak się zastanawiam, czy już się wstrzeliłem na sam szczyt łańcucha pokarmowego. I czy Evelyn będzie miała spokój - dodałem, obserwując Kohna.

Zabójcę trzymałem w opuszczonej ręce, Kleszcze z niesmakiem skrzypiały w rękawicy. Nie skosztowały krwi, informowały mnie o swoim niezadowoleniu.

- Nie wstrzelił się pan, ale sądzę, że mogłabym udzielić zadowalającej odpowiedzi na pańskie drugie pytanie - od strony wejścia odezwał się głos.

W dziurze powstałej po wybuchu granatu z Greysona stała wysoka kobieta w płaszczu spiętym na piersiach matową sprzączką. Długie czarne włosy przytrzymywane srebrną opaską spadały jej swobodnie na ramiona i plecy. Sprawiała wrażenie surowej i oschłej. Życzliwości było w niej chyba tyle, ile w szlifowanym diamencie.

- Więc jak, panie Kohn?

Nawet na niego nie patrzyłem. Zabójca śledził każdy jego ruch, kiedy Kohn szukał nabitej broni.

- Zabiję cię! - wycharczał.

Dopiero teraz zauważyłem, że kamizelka starego gangstera jest cała podziurawiona, prawdopodobnie odłamkami. Wszystkie trafiły w płuca. To potwierdziło moje przypuszczenia - chroniły ich doskonale czary.

- Niech pan tego nie robi, panie Kohn - ostrzegła go kobieta, nie ruszając się ani na krok.

Wiedziałem, że nie posłucha. Zabójca huknął, Kohn zeszywniał, pochylił się, by spojrzeć na ranę. W jamie brzusznej nie zostało praktycznie nic, ale czary nadal utrzymywały gangstera przy życiu. Usiłował chwycić mały automat, który gdzieś znalazł.

- To już nie będzie potrzebne - kobieta próbowała mnie powstrzymać.

Może miała rację, ale to nie ja zacząłem. Drugi pocisk urwał Kohnowi głowę. Na to już żadne czary nie pomogą.

- Evelyn? - zawołałem cicho.

Po wszystkich wybuchach i strzelaniu nie słyszałem własnego głosu, Evelyn na szczęście tak. Obca kobieta odsunęła się, by ją przepuścić. W porównaniu z nią moja wybawicielka wydawała się dziwnie mała i drobna.

Evelyn. Czy aby na pewno jej pomogłem? Z przerażeniem rozglądała się wokoło, w jej oczach migotała groźba obłędu. Restauracja wyglądała teraz jak marna rzeźnia, której pracownicy schlali się i nie dokończyli zaczętej pracy. Niektórzy ranni mieli drgawki, inni starali się wepchnąć wnętrzności z powrotem i zamknąć rany, jednak większość już oszalała z bólu.

Nie powinna była się rozglądać, nie każdy potrafi znieść taki widok. Zgięła się w pół i zaczęła wymiotować. Cierpienie fizyczne złagodziło psychiczne, znałem to. Poczekalem, aż Evelyn trochę się uspokoi. Czułem się o wiele gorzej, niż powinienem po kilku postrzałach ze zwykłej broni. A może wcale nie była taka zwykła, może używali również magicznej amunicji? Zresztą nieważne. Ja przeżyłem - oni nie.

Mój wzrok starł się ze wzrokiem nieznanym. Nie ustąpiła, studiowała mnie jak interesujący eksponat w muzeum, do którego zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu.

- Mówił pan, że każde życie jest bezcenne - powiedziała Evelyn trzęsącym się głosem.

Chwilę trwało, zanim dotarło do mnie, co właściwie chce przez to powiedzieć.

- Tak - przytaknąłem. - Ale oni wszyscy - wskazałem lufą Zabójcy ludzi wokół siebie - umarli, żebyś ty mogła żyć. Tyle jest warte dla mnie twoje życie.

- Nawet po tym, co panu powiedziałam?

Zadrzałem, zmusiłem się, żeby spojrzeć jej w oczy. Zobaczyłem w nich ból i cierpienie, tak bardzo mi bliskie.

- Tak, nawet po tym.

Nie kłamałem.

- Pani? - Odwróciłem się do nieznajomej. - Powiedziała pani, że nasz problem jest rozwiązany.

- Owszem - potwierdziła.

- A kim pani jest, że mówi to pani z takim przekonaniem?

- Jednym z władców Ostrawy. Czy raczej jednym z władców tutejszych podziemi, mówiąc dokładniej.

Wzruszyłem ramionami. Władca to władca. Zmęczenie stopniowo ustępowało, ale myślenie nadal nie wychodziło mi najlepiej.

- Kohn był pani człowiekiem?

- Kohn był niewiele znaczącym, lecz samodzielnym graczem. Teraz przejmę po nim terytorium. A w stosunku do pani Evelyn - ruchem głowy wskazała drobną kobietę - nie mam oczywiście żadnych roszczeń i oczekiwań. Może gdyby zdecydowała się oddać swój talent organizacyjny na moje usługi... Ale to oczywiście zależy tylko od niej.

- W takim razie na tym kończy się moja rola - uciałem rozmowę i skierowałem się w stronę wyjścia. - Muszę się wyspać i najeść.

- Dla pana również mam pewną ofertę.

- Cieszę się, ale nie teraz. Najpierw sen i jedzenie. - Machnąłem ręką.

Miałem nadzieję, że Micuma ciągle czeka na zewnątrz, że nikt jej nie ukradł. Bez jej pomocy ciężko by mi było dowlec się do hotelu.

Ledwie ruszyliśmy w drogę powrotną, uświadomiłem sobie, że zostawiłem w restauracji puste magazynki do Zabójcy i Margaret. Wszystkich z pewnością bym nie odnalazł, ale im więcej, tym lepiej. Musiałem jeszcze poszukać mechanika, który zrobiłby nowe.

Brodzenie po kostki w krwi, przewracanie poharatanych ciał i zbieranie wystrzelanych łusek to chyba najgorsze, co mi się tego dnia przytrafiło. Do pokoju dotarłem na wpół przytomny.

* * *

Siedziałem w podziemnej bibliotece, przeglądając połówki gazety i roczniki miejskie. Wciąż była ogólnodostępna, pewnie dlatego, że jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, jak zarobić na starych, setki razy przeszukiwanych archiwaliach. Wstęp kosztował ćwierć korony, co powstrzymywało żebraków przed przychodzeniem tu, żeby się ogrzać, choć

nie było tu jakoś szczególnie ciepło. Niektórzy z wysuszonych staruszków przepisujących i spisujących bóg wie jakie mądrości palili pod kałamarzami świeczki, żeby tusz nie zamarzł; szczęśliwi posiadacze piór ze specjalnym wkładem nie mieli takich problemów. Termometr, przedmiot najczęściej zdobiący ulice Ostrawy, wskazywał w tym wielce przyjaznym miejscu minus trzy stopnie. Luksus.

Otworzyłem kolejny zeszytniały ze starości tom. Ilustracje już dawno wyblakły, litery w niektórych miejscach również, ale większość artykułów ciągle dało się przeczytać.

„Raymond Curtis doprowadził do uchwalenia kodeksu czarodziejów”, głosił grubymi literami nagłówek. Autor opisywał w artykule sukces prominentnego polityka, czarodzieja i wojownika w walce przeciwko bezprawiu.

Nadal wiedziałem zaskakująco mało o mężczyźnie, który ocalił ludzkość i którym kiedyś byłem. Podobno jego zdolności władania nadprzyrodzonymi mocami nie miały granic, a mimo to wielu wątpiło, czy w ogóle jest czarodziejem; chociaż nie należał do żadnej mocarstwowej kliki, zyskał wielkie wpływy i stworzył własną religię. Jednak ani potęga, którą dysponował, ani bliskie deifikacji uwielbienie, jakim darzyli go ludzie, nigdy nie zepsuły Curtisa. Bardziej przydatnych informacji znalazłem niewiele, prawie wcale. Same poszlaki, szczątki porozrzucane po kolumnach brukowców, kronikach społecznych, czasami w nudnych artykułach poświęconych ekonomii z czasów, gdy jego wpływy rozciągały się również na gospodarkę. Na temat ostatnich dziesięciu lat życia Curtisa, bezpośrednio poprzedzających bitwę o Sewastopol, kiedy to nieludzkich istot niespotykanych dotąd odmian było coraz więcej, a konflikty z nimi wybuchały coraz częściej, nie znalazłem prawie nic. Może dlatego, że z tamtych czasów zostało bardzo mało dokumentów. To była dekada nieustannych niepokojów, katastrof, epidemii, gorączkowych prób tworzenia i zrywania paktów z nieludźmi, stworami, potworami - w zależności od intencji autora danego artykułu.

W ten sposób po tragicznej bitwie o Sewastopol powstała legenda o Raymondzie Curtisie, obrońcy ludzkości.

Wyciągnąłem się na krześle i wbiłem wzrok w sufit wzmocniony stalowymi legarami. Dym ze świeczek, porywany przez potężne wiatraki o średnicy dobrych trzech metrów, leniwie podążał w stronę otworów wentylacyjnych, omijając sople. Wyżej, nad biblioteką, z pewnością było kilka stopni więcej, ale sam sufit miał temperaturę ujemną.



W dotąd cichej podziemnej sali zadudniły kroki. Długie, jakby szedł mężczyzna, lekkie, jakby szła kobieta, energiczne, jakby - spojrzałem i zobaczyłem tajemniczą nieznajomą, władczynię części ostrawskich podziemi, którą spotkałem na nieudanym weselisku córki pana Kohna.

Nie szukała mnie, dokładnie wiedziała, w którym miejscu siedzę. Zatrzymała się przy zawalonym gazetami stoliku. Wstałem, przysunąłem jej stojące obok krzesło i czekałem. Znowu miała na sobie płaszcz z watowanymi ramionami, tym razem w kolorze indygo, ze srebrnym haftem naśladującym nitowanie starych konstrukcji stalowych. Kiedy szła w moim kierunku, poły jej płaszcza rozchyliły się i odsłoniły nienaturalnie gęstą ciemność.

- Przyszłam w sprawie oferty, którą chciałam panu złożyć.

Skinąłem głową. Milczałem.

Nie należała do osób, których słowa można by zlekceważyć. Z pewnością miała na swoje usługi wielu chłopców na posyłki, gońców, ludzi do różnorodnych zadań, którzy spełniliby każdy jej rozkaz bez zadawania pytań. Albo przynajmniej by próbowali.

- Proszę się zastanowić, dlaczego przyszłam właśnie do pana. Mam przecież dość własnych ludzi.

Nie czułem presji - psychologicznej, telepatycznej ani żadnej innej. Może nieznajoma miała trójwymiarowy skaner rezonujący podłączony do sztucznej inteligencji, która w czasie rzeczywistym ściągała i analizowała impulsy w moim mózgu, odczytując myśli? Myślałem nad tym przez chwilę. Prawda z pewnością była o wiele prostsza i bardziej prozaiczna.

- To prawda, ma pani - przytaknąłem. - Czy to odpowiednie miejsce do tak poufnych rozmów? - zapytałem i jednocześnie uświadomiłem sobie, że i owszem.

Nikt nie zważał ani na nią, ani na mnie, nikt nie poświęcił nam nawet strzępków uwagi. Przechodzący obok człowiek z naręczem omszałych ksiąg skierował się w stronę stołu, jakby mnie nie widział i chciał przy nim usiąść. W ostatniej chwili rozmyślił się i powędrował dalej, do następnego rzędu.

- Ze względu na to, kim pan jest i jakie legendy krążą o pana umiejętnościach...

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. Bardzo się starałem, żeby nie krążyły o mnie jakiegokolwiek legendy, liczba nabożów potrzebnych do zapewnienia sobie całkowitego incognito wydawała się jednak nieskończona. Nie byłem w stanie zdobyć ich aż tyle.

- ...idealnie się pan nadaje do tego zadania - dokończyła.

- Do czego konkretnie? - zapytałem wprost. - Nie marnujmy czasu.

Emanowało z niej coś, co zmuszało mnie do ciągłej koncentracji. Szkoda, że straciłem Nóż. Czasami ostrzegał mnie, że w obcej mi istocie kryje się więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Nieznajoma była właśnie kimś takim.

- Jakiś czas temu nakazałam zabicie swojego konkurenta, on jednak nadal żyje. Oczekuję, że sprawdzi pan, jak do tego doszło.

Kolejne zaskoczenie.

- To proste. Wynajęty zabójca oszukał panią. Albo nie udało mu się wykonać zadania, albo konkurent zapłacił mu więcej - odpowiedziałem natychmiast.

Pokręciła głową. Jej ciało od szyi w dół nie drgnęło nawet na milimetr.

- Tę opcję już wykluczyłam. Sprawdzenie, co się naprawdę stało, będzie oczywiście wyłącznie pańskim zadaniem.

- Czy mogłaby mi pani zdradzić więcej szczegółów?

- Zanim pan powie, że podejmie się tego zadania? Zanim zobowiąże się pan do milczenia? Zdaje pan sobie sprawę, ile wysiłku kosztowało mnie przygotowanie wszystkiego tak, by nie łączono mnie z tym zabójstwem, czy raczej próbą zabójstwa? - zapytała. Po raz pierwszy chłód i oschłość zniknęły z jej twarzy.

Najwyraźniej dobrze się bawiła.

- Właśnie tak.

- Musi pan zrozumieć jedno. Żadne skrupuły nie przeszkodzą mi w osiągnięciu celu albo obronie własnych interesów.

- To dla mnie oczywiste. Choćby dlatego, że przed chwilą przyznała się pani do zlecenia zabójstwa. - Wzruszyłem ramionami.

- Doskonale. - Przytaknęła głową. - Zapłaciłam panu Martowskiemu sto tysięcy za wyeliminowanie Vika Wachtmana - wróciła do rzeczy.

Rzeczywiście nie miała żadnych skrupułów. Nie owijała w bawełnę, zmierzała prosto do sedna. Obserwowałem ją, dając do zrozumienia, że słucham uważnie.

- Vik Wachtman to szef gangu, który kontroluje Polankę i Proskovice, dwie peryferyjne dzielnice. Ostatnio jednak zaczął się pchać do centrum miasta. Chciałam uniknąć wojny, i bez niej mam dość problemów.

- Zapłaciła pani z góry?

- Połowa z góry, połowa po wykonaniu zlecenia.

- Jeszcze pani nie sprawdziła, czy zostało wykonane?

Rzuciła mi długie spojrzenie. Ten afront nie przypadł jej do gustu. Nie mój problem.

- Pan Martowski jest dość specyficznym człowiekiem. Nie miałam powodu wątpić w jego słowa. Ale gang Wachtmana działa tak jak wcześniej, a sam Vik ostatnio kilka razy pokazał się publicznie.

- Oczekuje pani, że sprawdzę, jakim cudem on żyje.

- Tak.

Rozległ się kaszel, stopniowo przechodzący w regularny charkot. Odwróciłem się w stronę źródła dźwięku. Stary mężczyzna padł w konwulsjach na blat stołu, walczył o oddech. Walczył i przegrał. Wykaszłał strzępy wnętrzości, plując krwią na arkusz, na którym coś zapisywał. W jego oczach pojawiła się rozpacz. Oko nagle przeszło na zbliżenie i tryb rentgenowski, pokazując mi płuca umierającego - rozplątane tuberkulozą, całe w czarne plamy, jakby ostatni bezpiecznik rozpadającej się tkanki ukrywał guz. Potem nagle charkot ucichł, na twarzy nieszczęśnika pojawił się dziwny spokój, niemal błogość. Osunął się na podłogę jak kukielka, której odcięto sznurki.

Odwróciłem się z powrotem do swojej rozmówczynie. W zamyśleniu patrzyła na ciało.

- Czasami koniec jest niespodziewanie miłosierny - zauważyła. Ludzie z najbliższych stolików z wahaniem podchodzili do zmarłego.

Najszybsi i najodważniejsi, którzy nie bali się zarazić, już przeszukiwali mu kieszenie. Zgodziłem się z nią, starzec miał nieprawdopodobne szczęście, że umarł tak szybko i łatwo - zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, jaką niespodziankę szykowało mu jego własne ciało.

- Co pani proponuje? - wróciłem do poprzedniego tematu.

- Pieniądze?

- Dobrze, ale nie tylko - zgodziłem się. - Chcę też informacji.

- Dlaczego nie, mam dobre źródła. Dowiem się wszystkiego, czego sama nie będę wiedziała.

- Gdzie znajdę pana Martowskiego?

- Tego akurat nie wiem. - Uśmiechnęła się.

To był taki cichy uśmiech, o ile uśmiechy mogą być ciche. Bardzo wiele się w nim kryło.

- Nikt nie może mnie łączyć z pańskim śledztwem. Raz na jakiś czas odszukam pana, żeby zapytać o postępy.

- Jak mogę się z panią skontaktować, jeśli okaże się to niezbędne?

- Niech pan zostawi informację tam, w kartotece pod literą K - zaproponowała. -
Pieniądze na wydatki. - Położyła na stole plik banknotów i odeszła bez pożegnania.

Przez chwilę obserwowałem paczuszkę i zastanawiałem się, co to ma być. Moja nowa pracodawczyni dysponowała niespotykanymi zdolnościami, wyjątkową pozycją. Wydawało mi się, że widzę tylko wierzchołek góry lodowej. Gruby skryba patrzył łakomie na plik pieniędzy leżący przede mną. Schowałem je do kieszeni i ruszyłem do wyjścia. Kleszcze miały ochotę uszczknąć nieco chciwego skryby, gdy koło niego przechodziłem, ale byłem na to przygotowany. Teraz nie mogłem zostawiać za sobą rannych bez rąk. Ani martwych bez głów.

* * *

Micuma czekała na mnie w hali wejściowej. Usiłowała odgonić natrętnego konia uwiązanego na zbyt długim powrozie. Zobaczyłem uciekającego głównym wejściem chłopaka z kawałkiem łąna, który udało mu się ukraść. Na ziemi nic nie zostało. Paliwo.

- Wielbiciel?

- Wałach. Też na W - odcięła się i z wyraźną ulgą podążyła za mną.

Przytrzymałem drzwi, żeby spokojnie wydostała się na zewnątrz. Zerknąłem na termometr. Minus trzydzieści dziewięć.

- Jedziemy poszukać jakiegoś porządnego zakwaterowania - zarządziłem i ruszyłem w przypadkowym kierunku. - Musimy zatrzeć za sobą wszystkie ślady, w razie gdyby coś dotarło do Waarda.

- Wspaniale. Tylko nie chcę tam żadnego konia - dodała.

Wiedziałem, że już nie będzie mówić. Zimne powietrze sprawiało, że nanoroboty syntetyzujące jej głos działały opornie. Streściłem jej rozmowę w bibliotece. Nie zwracałem uwagi na ludzi, którzy od czasu do czasu z zaciekawieniem na nas spoglądali. Tłumaczę swojej klaczy co i jak. Bywają gorsze dziwactwa.

Potem wróciłem myślami do Waarda. Dlaczego kazał mnie zabić? Kim byli jego pachołkowie? Te wspomnienia mnie drażniły, miałem wrażenie, że w każdej chwili mogę się rozlecieć się na kawałki - zbyt dobrze pamiętałem, jakie to uczucie. Przyjdzie czas, kiedy obejrzę sznyty, ale jeszcze nie teraz. Z ulgą wróciłem do rozmyślań o nowym zadaniu.

* * *

Dwa dni odpoczywałem, kompletowałem ekwipunek, czyściłem broń i uzupełniałem amunicję, a w lepszych i gorszych knajpach wypytywałem o Martowskiego.

Zaczytywałem się również w „Ostrawskim Stalowniku”, największej i prawdopodobnie najpoważniejszej z tutejszych gazet. Znalazłem w niej informację o śmierci Vika Wachtmana. Dwa dni później w reportażu zamieszczono sprostowanie - przedsiębiorca został jedynie poważnie postrzelony przez swoją konkurencję, ale że uratowano mu życie w największym, a dzięki mecenasom - również samemu Wachtmanowi - także najnowocześnie wyposażonym szpitalu akademickim w Porubie. Spojrzałem na mapę. Od miejsca, w którym Martowski strzelał do Wachtmana, do szpitala był kawał drogi. Może nie mieli innego wyjścia? A może bliższe szpitale stały na gorszym poziomie?

Dowiedziałem się przy okazji, że Wilhelm Waard faktycznie należy do najbogatszych ostrawian, a sądząc po liczbie artykułów, w których o nim wspomiano, również do najbardziej poważanych. To jednak nie tłumaczyło okoliczności naszego spotkania. Po dwóch kolejnych dniach byłem już w stanie myśleć o Waardzie i jego poplecznikach. Miałem wielkie szczęście, że przeżyłem - ci dwaj byli zbyt dobrymi wojownikami, a rozkaz ich pana nie pozostawiał żadnych wątpliwości...

* * *

Micumie udało się podłączyć bezprzewodowo do jakiegoś wysłużonego, lekko ospałego komputera. Teraz stopniowo pobierała z niego strzępy informacji. Ponieważ było to zajęcie stosunkowo czasochłonne, najchętniej zakwaterowałbym ją w swoim pokoju, ale, niestety, nie mogłem, musiałem więc za każdym razem lecieć do stajni, żeby z nią porozmawiać. Pomimo ogrzewania woda w żłobie zamarzała. Temperatura na zewnątrz wynosiła minus czterdzieści i nawet dla ostrawian mróz był trudny do zniesienia. Przynajmniej tak wywnioskowałem z rozmów zasłyszanych na ulicy.

- Znalazłam coś ciekawego - rzekła, kiedy po nią przyszedłem. Chciałem pojechać na kolację. - Przed dwoma laty skradziono przesyłkę zawierającą sporą ilość pełnej krwi. Doskonale przeprowadzony napad, sprawcy nie stracili panowania nad sobą i po wymianie ognia uciekli, mimo że strażnicy każdego z nich przynajmniej raz postrzelili.

- Upiory. - Pokiwałem głową. - Może nadal są tutaj i żyją w ukryciu, a może już dawno dały nogi za pas.

- Upiory między ludźmi? W ukryciu? Respektujące ludzkie prawa? Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Dosypałem jej owsa, położyłem na nim dwa smażone kotlety wieprzowe, całość ozdobiłem tabletką enzymatyczną i na koniec rozbiłem lodową skorupę w korycie.

- Od kiedy specjalizujesz się w psychologii upiórów? Jesteś koniem.

- Jestem biobotem, cały czas się uczę - odpowiedziała oburzona.

Niedługo będzie mądrzejsza ode mnie. Zresztą to żaden wyczyn. Gorzej, jeśli trzeba będzie z nią pójść między ludzi.

- Upiory to jedyni z niewielu mieszkańców obcych sfer, którzy potrafią się na dłuższą metę przystosować do warunków życia w ludzkiej społeczności, a nawet włączyć się do niej - wyjaśniłem jej, choć sam nie miałem pojęcia, skąd to wiem.

Obdarzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale nic nie odpowiedziała.

Poczekaliśmy w milczeniu, aż się naje, osiodłałem ją i ruszyliśmy. Miałem na oku pewien lokal, którego właścicielem był Wachtman, a to oznaczało wędrówkę na peryferia.

Ostrawa była wielka. Dawno temu, gdy ją budowano, nie oszczędzano miejsca. Szerokie ulice, trakty, domy na rozległych parcelach. Kiedyś może były tu parki, teraz składowiska lodu i śniegu. Pośrodku mroźnej pustyni, niczym rzeźba z połamanych szkieletów, sterczały martwe drzewa, pilnowane przez opatulonych grubymi kożuchami policjantów, żeby mieszkańcy nie porąbali ich na opał. Daremny trud. Już się nie odrodzą, nawet jeśli po dziesięcioleciach nieobecności jakimś cudem powróci wiosna. Dalej szerokie aleje zmieniały się w wąskie, nierówne chodniczki, wydeptane przez pojedynczych przechodniów i maszerujące brygady robotnicze. Człowiek i koń ledwo mogli się tu minąć.

Z moich obserwacji wynikało, że w Ostrawie nie mieszkała nawet jedna piąta rdzennej ludności, zaś większość chowała się w nowo wrytych podziemiach, a nie w opuszczonych ruinach kamienic, o które nieustannie uderzały pędzone silnym wiatrem kryształki lodu. Micuma ciągle milczała. Chociaż tyle dobrego.

Po półgodzinnym marszu przez odkryte place dostaliśmy się do węższych i częściowo zadaszonych ulic. Według mapy, której chciałem się nauczyć na pamięć, właśnie przeszliśmy przez dzielnicę Svinov; gdzieś przed nami znajdowało się

terytorium Wachtmana. Nie miałem pojęcia, kto rządził w Svinovie, może moja pracodawczyni.

Kolejny niezadaszony odcinek drogi. Z ogromnym trudem brnęliśmy przez zasy w stronę sklepionego dachu nad rzędami bloków. Domy w okolicy już dawno umarły i zamieniły się w rozsypujące ruiny. Spieszący się gdzieś facet z plecakiem bez słowa zszedł nam z drogi, żebyśmy mogli przejechać. Twarz miał ukrytą pod maską termiczną. Wyglądała jak zwykle urządzenie bez magicznego wspomaganie. Minęliśmy się - dwaj mężczyźni walczący z mrozem.

- Nie zapłaciłeś - usłyszałem nagle.

W zacienionym przejściu stało trzech mężczyzn. Wystarczyło przelotne spojrzenie i już byłem zorientowany w sytuacji. Wierzycciele dorwali swojego dłużnika. Jeden z katów trzymał w ręce nóż - bardzo specyficzny człowiek, Oko przedstawiało go jako płonącego ogień. Niczego więcej nie zdążyłem zobaczyć, Micuma cały czas utrzymywała tempo. Mężczyźni zniknęli mi z oczu.

* * *

„Restauracja Orion”, jak dumnie głosił na wpół pogrzebany w śniegu neonowy napis, była niskim barakiem ze stosunkowo dużymi oknami. Szerokie ramy dawały do zrozumienia, że właściciel dba o termoizolację, a oknami się niemal szczyci. Dach był stromy, bez żadnych zdobieć, położony z myślą o jak najszybszym pozbywaniu się lodu jak najmniejszym nakładem pracy. Stajnię oznakowano zwykłą czarną tablicą z białym napisem. Kawalek dalej stał śnieżny skuter bez obudowy, z potężną rurą wydechową, a więc z silnikiem napędzanym coraz droższym paliwem z zamierzchłych epok. Pilnowaniem zycznej maszyny nikt się zbyt nie przejmował. Może tutaj żyli sami ucziwi ludzie. Może, ale raczej w to wątpiłem.

- Proszę pana, życzy pan sobie odprowadzić konia do stajni?

Z czarnego przejścia do podziemnej stajni wyłonił się chłopak w wełnianym golfie i wysokich butach lamowanych kozuchem. Na rękach miał rękawiczki bez palców. Starł się nie okazywać zniecierpliwienia, ale mróz niemal natychmiast go osaczył.

- Jeśli zechce z tobą pójść - zgodziłem się i dałem mu półkoronówkę.

Micuma popatrzyła na mnie, zarżała pogardliwie i bez poganiania ruszyła po skośnej rampie do stajni.

- Zajmij się nią dobrze.

Zerknął na monetę w ręce i błysnął zębami w uśmiechu.

- Za tyle zajmę się nią jak własną siostrą! - obiecał i pobiegł za Micumą.
Ostrawiaki - po prostu równe chłopaki.

* * *

Wszedłem do wiatrołapu, gdzie mogłem otrzepać się ze śniegu i powiesić najcieplejsze okrycie. Kolejnych drzwi pilnował portier. Przypominał eksboksera wagi ciężkiej.

- Nie lubimy tu pozszywańców.

Nawet nie drgnął.

Powiesiłem kurtkę obok innych. Tradycyjne kozuchy wygrywały dwa do jednego z odzieżą z hipernowoczesnych materiałów, których technologia produkcji została już dawno zapomniana.

Zwróciłem uwagę na ręce portiera - stalowe protezy od łokcia w dół, potężne ramiona nieproporcjonalne do masywnej sylwetki, tak charakterystycznej dla modyfikacji, które zapewniały dodatkowy zasięg ruchów.

- Ludzie zwykle za nami nie przepadają - zgodziłem się, Oko przeszło na zbliżenie.
- Kiedyś to wszystko mi we łbie zamarznie.

Poruszył palcami, jakby dobrze wiedział, o czym mówię, i otworzył drzwi do sali. Czulem jego przenikliwy, badawczy wzrok. Czekałem, kiedy jego pancerna pięść przetrąci mi kark.

* * *

To nie była knajpa, motel ani karczma, lecz niemal prawdziwa luksusowa restauracja. Personel w liberii, kudłate dywany, ciche, dyskretne rozmowy i subtelna muzyka płynąca z fortepianu ukrytego w gąszczu sztucznych kwiatów. Kiedyś, dawno temu, chyba w poprzednim życiu, bardzo lubiłem chodzić do podobnych miejsc - o ile przypadkiem miałem na to pieniądze. Wspomnienie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Lokal wydawał się niemal doskonały, tylko personel w szytych na miarę uniformach sprawiał wrażenie, jakby po skończonej zmianie dorabiał sobie biciem ludzi i ściąganiem haraczy. Goście też byli lepsi niż ci z moich wspomnień, jak zresztą cały świat.

Kelner zaprowadził mnie do stołu, dostrzegłem grupę ludzi rozmawiającą za ścianą z kwiatów - dwaj dobrze wyglądający mężczyźni w towarzystwie kobiet. Dyskutowali o czymś podniesionymi głosami, ich znudzone towarzyszki paliły

papierosy, popijały napój w kolorze jantaru z wysokich szklanek i patrzyły na siebie bezmyślnie. Jednej kołysały się w uszach platynowe pająki z brylantowymi oczami, druga miała na szyi złotą obrączkę zdobioną szafirami. Pierścionków i zwyczajnych łańcuszków nawet nie liczyłem. To musiała być niezła harówka, nosić na sobie taki ciężar...

- Pan sobie życzy? - zapytał kelner, kiedy minął już czas na zapoznanie się z menu.

- Grzane wino i potrójny tatar.

- Porto? - zaproponował.

Przytaknąłem od niechcenia, jakbym w ciągu ostatnich kilku dni nie pił nic innego, tylko porto, które już mi trochę wychodziło bokiem.

Zanim zjadłem swoją krwawą kolację, do środka weszło kilku ludzi. Zatrzymali się przy barze, wymienili z barmanem parę słów, coś mu dali, wypili po kielichu i znowu zniknęli. Nie zauważyłem, żeby zapłacili.

Bez wątpienia „Orion” nie był zwykłą restauracją.

Odsunąłem pusty talerz i zabrałem się do wina.

- Czy mógłbym porozmawiać z panem Wachtmanem? - zapytałem kelnera, kiedy chował do portfela pieniądze.

Spojrzał na mnie i od razu uznał za jednego z tych gości, z którymi są problemy.

- Nie znam pana Wachtmana.

Nie wiem, jak to zrobił, ale od strony baru natychmiast ruszył ku nam władca trunków, z wnęki, którą wcześniej przeoczyłem, wynurzył się drobny, śniady facet. Doskonała współpraca. Oko pokazywało mi całą trójkę jednocześnie w podzielonym obrazie. Barman nie był człowiekiem, lecz stuprocentowym cyborgiem. Stawiałem na wysokiej jakości model cywilny, w którym ktoś zainstalował wojskową nadbudowę. Kelner wyglądał na zwykłego humanoida, kasowanie pieniędzy było dla niego tylko dodatkowym zajęciem. Co do drobnego, śniadego faceta miałem wątpliwości. Krew pulsowała w nim, jakby wrzała, na termomapie jego ciała widziałem szybko zmieniającą się mozaikę. Lekarz zdiagnozowałby wysoką gorączkę - jakieś pięćdziesiąt pięć stopni. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale niezbyt mu to służyło.

- A o czym chciałby pan porozmawiać z panem Wachtmanem, którego w ogóle nie znam? - kontynuował kelner, świadomy, że ma już za sobą wsparcie.

- Na przykład o strzelaniu do celu.

Cała trójka spojrzała na siebie.

- Będą z nim problemy. Tony nie powinien go tu w ogóle wpuszczać - zauważył kelner.

- Nie będziesz robił problemów, co nie? - przemówił cyborg głosem, który ani trochę nie przypominał ludzkiego.

Już nawet Micuma miała ostatnio lepszą intonację niż on.

- Wyprowadźcie go na zewnątrz. Jeśli coś z niego wyciągniecie, tym lepiej. Nie chcę żadnych awantur w lokalu - rozkazał kelner.

Patrzyłem obojętnie, czekałem na ich ruch.

Na moje ramię spadła ciężka ręka. Uścisk sugerował, że w każdej chwili może zmiążdżyć mi staw, ale nie unieruchamiał. Posłusznie wstałem i skierowałem się w stronę drzwi. Nasze odejście zmąciło luksusową, dyskretną atmosferę równie mocno, co brzęknięcie złotego koleczka czy syk otwieranego szampana.

Sądziłem, że spróbują dopiero na zewnątrz, w wiatrołapie mogliby odstraszyć ewentualnych gości.

Mylilem się.

Cyborg wbił palce w moje ciało, szarpnął i zadał cios w splot słoneczny. Częściowo zablokowałem go i pochyłony cofnąłem się o kilka kroków. Śniady stał już po lewej, wyprowadził wysokie kopnięcie. Odchyliłem się, cios otarł się o moją skroń i trafił w ścianę. Padłem na plecy i ślizgiem dojechałem aż pod ścianę.

Cała trójka skamieniała, bokser, cyborg i to śniade chuchro. Przez chwilę wyglądali, jakby nie mogli zdecydować, co dalej.

- W taki sposób na pewno się nie dowiecie, jaką sprawę miałem do Wachtmana. Martwi nie mają głosu - ostrzegłem ich.

- Wytrzymasz więcej, niż się wydaje. - Cyborg pokręcił głową. - Będziesz mówić.

Portier trzymał się z daleka i tylko podejrzliwie mi się przyglądał. Najchętniej wstałbym i pourywał im głowy, nie wiedziałem jednak, czy dam radę. Jeszcze nie wróciłem do pełnej formy, a ci trzej nie byli zwykłymi łamignatami.

Sięgnąłem Ręką po kurtkę, wisiała kawałek nade mną.

- Nagle zachciało ci się wyjść? - Cyborg zaprezentował imitację śmiechu. Nic szczególnego.

- Dowiedziałem się już tego, czego chciałem - odpowiedziałem spokojnie.

Stracili pewność siebie, w ich oczach widziałem nieme pytanie.

- Wachtman jest ubogim, trzeciorzędnym gangsterem, który zatrudnia podrzędnych oprychów.

Cyborg zrobił krok w moją stronę i nagle znieruchomiał, kiedy zorientował się, że patrzy prosto w czarną lufę Zabójcy. Tak, ten otwór zdecydowanie miał coś w sobie. Wstałem, w głowie mi huczało, ale poza tym czułem się całkiem dobrze.

Strzelaj, strzelaj, postrzel go chociaż w kolano! - ukryta część mojej osobowości, nagle aż nazbyt ożywiona, zaczęła mnie kusić i namawiać. Miałem wrażenie, że dobrze się bawi, jak dzieci tańczące wokół choinki.

Cyborg spojrzał z wyrzutem na portiera.

- Co drugi ma jakąś spluwę. Ja tylko pilnuję, żeby nie wnosili ich do środka - odpowiedział sucho i wzruszył potężnymi ramionami.

Schowałem Zabójcę z powrotem do kabury. Gdybym ciągle trzymał go w dłoni, nie oparłbym się pokusie.

Na szczęście też mieli już dosyć i pozwolili mi odejść. Remis.

* * *

Wciąż czułem te kilka ciosów, dlatego postanowiłem przez resztę dnia odpoczywać. Po wpłaceniu kaucji, na którą teraz mogłem sobie pozwolić, przyniosłem z biblioteki do pokoju stos miejscowych gazet. Przeglądałem je strona po stronie i zbierałem informacje o zamachu na Vika Wachtmana, statusie społecznym pana Waarda i życiu w Ostrawie.

Wachtman został zaatakowany przed teatrem, kiedy szedł na premierę sztuki *Mysz w kościele*. Według „Ostrawskiego Stalownika” należał do wielkich zwolenników i mecenasów miejscowego świata kultury; według bardziej bulwarowych tytułów miał w miejscowym chórze kilka kochanek, z primadonna Elizabeth Wracov na czele. Gangster z artystycznymi upodobaniami albo seksualnie nadaktywny - druga opcja wydawała mi się bardziej prawdopodobna. Bo co do tego, że Wachtman jest gangsterem, nie miałem żadnych wątpliwości. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Dopiero późnym wieczorem, zanim poszedłem spać, wyciągnąłem ilustrację z upiornej książki. Tym razem udało mi się skoncentrować wyłącznie na hordzie nieprzyjaciół nacierającej na Sewastopol. Wydawało się, że im dłużej patrzę, tym bardziej czerń się zmienia, przelewa, pojawiają się w niej kontury i obrysy; były mi obce, a jednocześnie intuicyjnie je rozpoznawałem. Musiałem dobrze znać istoty ukryte przed zwykłym wzrokiem wybitnego artysty, ich mocne i słabe strony. Musiałem - ponieważ kiedyś udało mi się je pokonać. Tylko jak? Co było dalej? Co się

stało po zwycięstwie, po którym głębsze sfery pozostały zamknięte, a świat ludzi uniknął najgorszego? Kto ukrywał się w mojej głowie, jaki pasożyt, demon czy inny potwór? Porzuciłem te rozmyślania, prowadziły donikąd.

* * *

Rano wyszedłem na zewnątrz. Rtęć w termometrze sięgała już tylko do czterdziestej drugiej kreski poniżej zera. Nocą spadł świeży śnieg - wielkie, idealne płatki lśniące w świetle pochmurnego dnia i błyskach gazowych grzejników. Wyżej musiało być cieplej niż tu, przy ziemi, inaczej nie mogłyby się uformować. Albo przywiał je skądś wiatr, który nad Ostrawą zderzył się ze ścianą chłodu i stracił impet.

Początkowo zamierzałem zostawić Micumę w stajni, ale chciała się przejść. Podejrzywałem, że szukała okazji, by podłączyć się do starych komputerów albo rozpadających się sztucznych inteligencji, którymi naszpikowano miasto w czasach jego świetności. O nic jednak nie pytałem, to nie moja sprawa.

Brodziliśmy przez zasy, mijając brygady porządkowe ze zwykłymi łopatami i automatycznymi koparkami. Śnieżny skuter ciężarowy dumnie brnął przed siebie, na skrzący się puch pomału opadały czarne kropki popiołu. Dwa czy trzy razy udało mi się dostrzec wystające z zasp ręce albo nogi zamarzniętych. Nikt ze spieszących się przechodniów nie zwracał na nich uwagi.

Przy skrócie do węższego, nieodśnieżonego przejścia zauważyłem dwóch zawiniętych w dywany i worki żebraków.

- Przy morowym słupie są dwa zamarznięte trupy - powiedział jeden z nich.
- No to idziemy.

Minęli mnie, lamentując głośno, że brat jednego z nich zamarł, a oni nie dotarli do niego na czas.

Chwilę potrwało, zanim zrozumiałem, dlaczego tak bardzo im na tym zależało - i dlaczego teraz spieszyli się do trupów innych biedaków.

* * *

W końcu dotarliśmy do szpitala akademickiego - skupiska budynków i niedawno zadaszonych placów. Proste, funkcjonalne klocki z nielicznymi oknami pasowały do starej architektury z ambicjami estetycznymi jak pięść do nosa. Od okolicznej zabudowy kompleks szpitalny dzielił wolny plac, cały usiany wylotami systemów wentylacyjnych, które biegły przez podziemia.

Zamierzałem pójść prosto do szpitala, żeby się rozejrzeć, ale kiedy zobaczyłem stanowiska strzeleckie na dachach okolicznych domów i betonowych baraków kompleksu, zmieniłem zdanie. Najpierw musiałem się dowiedzieć, czego tak pilnie strzeżono.

Służby porządkowe pracowały tu intensywniej niż w innych miejscach. Warstwa śniegu w bezpośredniej okolicy szpitala została odgarnięta, tu i ówdzie zalegała jakaś nieusunięta hałda. Chodnikami, które prowadziły do osadzonych na ciężkich zawiasach głównych drzwi szpitala, kroczyły pomału zastępy ludzi. Czasami przejechał między nimi skuter śnieżny albo pojazd gąsienicowy.

Jakby od niechcienia spacerowałem w podcieniu kamienic, oglądałem sklepowe witryny, o dziwo, niepokryte polistyrenem, i rozglądałem się ukradkiem. W pobliżu szpitala powstała enklawa dobrobytu w środku całkiem zwyczajnej dzielnicy. Domy w tej okolicy były okazalsze, wpychały się jeden na drugi pod różnymi kątami, zostawiając naokoło sporo wolnej przestrzeni. Z trzech stron plac otaczały arkady z licznymi sklepami i przejściami do cieplejszych podziemi. Przemarznięte fasady ożywiały nieco okna, za którymi kryły się pomieszczenia mieszkalne, za to obszar na tyłach szpitala leżał odłogiem. Szara, oszroniona ściana starej hali fabrycznej ginęła w zaspach.

Zerwał się wiatr, porwał nieco śniegu i utworzył wir, który przez chwilę kołysał się w miejscu, a potem ruszył w stronę ludzi, coraz szybszy, większy, silniejszy - i nagle się rozsypał, jakby ktoś go zdmuchnął. Usłyszałem tylko szelest puchu padającego na ziemię. Jeden z moich amuletów zrobił się gorący. Po co ktoś używał czarów, by zlikwidować zwykły wietrzny wir? Dziwne.

Zawróciłem jak ktoś, kto pomylił drogę, i przy najbliższej okazji zszedłem do przyjaźniejszego podziemia.

Rtęć w termometrze wskazała dwadzieścia pięć stopni więcej niż na górze, ruch też był tu intensywniejszy. Mroźna cisza ustąpiła okrzykom sprzedawców ze straganów z gorącym jadem i napitkiem. Dwaj mężczyźni z automatami przyglądali mi się podejrzliwie. Kiedy kupiłem wielki plastikowy kubek grzanego wina i zorientowali się, że Micuma należy do mnie, przestali się mną interesować.

Szedłem dalej, popijając wino, i obserwowałem. Podobnych patroli było tutaj więcej, w regularnych odstępach czasu meldowali coś przez telefony wiszące na ścianach blisko ich posterunków. O dziwo, żebraków i bezdomnych też kręciło się tu

wielu. Z pewnością nie wyganiano ich stąd z taką gorliwością jak na górze, może dzięki bliskości szpitala.

Nic nie wskazywało na to, że dowiem się czegoś więcej, dalej się tak kręcąc, co najwyżej zwróciłbym na siebie uwagę patroli. Zatrzymałem się na jeszcze jeden kubek grzanego wina.

- Jak tam dzisiaj jest? - sprzedawca zagadał do mizernego mężczyzny w rozpiętej baranicy i wełnianej czapce.

- Całkiem dobrze, spokojnie.

Rozmawiali jak dwaj ludzie, którzy znają się od dawna. Mężczyzna nie płacił za wino. Odchodząc, spojrział na mnie przelotnie. Miał zainstalowany porządny wzmacniacz nerwowo-indukcyjny. A zatem okolic szpitala nie pilnowali tylko przeciętni ochroniarze z karabinami.

* * *

W drodze powrotnej zaszedłem do restauracji, o której czytałem w jednej gazecie. Podobno wyjątkowo dobrze tam gotowali, a autor artykułu rozpływał się w zachwycie nad panującym w lokalu ciepłem. Pewnie dostał porządne honorarium, bo wiatr hulał tam aż miło. Z drugiej strony termometr rzeczywiście wskazywał zaledwie dwanaście stopni mrozu, a serwowane potrawy nadawały się do jedzenia. Miejscowi nie byli tak wybredni jak ja.

Oprócz posiłku dla siebie zamówiłem też pięć porcji naleśników na wynos. Kelner wydawał się wprawdzie nieco zaskoczony, ale nie skomentował tego. Wiedziałem, że po długim pobycie na mrozie Micuma będzie potrzebowała cukru.

W kominku huczał ogień, łakomie pożerał jedną bryłę węgla za drugą. Miotał się, bezskutecznie usiłując ogrzać pomieszczenie. Naczynia, w których podawano potrawy, miały grube ścianki, żeby jak najdłużej trzymały ciepło.

Nie zauważyłem, kiedy ten człowiek wszedł do restauracji, lecz kiedy wstał od stołu, od razu wiedziałem, że zmierza w moją stronę. Był czarny - czarny w środku, a ten kolor stopniowo przedzierał się na zewnątrz, zamaskowany jedynie cieniutką warstwą normalności. Gdy spojrzałem na niego Okiem, wyglądał niczym perforowany grzyb tuż przed rozpadem. W rzeczywistości był blady, miał wąskie, zsiniałe usta i ciemne oczy. Uznałbym go za upiora, gdyby nie przecinająca jego twarz blizna w kształcie tureckiej szabli. Oko nie sporządziło termoobrazu.

Zatrzymał się przy moim stole i spojrzał z wysokości stu dziewięćdziesięciu na kość wysuszonych centymetrów.

- Rozpowszechnia pan nieprawdziwe informacje na mój temat - odezwał się cicho.
- Porozmawiajmy.

Wiedział, czym jestem. Ani Oko, ani tylko w połowie ludzkie proporcje mojego ciała nie umknęły jego uwadze. Oglądał mnie na różne sposoby, na wielu płaszczyznach egzystencji. Talizmany pulsowały panicznie, na przemian paliły i mroziły, trzeszczały na srebrnych łańcuszkach.

Mimo to nie bał się, tylko przyglądał z ciekawością entomologa stojącego przed wyjątkowo ciekawym eksponatem, jakby chciał mnie dołączyć do swojej kolekcji.

- Zapewne pan Martowski.

Przez ostatnie dni przy każdej okazji szerzyłem plotki, że jego usługi nie są już tym, czym dawniej. Nikt się chyba nie zorientował, co chcę w ten sposób osiągnąć, ale w końcu wieści dotarły także do niego. I oto przybył, najemny zabójca we własnej osobie.

- Tak. Wiele pan ryzykował swoim nierozważnym działaniem, jest pan tego świadomy?

Na jego twarzy wciąż malowała się obojętność, lecz wewnątrz aż gotował się z wściekłości. Płonęła w jego asfaltowych oczach.

- Spróbuje mnie pan zabić natychmiast czy pogadamy sobie trochę?

- Spróbuję? - prychnął z wyższością.

Wzruszyłem ramionami i skinąłem na kelnera.

- Najlepszy koniak, jaki macie. A może woli pan coś innego? - Spojrzałem na Martowskiego.

Zatrzymała go ciekawość, nie strach.

- Koniak to dobry wybór.

Usiadł, dłonie złożył między udami i przyglądał mi się wyczekująco. Jak grzechotnik, kobra? Nie, jego spojrzenie, choć nieludzko spokojne, było inteligentne. Czekał i analizował.

Napiłem się i poczekałem, by i on to zrobił.

- Koniak to jedna z moich pasji. Ten jest naprawdę bardzo dobry - ocenił.

Miał długie, szczupłe palce i dłonie. Mimo imponującego wzrostu nie ważył więcej niż osiemdziesiąt kilogramów.

- A jaka jest pańska największa pasja? - zapytałem, choć doskonale znałem odpowiedź.

Ktoś zapalił cygaro, dobre, drogie cygaro. Zauważyłem, że wiele osób w Ostrawie pali tylko ze względu na poczucie bliskości ognia noszonego ze sobą.

- Moja praca.

- Z jej powodu tu jestem.

- Kwestionowanie mojego profesjonalizmu, mojej sztuki tylko po to, żeby się ze mną spotkać i dać zlecenie, wydaje mi się co najmniej osobliwe.

- Nie zamierzam panu niczego zlecać. Kiedy chcę czyjejś śmierci, zabijam go sam. Interesuje mnie Wachtman.

To nazwisko sprawiło, że napiął się niczym struna; jego lewa dłoń, wciąż spoczywająca między udami, nawet nie drgnęła, ale założyłbym się o połowę swojego honorarium, że Martowski trzyma w niej broń. Małokalibrową broń palną albo długą, cienką klingę. Takie zabawki pasowały do jego subtelnych dłoni i długich palców.

Rzeczywistość trochę się poplątała, na stole obok zmaterializował się jeden z posłańców śmierci. Nie wiedziałem, którym z nas jest bardziej zainteresowany i jaki sposób zejścia z tego świata reprezentuje.

- Nie składam reklamacji. Po prostu sprawdzam, jak się stało to, co się stało - powiedziałem pojednawczo i dolałem nam koniaku.

Musiałem się skoncentrować, ponieważ robiłem to Ręką. Jeśli Martowski wiedział, co skrywa się pod specjalną rękawicą, w żaden sposób nie dał po sobie poznać, by przebywanie w zasięgu Kleszczy mu przeszkadzało.

- Nawet najlepszym zdarza się popełnić błąd - dolałem napalmu do ognia.

Asfalt w jego oczach znowu płonął.

Kolejne splątanie, posłańców było już dwóch. Ten nowy należał do typów kontaktowych, ubiory i kawałki imaginowanego ciała opadały z niego podobnie jak z ofiar, którym towarzyszył, gdy żegnali się ze światem. Zakładałem, że Pan Śmierci zjawi się po mnie osobiście. A może nie przywiązywał do naszego spotkania aż tak wielkiej wagi i posłał tych pomagierów, żeby mu opowiedzieli co i jak. Chyba byliśmy jego ulubieńcami.

- Wachtman zginął - oświadczył Martowski i uspokoił się.

Rozczarowani posłańcy śmierci zniknęli.

- Tego nikt nie kwestionuje - przytaknąłem. - Chcę tylko wyjaśnić, jak to możliwe, że znowu żyje. Może zabił pan jego sobowtóra.

To go znowu uraziło.

- Nikt nie wysłał sobowtóra na spotkanie z kochanką.

- A technika strzału? Czy jego śmierć nie była iluzją? Ostatnią obroną przed skrytobójstwem?

Znowu zapadła cisza, tym razem już nienasycona śmiercią.

Chwyciłem butelkę, zbulgotał nalewany koniak, a jego woń przybrała na sile.

Martowski zakręcił zawartością kieliszka i rozejrzał się.

- Tutaj się relaksuję, nie rozmawiam o pracy. Przekonam pana. Pokażę, jak wykonałem zlecenie. Nie będzie pan miał już żadnych wątpliwości. Gdzie pan mieszka? Przyjdę po pana... - zawahał się - pojutrze rano.

Nie miałem ochoty podawać mu swojego adresu, ale przecież mógł go sam bez problemu ustalić. Czysta kurtuazja - jednak nadal miałem wrażenie, że kwestionowanie jego profesjonalizmu nie zostało mi zapomniane.

- Zatem jesteśmy umówieni - zgodziłem się i podałem mu adres. - Dokończymy? - Pokazałem na butelkę. - Szkoda zostawić tak dobry trunek.

Przytaknął.

Siedzieliśmy w milczeniu, popijaliśmy i obserwowaliśmy jeden drugiego. Psychicznie Martowski prezentował się jak doskonały monolit, zrównoważona istota bez słabości, żądz, które byłbym w stanie odczytać. Nie miałem pojęcia, o czym myślał. Czasami wbijał we mnie czarne spojrzenie, regularnie wyciągając rękę po kieliszek z koniakiem.

Skończyliśmy jednocześnie. Bez żadnego słowa Martowski podniósł się i opuścił restaurację. Uregulowałem jeszcze rachunek, po czym poszedłem w ślady zabójcy.

* * *

Wieczorem wybrałem się do dzielnicy, w której poznałem Evelyn. Nie za wcześnie, kiedy na zamarzniętych ulicach Ostrawy ożywa intensywny jak na zimę ruch, ani nie za późno, kiedy potęgujący się mróz i zmęczenie przepędzają wszystkich do domu, cokolwiek słowo „dom” oznacza.

Przez te kilka tygodni nic tu się nie zmieniło. W podcieniach dających iluzję ciepła, przy wejściach do podziemi i hal, nagrzewanych huczącymi palnikami, stały opatulone kobiety. Odślaniały przed przechodniami twarze, a te najodważniejsze albo najbardziej zdeterminowane również płaszcze, by ewentualny klient mógł popatrzeć,

na co wyda swoje pieniądze. Tym razem naciągnąłem kaptur na czoło, zakryłem twarz, jak tylko się dało, i zgarbiłem się.

Wlokłem się oblodzonym chodnikiem krokiem starca, niepewnie schodziłem przechodniom z drogi, jakbym się ich obawiał. Pierwsza prostytutka, którą spotkałem, nie poświęciła mi nawet odrobiny zainteresowania, druga, kilka metrów dalej, ledwo na mnie spojrzała. Miała piękną, regularną twarz, krzykliwie umalowane usta i ciemne cienie pod oczami. Zwróciłem na siebie jej uwagę, tym razem na dłużej. Zamiast mojej twarzy widziała tylko ciemność.

- Nie wyglądasz na takiego, któremu by stanął - stwierdziła głośno.

Kurewka, z którą dzieliła wspólny kawałek chodnika w podcieniach, zachichotała.

- Jestem skromny - zachrypiałem.

- A co byś chciał? - zainteresowała się.

- Może chce go tylko ogrzać - usłyszałem za plecami.

Z ich punktu widzenia w hierarchii społecznej stałem niżej niż dogorywający staruszek jedną nogą w grobie. Nieczęsto spotykały kogoś bardziej żalosego od siebie, więc teraz sobie używały.

- Mam pieniądze - powiedziałem.

- Serio, stary? A to co innego, z przyjemnością ci go rozgrzeję, rozpalę nawet - zmieniła ton dziwka z pomalowanymi oczyma.

To miała być rubaszna figlarność, ale brzmiała inaczej. Dziwka stanęła przy mnie, postrzępiona mufka, w której do tej pory chowała ręce, zaszeleściła. Pod moją kurtkę dostało się zimne powietrze i jeszcze zimniejsza stal.

- No to wyskakuj z nich, stary, jak nie chcesz, żebym ci wypruła flaki. Żebraków kanibali w okolicy nie brakuje, do rana nie zostałyby z ciebie nawet kawałeczek.

Z bliska jej twarz wyglądała o wiele gorzej - skóra pokryta bliznami pozostałymi po jakiejś chorobie, z ogromnymi, zapchanymi porami i głębokimi zmarszczkami.

Czułem napór noża, jej bliskość i nagle pożądliwie sapnąłem. Miałem na nią ochotę. Kleszcze zgrzytnęły, przycisnąłem je mocniej do biodra.

- Boisz się, nie? Słusznie. Kasa, dziadku - nakręcała się coraz bardziej.

Może mógłbym to zrobić tutaj, wziąć ją od razu na chodniku, zaspokoić skrywaną tuż pod powierzchnią żądzę, a potem wziąć na spytki jakąś inną? Pokusa była wielka, taka wielka. Dziwka groziła mi nożem, zatem czemu miałbym tego nie zrobić? Ale co, jeśli pozostałe uciekną? Co wtedy? Szukałem logicznego uzasadnienia, dlaczego miałbym sobie nie ulżyć tu i teraz.

- Kasa!

Gdybym był człowiekiem, nóż pewnie by już przeciął skórę na brzuchu. Nie potrafiła się nim posługiwać, coraz bardziej się z tym zdradzała. Zacząłem się trząść, a na podniebieniu poczułem smak krwi. Byłem podniecony, jak wtedy... Nie, lepiej nie przywoływać tego wspomnienia.

Zacisnąłem pięść, na tyle mocno, żeby nie drgnęła, i na tyle lekko, żeby nie połamać sobie kości.

Zrobiłem to prawą ręką. Nie mogłem ufać Kleszczom.

- Dostaniesz pieniądze, jeśli powiesz, gdzie znajdę Evelyn, czyli Val - wyszeptalem, żeby nikt więcej mnie nie usłyszał.

Coś w moim głosie musiało zdradzić, jakie uczucia się we mnie kłębią. Dziwka znieruchomiała. Kaptur zsunął się trochę - zobaczyła moją twarz.

- Nie krzycz - poradziłem jej. - Podniecam się, kiedy krzycycie.

Nie wiedziałem, czy zdołałbym się opanować.

- Gdzie znajdę Val? - powtórzyłem.

Jeśli ja się chwiałem, to ona trzęsa się jak osika w szponach huraganowego wiatru. Zastanawiała się, widziałem, jak usiłuje sobie przypomnieć albo wymyślić jakieś zgrabne kłamstwo. Sądząc po mozaice impulsów przemykających tuż za kością czołową, naprawdę się starała.

Pozostałe prostytutki czekały na rozwój sytuacji. Gdybym zginął, zaczęłyby się kłótnia i bijatyka o zawartość moich kieszeni i ubrania.

- Angelino? - dziwka odezwała się tylko nieznacznie drżącym głosem. - Nie przypominasz sobie, gdzie Kli widziała Val?

- Podobno gdzieś na ulicy Kościelnej - odpowiedziała obojętnie Angelina. - Ma być burdelmama. Jasne, pewnie robi gdzieś w jatkach.

Złagodziłem uścisk i odepchnąłem kobietę. Nie obawiałem się jej noża, lecz samego siebie. Jej bliskość i strach stanowiły zbyt kuszącą kombinację.

- Gdzie je mogę znaleźć? - powtórzyłem drugą część pytania.

- Najbardziej znana jest ta na starym dworcu kolejowym za szosą Marianskogórką. Koło skrzyżowania z aleją Ceglana.



Potrzebowałem porządnego planu miasta albo Micumy i jej doskonałej pamięci w zakresie miejscowej topografii. Wydawało mi się, że Kościelna jest bliżej, co by oznaczało, że właśnie tam zacznę poszukiwania. Ale dopiero jutro. Robiło się późno, rtęć w termometrach spadła poniżej niemal przyjemnej czterdziestki i sunęła dalej w dół. Do tego jeszcze nie czułem się zbyt dobrze, nie panowałem nad sobą. Niewiele brakowało, żeby rozmowa z kurewkami zakończyła się zupełnie inaczej. Śnieg wokoło już by nie był biały.

Nagle zostałem na ulicy sam, słyszałem tylko echo pospiesznie oddalających się kroków. W drodze do hotelu zastanawiałem się nad sobą. Jeśli kiedyś, dawno temu, byłem Raymondem Curtisem, to, z czym teraz dzieliłem ciało i duszę, zdążyło zmienić mnie w potwora żadnego... żadnego... Tej myśli wolałem nie kończyć.

* * *

Ponieważ musiałem omówić z Micumą kilka spraw, poszedłem do stajni z dzbanem grzanego wina. Choć tak naprawdę to był tylko pretekst - nie chciałem leżeć na łóżku i gapić się w sufit albo na tajemniczą ilustrację, która mogła mi zdradzić więcej, niż tego wieczora chciałem się dowiedzieć.

Micumy łypnęła na mnie, ale nic nie powiedziała. Dosypałem jej paszy, dodałem zmarznięte naleśniki i usiadłem obok. Jadła i nic nie mówiła, ja pomału popijałem. W stajniach zazwyczaj latały muchy, w Ostrawie nie. Było dla nich zbyt zimno.

- Nie najlepszy z ciebie współnik - stwierdziła po chwili.
- Staram się, jak mogę.
- Królestwo za garść świeżej trawy - rozmarzyła się.

Pokręciłem głową. Świeża trawa należała do wyjątkowo trudno dostępnych towarów.

Skrzypnęły drzwi. Do środka zajrzał stajenny sprawdzić, co ze zwierzętami, którymi się opiekował.

- Niczego nam nie trzeba - huknąłem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i rzucił mi rozbawione spojrzenie, ale dowcip o ludziach, którzy lubią spędzać czas ze swoimi końmi, już sobie darował.

- Miał szczęście - wycedziła Micuma przez na wpół zaciśnięte zęby.
- To jak będzie z tym królestwem? - kontynuowałem jej słowną gierkę.

Wina szybko ubywało, ale było mi ciepło.

- Podłączyłam się do jednego całkiem rozsądnego komputera albo poważnie zdegenerowanej sztucznej inteligencji. Chciał zagrać w parafrazowanie słynnych cytatów.

- A to królestwo oferował kto, jakiś bogaty koń? - dociekałem. - Bucefał? - przypomniałem sobie imię, które mętnie kojarzyłem z jakimś koniem.

- Barbarzyńco! - jęknęła Micuma. Wzruszyłem ramionami.

- A dlaczego w ogóle z nim grałaś? Sprawiasz wrażenie normalnej, przynajmniej jak na konia.

- Stawką były informacje - wyjaśniła.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. W końcu dotarło do mnie, że teraz moja kolej.

- No i? - skapitulowałem.

Ale tylko trochę.

- To był komputer z magazynu. Z magazynu szpitala akademickiego - budowała napięcie.

Miałem dość napięcia jak na jeden dzień. Chyba było to po mnie widać, bo mówiła dalej:

- Zdobyłam listę sponsorów szpitala i kilka innych ciekawostek z jego historii.

Poszedłem po jeszcze jeden dzban i niemal całą noc spędziłem na konstruktywnej dyskusji ze swoim koniem, a właściwie końskim biobotem.

* * *

Ulica Kościelna nie różniła się niczym od większości innych ostrawskich ulic, co najwyżej tym, że w pobliżu nie było żadnej ogrzewanej hali ani zejścia do podziemi. Stary katolicki kościół, od którego to miejsce wzięło nazwę, wyglądał na zaskakująco dobrze utrzymany i zamieszkały - ktoś z pewnością wykorzystywał właściwości izolacyjne grubych ścian z dawnych, dostatnich czasów. Prawdopodobnie jakaś silna pokrachowa sekta, a może nawet nie w pełni poczytalni zwolennicy starego nieboraka J. Ch. Chyba by mu się podobało w Ostrawie, to miasto było piekłem na ziemi. Mroźnym piekłem.

Brodziłem po ledwo co odśnieżonej ulicy i plułem sobie w brodę, że zostawiłem Micumę w wygodnej stajni. Przez noc znowu napadało kilka centymetrów nienaturalnie zmarzniętego śniegu, a temperatura spadła o kolejne pięć stopni. Takiego mrozu już dawno tu nie było. Niebo zasłoniły nieskończone warstwy chmur,

te niżej otulały wieże wydobywcze i co wyższe bloki. Pomału zapominałem, jak wygląda słońce.

Szukałem Evelyn, ale nie zauważyłem dotąd żadnej kurewki, jedynie kilku roztopiaczy śniegu. Zdążyłem się już zorientować, że w Ostrawie wodę pozyskaną w ten sposób piją tylko najubożsi. Bogaci kupowali wodę gwarantowanej jakości z ujęcia na zamarznętej Odrze.

Podmuch wiatru wzbil w powietrze tumany lodowych kryształków. Jak wygłodniałe wgryzały się w moją odsłoniętą twarz, a w zetknięciu z Okiem wydały dźwięk, jakby ktoś pocierał metal o metal. To je zirytowało, przez chwilę prezentowało mi chemiczną i fizyczną strukturę wirującego lodu. Od razu pojąłem, dlaczego roztopiony śnieg piją tylko najubożsi. To nawet nie przypominało wody. Według mapy termicznej, którą Oko na jakiś czas złośliwie przykryło realny obraz świata, temperatura kryształków była jeszcze niższa niż temperatura otoczenia, jakby wysysały z niego ciepło. Bardzo możliwe, podobnie jak to, że gdzieś niedaleko znajdowały się bramy do prawdziwego mroźnego piekła, a jego mieszkańcy przygotowywali sobie grunt w naszym świecie.

Przy wolnym spacerze w tę i z powrotem nawet mnie zaczynało być zimno. Musiałem się ogrzać. Przy skrzyżowaniu bliżej rzeki zauważyłem stragan w nadmuchiwanym namiocie, którego przezroczystą plastikową ścianę oświetlał niebieskawy propanbutanowy płomień wewnętrznego ogrzewania. Temperatura w środku nie przekraczała zera, ale mimo to rzuciłem się w jego stronę niemal sprintem. Kawalek dalej leżały potężne zwały śniegu z wykopanymi w nich przejściami. Prowadziły do zasypanego domu, którego właściciel wykorzystał dostatek wolnego miejsca i nadmiar śniegu do ocieplenia i ochrony budynku. Zabawne. Przed tunelem prowadzącym do wnętrza białej góry, pomiędzy dwiema ogromnymi, mającymi dobre sześć metrów marchewkami wyciosanymi z lodu, znajdowała się drewniana deska z czarno-białym napisem „Warzywa”. Ni mniej, ni więcej.

Mijając wejście do tego ogromnego igloo, zauważyłem wychodzącą z niego żwawym krokiem kobietę w białym niedźwiedzim futrze. Za nią dreptał mężczyzna w kombinezonie roboczym, na który miał narzucony barani kozuch.

- Cena, którą pani zaproponowałem, nie jest wcale taka zła, jak pani twierdzi! - mamrotał rozgorączkowany.

Wyglądał na wściekłego, ale raczej na siebie niż na porządnie ubraną klientkę, którą odprowadzał.

Kobieta właśnie zakładała kapelusz z nausznikami, w drugiej ręce trzymała zarękawek, też z niedźwiedziego futra, tym razem brunatnego.

- Zaproponowałam panu długoterminową współpracę z niezwykle atrakcyjną zaliczką. Dzięki niej mógłby pan rozwinąć swoje podziemne szklarnie. Cenę, którą z kolei pan zaproponował, mogę dostać gdziekolwiek indziej przy jednorazowym zamówieniu takiej ilości towaru - odparła spokojnie.

Coś mnie tknęło, znałem ten głos. Zwolniłem, okrążając zaspę, zatoczyłem większe koło, niż musiałem, i spojrzałem z ukosa w oczy kobiety. Evelyn. Już nie kurewka Evelyn, ale dama Evelyn, energiczny człowiek, który do czegoś dąży. Oko zajrzało aż pod warstwę futer. Walczyła z nerwowością, wątpliwościami, niepewnością. Serce jej waliło, policzki płonęły z emocji, a zwoje mózgowe, szaleńczo aktywne, rozpały się do białości. Evelyn. Nie dawała po sobie nic poznać.

- Niech będzie - zgodził się sprzedawca i właściciel sklepu zarazem, kiedy zesli ze starannie omiecionej ścieżynki i pod nogami zachrząściła im grubsza warstwa śniegu.

- Dobrze. - Odwróciła się i skierowała z powrotem do białego tunelu. Oko pokazało mi, jak bardzo jej ulżyło. - Szczegóły omówimy od razu.

Sprzedawcy, który chciał za nią nadażyć, poślizgnęła się noga. Musiał przystanąć raptownie, by utrzymać równowagę. Przez chwilę gapił się na mnie.

- Pan z nią? Jeszcze nie dzwoniłem do Bargy'ego. - Popatrzył przy tym na nadmuchiwany namiot, do którego zmierzałem.

- Nie - odpowiedziałem. - Kim ona jest? - zapytałem, nie licząc zbytnio na odpowiedź.

- Jakaś wariatka. Kupiła ten wielki budynek naprzeciw kościoła i założyła w nim sierociniec. Chce u mnie kupować warzywa i owoce. O ile nie zwinie się w ciągu pół roku, zrobię świetny interes. W przeciwnym razie nie wygrzebię się z długów.

- A o co chodzi z tym Bargym?

- Siedzi u niego jej ochroniarz - powiedział cicho, ale potem uświadomił sobie, że za dużo gada, i zniknął w przejściu do swojego królestwa.

Zimno nacierało coraz mocniej, miałem wrażenie, że nogi i ręce są już tylko w połowie moje. Nie bez trudności doczłapałem do Bargy'ego. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, stał już przede mną kubek gorącego napoju.

Tym razem miód.

- A co, jak nie będę miał czym zapłacić? - zapytałem straganiarza, karczmarza i barmana w jednej osobie, który stał za prostą drewnianą ladą i obsługiwał grzejniki,

ciągle coś mieszał albo nalewał czterem gościom siedzącym przy jednym z dwóch stolików.

- No to będę stratny. - Wzruszył ramionami. - Jakoś to zniosę.

Położyłem na stole koronę.

- Wystarczy na jeszcze jedną porcyjkę?

- Na cztery - odparł zwięźle i błysnął w uśmiechu zębami.

- No to jeden za drugim. - Usiadłem plecami do lady jak najbliżej grzejników.

* * *

Zamierzałem poprosić Evelyn o pomoc. Tylko ją tu znałem i tylko jej mogłem zaufać. Chciałem, żeby wybrała się do szpitala akademickiego, a potem mi wszystko opowiedziała, opisała okolicę, lekarzy, swoje wrażenia. Woląłem nie pokazywać się tam wcześniej, niż to konieczne. Już same środki bezpieczeństwa, jakie przedsięwzięto, sugerowały, że coś jest nie tak. Evelyn nie ryzykowałaby zbyt wiele, sownie bym ją wynagrodził, pieniędzmi albo w inny sposób. Jej życie zmieniło się nieoczekiwanie - nie chciałem jej narażać, nie należałem do świata, w którym się teraz obracała. Plastik skrzypnął, powiew lodowatego powietrza niemiłosiernie przypomniiał, jaka temperatura panuje na zewnątrz. Nie podniosłem się, nie czułem żadnego zagrożenia i nie zamierzałem odwracać twarzy w stronę mrozu.

- Czy mogę się przysiąc?

Kolejny głos, który znałem. W tym zakątku ulubionego przez bogów mrozu miasta stawili się chyba wszyscy moi znajomi.

- Oczywiście - przytaknąłem i spojrzałem na swoją pracodawczynię.

Wyglądała ciągle tak samo. Nieprzystępna, opanowana, ale w pewien sposób wyrozumiała i... litościwa?

- Coś panu przyniosłam. Pod jednym warunkiem.

Barman rzucił mi krótkie spojrzenie. Kiwnąłem głową, przyniósł więc drugą porcję miodu.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

To nie był pozór uśmiechu, lecz pełny, chociaż krótki uśmiech, który na jedno uderzenie serca całkiem ją odmienił.

- Co to takiego i jaki to warunek? - wróciłem do tematu.

Położyła na stole podłużną paczuszkę owiniętą czarnym aksamitem ze srebrnym hartem. Czy była to jedynie ozdoba, czy też w ornamentach skrywało się coś więcej?

Energicznymi, ale zgrabnymi ruchami kobieta rozwinęła paczuszkę i wystawiła jej zawartość na niebieskawe światło grzejników. Nóż. Pochyliła się i oparła o krzesło, obserwując mnie wyczekująco.

Znów poczułem się, jakbym umierał, mimowolnie skrzywiłem twarz w grymasie bólu. Ciągłe nie mogłem sobie poradzić ze wspomnieniami tego, co mi zrobili tajemniczy siepacze Waarda.

- Jaki to warunek? - wycharczałem.

Chciałem Noża, i to bardzo. Przez ten cały czas, kiedy go używałem lub on używał mnie - w przypadku bogów zamkniętych w przedmiotach nigdy nie można być pewnym - zdążył wrosnąć mi w serce. Bez niego czułem się niekompletny. Uświadomiłem to sobie właśnie teraz, kiedy jego widok przepalał się do mojego mózgu.

- Dowiedziałam się, że chciał pan rozmawiać z panem Waardem. I że... nie skończyło się to dla pana zbyt dobrze.

Zacisnąłem zęby.

- Można tak powiedzieć.

- Kolejną próbę podjęcia rozmowy proszę odłożyć na później, do czasu, kiedy przestanie pan pracować dla mnie. To jest warunek.

Mogłem przestać w każdej chwili.

- Uczciwy.

Przesunęła Nóż w moją stronę, nie dotykając go jednak. Ostrożnie ująłem rękojeść... Wystarczyło jedno dotknięcie i już wiedziałem, że to **ON**, żadna podróbka. Jeszcze ostrożniej włożyłem go do pochwy przy pasie. Może to tylko złudzenie, ale czułem, że Nóż jest zadowolony. Jakby wrócił w miejsce, które szczególnie sobie upodobał.

- Jak tam postępy w pracy? - kobieta zmieniła temat.

- Są. - Wzruszyłem ramionami. - Skupiłem teraz uwagę na szpitalu.

Nie miałem jej nic więcej do powiedzenia, więc milczałem.

- Śledztwo zaprowadziło pana aż tutaj? - Spojrzała na mnie pytająco.

Tak jak poprzednio płaszcz miała niedbale spięty zapinką, znowu kłębiła się pod nim ciemność - ciemność nieprzenikniona, odporna na światło żarówek.

- Zaprowadziło, ale to ślepy zaulek - przyznałem. - Muszę się rozejrzeć gdzie indziej.

Pokiwała ze zrozumieniem głową, dopiła miód.

- Dziękuję - powiedziała na pożegnanie i wyszła na mróz.

* * *

Oparty o niski murek starałem się ignorować ostry wiatr, który sprawiał, że czułem się jak ryba w zamrażarce. W dole, na ulicach, nie miał nawet połowy tej siły. Budynek, na który się wspięliśmy z Martowskim, już dawno został opuszczony. W kilku miejscach dach załamał się pod ciężarem śniegu, a ten stopniowo zasypywał jedno piętro po drugim. Całość musiała kiedyś runąć, to była już tylko kwestia czasu. Miejscowi mieli na głowie ważniejsze zmartwienia.

Zostawiliśmy za sobą podwójny szereg szybko znikających śladów.

- Właśnie to miejsce wybrałem - rzekł Martowski, kiedy oczyścił murek z wysokiej śniegowej czapy.

Przed nami rozpościerał się widok na chaos dachów, martwych kamienic, starych i nowych wież wydobywczych. Czerń popiołów i wyziewów walczyła z bielą śniegu, stanowiąc dowód, że tutaj wciąż żyli ludzie.

- Ten budynek z mnóstwem neonów, tam, po prawej, to teatr. Niezadaszony plac z gazowym grzejnikiem, który działa tylko przed przedstawieniem i po nim - tłumaczył Martowski.

Już wiedziałem, na co wskazuje. Spora odległość, co najmniej sześćset, siedemset metrów. Gdyby Wachtman był zwykłym człowiekiem, odniósłby ranę ciężką, ale nie śmiertelną. Oczywiście pod warunkiem, że snajper dysponowałby odpowiednim sprzętem. Wachtman był jednak gangsterem, nigdzie się nie ruszał bez obstawy, a jego ciało nafaszerowano czarami, które skutecznie chroniły go przed wszystkim z wyjątkiem najzwyczajszego okaleczenia.

- Sześćset siedemdziesiąt dwa metry, czterdzieści centymetrów - Martowski podał dokładną odległość.

Za każdym razem, kiedy rozmowa schodziła na temat pracy, jego głos stawał się ludzki, mniej spięty i drżący, a oczy wyglądały niemal normalnie. Martowski wyglądał jak żywy człowiek tylko wtedy, gdy mówił o zabijaniu.

- Jechał do teatru sam? - zapytałem.

Gdzieś daleko na niebie buchnął białoniebieski płomień. Szybko zniknął - zadziałał bezpiecznik uniemożliwiający wybuch metanu podczas wydobywania węgla albo innej działalności przemysłowej.

- Nie, oczywiście, że nie. W przeciwnym razie moje mistrzowskie umiejętności nie byłyby w ogóle potrzebne. - Spojrzał na mnie urażonym wzrokiem. - Czterej ochroniarze, samochód opancerzony. Ci dwaj, którzy tworzyli krąg wewnętrzny, mieli pawie ogony.

Zdjął z ramienia wąski plecak i ostrożnie, niemal nabożnie, położył go na oczyszczonym murku.

- Pawie ogony?

- Magiczne tarcze, którymi chronili Wachtmana.

Rozpiął zamek błyskawiczny, mętne światło pochmurnego dnia odbiło się miękko od ciemnej i doskonale gładkiej powierzchni broni ukrytej w plecaku.

- A pan te tarcze przestrzelił?

Godna artysty wychudzona twarz Martowskiego, zbudowana chyba z samych kości, ściągnęła się w pogardliwy grymas.

- Nie. Doświadczeni ochroniarze, sprzęt pierwszej klasy. Dostrzegłem jednak pewną lukę w systemie. Niewielką, ale pozwoliła mi oddać celny strzał.

Wyprostował palec wskazujący i dotknął nim własnej skroni. Przypomniał mi w ten sposób, jak długie ma palce. Fortepianowy wirtuoz śmierci.

- I z tego pan strzelał. - Wskazałem rozłożoną broń.

- Życzył pan sobie, żebym pokazał, jak to dokładnie wyglądało.

Chwył lufę, po czym włożył ją do korpusu. Rozległo się stalowe szczęknięcie, niepozostawiające wątpliwości, że spojenie elementów jest doskonałe. Uniósł karabin. Konstrukcja w całości z metalu, bez magazynka i mechanizmu wyrzutowego, jednostrzałowa, doskonała w swej prostocie. Średnica lufy mniejsza niż w szybkostrzelnym dziale i większa niż w wielkokalibrowym karabinie. Kogoś o tak delikatnej budowie jak Martowski strzał oddany z tego karabinu musiał zamroczyć. Niewiarygodne, zabójca posługiwał się nią, nie odnosząc przy tym żadnych obrażeń.

- Przy strzałach z większej odległości do chronionego magią celu konieczna jest odpowiednia siła rażenia. Preferuję raczej większe kalibry - powiedział, jakby czytał w moich myślach.

Moje wątpliwości były mu na rękę. Mógł się wykazać, chwalić, jak jest dobry.

Z kolejnym szczęknięciem zainstalował celownik optyczny, na którym błyszczał matowo srebrzysty napis „Zeiss”. Charakter pisma jednoznacznie zdradzał, że ten gadżet został wyprodukowany przez tego samego człowieka co lornetka, którą miałem w kieszeni płaszcza.

- Chce pan ją sprawdzić? - Z uśmiechem podał mi broń.

- Dziękuję - odmówiłem. - Wystarczy, że popatrzę na teatr przez własną lornetkę. Pański celownik z pewnością nie jest gorszy.

Wiedziałem, czego mogę się spodziewać po uwięzionym w lornetce demonie, lecz po tym w urzędzeniu Martowskiego - w żadnym razie.

Wzruszył ramionami, otworzył komorę naboju i włożył do niej długi mosiężny nabój. Już opierał karabin o murek, ale powstrzymałem go.

- Tej amunicji pan użył?

Spojrzał na mnie, wyprostował się, a jego asfaltowe oczy zaczęły błyszczeć jak czarne diamenty. Teraz moja niewiedza napawała go dumą z własnych umiejętności.

Pokręcił głową. Rozpiął mu się przy tym kołnierzyk, odsłaniając szyję. Dziwne, że Martowski jeszcze nie zmarł. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś zawiniętego w jedwabną ciemnoniebieską chusteczkę z czerwonym monogramem N.M. - M jak Martowski, N... jak czort wie co. Naprawdę był dumny ze swojej pracy.

Z niemal nabożną czcią odwijał chusteczkę, wystawiając na światło ponurego dnia czarny nabój pokryty srebrnymi, złotymi i czerwonymi diagramami zaklęć, klątw i czarów, te jednak stanowiły tylko część zawartej w nich śmiercionośnej siły. Reszta skrywała się w środku, rozdzielona między ziarenka prochu strzelniczego i wtopiona w powierzchnię segmentowanego pocisku. A ostatnia, najmniejsza część była zawarta w samej fizycznej formie. Oko zmieniło ostrość i pokazało mi w jakimś dziwnym trybie, jak śmierć, zagłada i pomór emanują z naboju, spływają i parują. To był wytwór szaleńca. Genialnego szaleńca.

Martowski podał mi swój skarb. Zawahałem się. Wprawdzie się bałem, ale musiałem sprawdzić ten nabój. Musiałem wiedzieć, jak bardzo zabójca jest dobry - i szalony.

Ledwo chwyciłem nasycony magią kawałek materii, poczułem, jak wysysa ze mnie życie, szarpie po kawałku, coraz więcej i więcej, szybciej i szybciej. Zwykły człowiek po kilkudziesięciu sekundach straciłby kilkadziesiąt lat życia; po kilku minutach - cały swój czas.

Niespiesznie oddałem Martowskiemu nabój, starając się uśmiechać. Nie było łatwo, ale przynajmniej wyszczerzyłem zęby. Chłód pomógł mi pokonać ospałość.

- Ma naprawdę potężną moc.

Martowski pomału, celebrując każdy ruch, załadował karabin swoim skarbem.

- A teraz wszystko jest dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy zabiłem Vika Wachtmana - oznajmił tryumfalnie.

Nie kłamał, w ogóle nie wątpił, że mu się udało. I nie interesowało go, że trup chodził dzisiaj między żywymi.

- Przyjrzymy się miejscu, w którym znajdował się obiekt? - zaproponowałem.

Martowski oparł się o murek i przyłożył karabin do ramienia. Z takiej odległości nie da się strzelać, chciałem go o tym uprzedzić, ale słowa uwięzły mi w gardle - naraz powierzchnię karabinu pokryły pędy, coraz większe i dłuższe, a po chwili opłotły również ciało Martowskiego. Broń straciła część błysku, oddając go zabójcy, ten zaś zrósł się z nią, stając się człowiekiem-karabinem.

- Jestem gotowy - oznajmił metalicznie brzęczącym głosem.

Przytaknąłem, wyciągnąłem urządzenie Zeissa i przyłożyłem do oczu. Z trudem zniosłem ukąszenie. Demon był wściekły i wygłodniały - już dawno nie wypuszczałem go na zewnątrz; czułem krew ciekącą po łydce. Ból szybko minął. Albo pomógł mróz, albo rana błyskawicznie się zrosła, albo po prostu zaczynałem się do tego przyzwyczajać.

Pole widzenia szybko się rozjaśniło, tak jakby dzisiejszy dzień nie był pochmurny, a klimat momentami wręcz polarny. Wirujący śnieg i lód zniknęły, pozostał czysty i doskonały obraz placu przed teatrem.

- Widzi pan tego chłopca? Niesie jakąś paczkę, pod prawym okiem ma pieprzyk przypominający ziarno kawy.

Demon lornetki bez wahania posłuchał i pokazał mi wzmiankowany obiekt.

Chłopiec miał jedenaście, może dwanaście lat; pośród warstwy swetrów i pozszywanych kawałków najróżniejszych kozuchów widać było jedynie jego twarz.

- Na skos od niego idzie para, mężczyzna z kobietą - kontynuował Martowski.

Zeiss znał swój fach. Zwykła lornetka nie pozwoliłaby tak szybko zmieniać pola widzenia.

- Zanim przetnie im drogę, jego głowa pojawi się między nimi. Tylko na chwilę, ale to wystarczy. Przypuszczam, że to cel równie trudny co Wachtman.

Wiatr świszczwał, kryształki lodu rytmicznie uderzały o nasze ubrania, a mimo to miałem uczucie, że słyszę skrzypienie śniegu pod nogami przechodniów daleko na placu pod teatrem.

To był ekstremalnie trudny strzał - dosięgnąć chłopca między głowami tej dwójki. Rzekłbym nawet, że niemożliwy, ale jeśli ktoś miałby podołać, to właśnie Martowski.

Kilka ostatnich kroków.

- Szkoda naboju, zasługuje na lepszą okazję - wycedziłem przez zęby. - Na bardziej odporny cel.

Napięcie opadło. Oderwałem lornetkę od oczu i zobaczyłem, jak sieć korzeni zmniejsza się i wreszcie znika, Martowski znowu staje się człowiekiem, a jego karabin - zwykłą bronią.

- Ma pan rację - powiedział z oczywistym żalem.

- Ale dużo mi pan pokazał. Jestem pewny, że zabił pan Wachtmana. Teraz muszę sprawdzić, kto się pod niego podszywa.

- Albo kto go ożywił.

Emanował z niego spokój, mimo że nie spuentował strzałem pokazu swojego kunsztu. Moje uznanie go cieszyło. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Wskreszenie człowieka to nie taka prosta sprawa, a kiedy ktoś wróci z tamtej strony, staje się kimś zupełnie innym. Czymś więcej niż człowiekiem i jednocześnie czymś mniej. I zazwyczaj można to poznać.

- Zawsze pan pracuje na odległość? - zapytałem, kiedy rozmontowywał i składał swoje narzędzie pracy.

- Tak jest czyściej - odpowiedział z uśmiechem.

Kłamał. Z gazet oraz tego, co ustaliła Micuma, wiedziałem, że kilka zleceń wykonał również z bliska. Raz w grupie pięciu strzelców - zginęli, zanim zdążyli sięgnąć po broń. A oprócz tego w Ostrawie działał jeszcze jeden najemny zabójca najwyższej klasy, którego nazywano Czarodziejem z Pistoletem. Podejrzywałem, że to drugie wcielenie Martowskiego.

- Rozejrzę się jeszcze po okolicy. - Machnąłem lornetką. - I dziękuję za demonstrację, jestem pańskim dłużnikiem.

Kiwnął głową, spojrzał na mnie przenikliwie i wrócił po swoich na wpół zasypanych śladach do włazu, przez który dostaliśmy się na dach.

Poświęciłem kawałek swojego ciała i obejrzałem go przez urządzenie Zeissa. Demon pokazał Martowskiego jako istotę, której nigdy jeszcze nie widziałem. W dziewięćdziesięciu pięciu procentach martwy, z życiem łączyła go nić grubości włosa. Ale to nie był ożywiony trup ani duch obleczony w materialne ciało. Martowski zmieniał się powoli i spontanicznie, nawet sobie tego nie uświadamiając. Stawał się zombie, którego celem było osiągnięcie doskonałości w wybranej dziedzinie - w

zabijaniu. I to mu się udało, był diabelnie dobry. Ten nabój prawdopodobnie by mnie uśmiercił, gdziekolwiek bym nim dostał. W rękę, w nogę. Popisowy spektakl śmierci.

* * *

- A zatem wierzysz, że Martowski naprawdę zabił Wachtmana - stwierdziła Micuma.

Przytaknąłem w milczeniu. Rozmawialiśmy w stajni. Siedziałem na składanym krzeselku, które ze sobą przyniosłem, ona przestępowała z nogi na nogę i studiowała coś między swoimi kopytami.

- Udało mi się znaleźć jednego żebraka, który był tam w czasie zamachu. Wszystko widział. Według niego pocisk rozpieprzył Wachtmanowi głowę w drzazgi.

Micuma spojrzała na mnie zdziwiona.

- Cytuję. - Wzruszyłem ramionami. - Mówił, że dostał w twarz odłamkami kości czaszki, a znajdował się w odległości około piętnastu metrów od Wachtmana.

- Do wskrzeszenia albo odrodzenia trzeba jak najwięcej elementów ciała. Jeśli zostały bezpowrotnie stracone, trzeba odprawić obrzęd tam, gdzie człowiek umarł. W przeciwnym razie może się nie udać - zaznaczyła. Z sześciu jabłek, które przyniosłem, wybrała sobie to najładniejsze i schrupała je, wielce zadowolona.

Miałem wrażenie, że nie docenia należycie moich starań. W Ostrawie owoce i warzywa osiągały niebotyczne ceny - uprawiano je w głębokich, opuszczonych kopalniach, w specjalnym świetle halogenowym. Tańsza była tylko grzybopodobna sałata, która rosła w kadziach. Wystarczyło jej światło ze zwyczajnych gazowych grzejników.

- Jaki będzie twój następny krok? - zapytała, kiedy skończyła jeść.

Starła się zachować obojętność, ale widziałem jej łakomy wzrok wbity w jabłka. Nie sięgnęła jednak po następne. Byłem pełen podziwu dla jej silnej woli.

- Sprawdzę szpital akademicki.

- A to niespodzianka. - Pokręciła głową i pochyliła się nad żłobem.

Zachowywała się, jakby robiła mi wielką łaskę, zjadając te jabłka, ale znów wybrała najładniejsze. I tak aż do ostatniego, też najładniejszego.

- To miała być ironia? - zainteresowałem się.

- Najbardziej prymitywna sztuczna inteligencja wykazałaby się większą kreatywnością.

- Znowu znalazłaś jakiś stary słownik i nauczyłaś się kilku trudnych wyrazów?

Udawała, że jedzenie całkiem ją pochłonęło, a mówienie z pełnym pyskiem jest poniżej jej godności. Przyniosłem sobie kolejny kubek grzanego wina.

Podczas gdy na zewnątrz spadała temperatura, w stajni również robiło się coraz zimniej, ale kupiłem Micumie okrycie ogrzewane czymś w rodzaju wiecznego wkładu i na razie się nie skarżyła.

Chwilę zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o spotkaniu z Evelyn i pracodawczynią - normalny człowiek nie musiał omawiać wszystkiego ze swoim wierzchowcem, nawet jeśli był to biobot. W końcu machnąłem ręką na tę normalność. I tak nie miałem z nią wiele wspólnego.

Gdy zakończyłem swoje rozmyślenia, Micumie nie zostało już ani jedno jabłko. Z jej samokontrolą nie było aż tak dobrze, jak sądziłem.

- Na terytorium Ostrawy działa pięciu poważniejszych zawodników.

- Chodzi ci o gangsterów - uściśliłem.

- Tak. Tędy przechodzi szlak towarowy znad Bałtyku na południe i południowy zachód. Dlatego tak się tu kotłują.

- I dlatego ludzie mieszkają tu mimo mrozu - dodałem.

- Również ze względu na żelazo i węgiel - zaznaczyła. - Wachtman, Schwarz, Fajkus, Novotný i Kajda - wymieniła nazwiska największych gangsterów.

- Dla kogo więc pracuję? - zapytałem. - Na pewno jest jedną z nich, dysponuje imponującymi środkami... - zawahałem się - i imponującymi zdolnościami. Skąd to w ogóle wiesz? Na dobre zajęłaś się hakerką?

- Nie. - Pokręciła głową i z niesmakiem zakąsiła owsem. - Sztuczna inteligencja, którą wykorzystuje tutejsza policja, jest bardzo dobra, nie miałabym z nią szans. Te informacje wygrałam w pokera. Ale nie twierdzę też, że miejscowa policja wie wszystko.

Ciekawe, jak sztuczne inteligencje grają w pokera? Nic mi nie przyszło do głowy.

- A co przegrałaś? - zagadnąłem, żeby podtrzymać rozmowę.

- Kilka informacji dotyczących ciebie. Ale tylko kilka - dodała szybko, kiedy się skrzywiłem. - Potem dla pewności włączyłam generator przypadkowych liczb.

- Oszukujesz? - zapytałem zdziwiony.

Niemal urażona potrząsnęła głową.

- Też go włączyła. I też oszukiwała.

- Dane też jej podałaś fałszywe?

- Nie - pozbawiła mnie złudzeń - to sprawa honoru. Raz by się wydało i już nikt by ze mną nie zagrał.

Właśnie się dowiedziałem, że istnieje cały świat, o którym nie mam nawet pojęcia. Zaskoczyło mnie to, choć nie powinno, biorąc pod uwagę moje ostatnie przeżycia.

- Ustaliłaś coś jeszcze?

Zaczynało mi być zimno. Wino wypite, stelaż fotelika ziębił nawet przez warstwy ubrania, oczy same się zamykały. Miejscowy klimat wysysał z człowieka więcej, niż się można było spodziewać.

- Listę mecenasów szpitala. Przyda ci się, bo nie masz nic, żadnego punktu wyjścia ani pomysłu. Będę musiała ci ją podyktować.

Za każdym razem, kiedy eksponowała moją niższość, popadała w samouwielbienie. A ja przyniosłem jej jabłka!

Wyciągnąłem długopis, trzy kartki wyrwane z książki telefonicznej, nieaktualnej od mniej więcej stu pięćdziesięciu lat, i zacząłem notować na pustym marginesie.

Palce miałem zgrabiące, musiałem uważać, żeby wściekle, zmęczone Kleszcze nie potraçały piszącej ręki. Oko już dawno odmówiło współpracy i pokazywało tylko rozmazane plamy.

- Prawie bym zapomniała. Człowiek, który był właścicielem szpitala, zanim przejęło go miasto, nazywał się Karl Curtis - powiedziała Micuma już na zakończenie.

Długopis znieruchomiał w moich palcach. Czy to coś znaczyło? Ojciec Raymonda Curtisa, przemysłowiec, magnat finansowy. Z gazet wiedziałem, że metody jego działania nie miały nic wspólnego ze szczerością i uczciwością. Był jednak potężny, jego wpływy sięgały od wybrzeży Irlandii po Bosfor i Dardanele i nikt, nawet najbardziej plugawie brukowce, nie odważył się go krytykować.

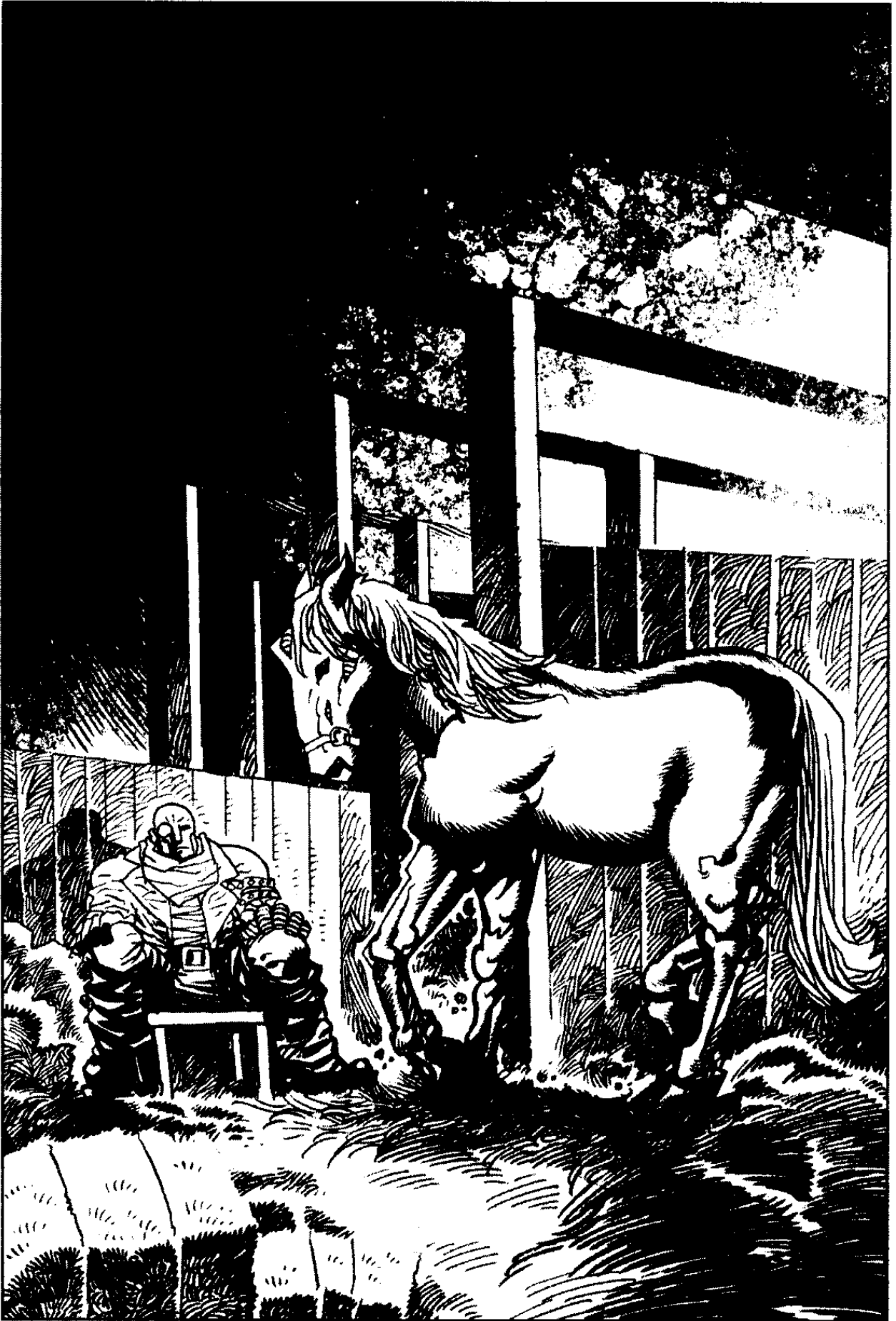
Micuma nie miała pojęcia o moim opętaniu przez Raymonda Curtisa, w przeciwnym razie pogoniłbym ją teraz na mróz za to, że wprawiała mnie w takie osłupienie.

- A w jaki sposób szpital dostał się w ręce miasta?

- Podarował go Ostrawie syn Curtisa, Raymond.

Skronie ścisnął mi piekielny ból. Może to przypadek, może to zmęczenie, a może byłem coraz bliższy odkrycia jakiejś tajemnicy, zaś demon, z którym dzieliłem ciało, nie chciał, żebym przybliżył się bardziej.

- Idę spać - rzuciłem i wytoczyłem się ze stajni.



* * *

Stałem w długiej kolejce kończącej się przy drzwiach z napisem „Darmowe badania”. Miasto się starało i naprawdę wykorzystywało spadek wielkiego Curtisa według zasad zawartych w akcie darowizny. Znalezienie ich w bibliotece nie było trudne. R. C, czyli ja, podarował szpital Ostrawie, stawiając jeden warunek: że miasto zapewni mu nieprzerwane funkcjonowanie, a dziesięć procent pacjentów - tych najgorzej sytuowanych - będzie leczonych bezpłatnie. O dziwo, choć upłynęło ponad sto lat, wciąż wypełniano jego wolę. Dzisiaj nikt by czegoś takiego nie zrobił. Ale minęło sporo czasu, a ludzie się zmieniają. Albo są zmieniani.

W długim, krętym wężyku stali razem żebracy i ludzie, którzy wprawdzie mieli jakieś źródło dochodu, ale byli tak ubodzy, że na inny rodzaj opieki zdrowotnej niż darmowy nie mogli sobie pozwolić. Przy czterdziestu pięciu stopniach mrozu i wietrze tworzącym podobizny demonów i straszdeł z wirów śnieżnych dla jednej trzeciej z nich to będzie ostatnie niemiłe doświadczenie na tym świecie. Ze wszystkich stron dobiegało charczenie, kasłanie. Przedemną stał mężczyzna cuchnący zgorzelą w zaawansowanym stadium. Sam też nie czułem się najlepiej - byłem nieuzbrojony. Obawiałem się czujników, wołałem się przyczać.

Im bliżej byłem okazałych drzwi zamykanych pneumatycznie, tym gorzej się czułem. Robiło mi się niedobrze, zmagalem się z chęcią ucieczki. Pewnie na zgromadzonych tu ludzi oddziaływali bardzo dobrzy psychoczarodzieje, wywierający wpływ na osoby z pewnym wzorcem osobowościowym - na przykład skłonnością do przemocy. Osobiście nie miałem nic przeciwko niej.

W końcu dostałem się do środka.

Przywitało mnie ciepło, smród środków dezynfekujących, rzewna muzyka z odtwarzacza bezskutecznie walcząca z całym chórem sapań, stęknień i głośnych, rwanych oddechów. Porządku pilnowała ochrona z automatami zawieszonymi na piersiach i hełmami z kuloodpornymi osłonami na twarz. Dobrze wyglądający mężczyźni przypatrywali się obojętnie zastępom, które ciągnęły się korytarzem. Nawet soczewki kamer zawieszonych przy suficie sprawiały wrażenie bardziej ludzkich niż oni - przynajmniej wyławiały z tłumu poszczególne osoby.

Jeszcze bardziej się zgarbiłem i ledwo powłócząc nogami, tak jak inni, posuwałem się do przodu. Korytarz był dłuższy, niż mi się wydawało, dwa razy zakręcał. Dostrzegłem tylko troje drzwi w ścianie wysokości dorosłego mężczyzny, wyłożonej

jadowicie niebieskimi kafelkami. Bardziej niż wejście do szpitala przypominało to drogę, która ma zmęczyć nieprzyjaciela, osłabić go i uniemożliwić szybki odwrót. Nie, to tylko mnie się tak wydawało. Po ludziach, którzy przecierpieli to długie czekanie i wreszcie dostali się do środka, widać było ulgę, niemal radość.

Stałem przed trzyosobową komisją lekarską siedzącą na wprost napierającego tłumu. Potknąłem się i jedynie dzięki maksymalnemu skupieniu utrzymałem się na nogach. Kiedy patrzyłem w bok i nie widziałem białych kitli, jakoś się trzymałem. Alergia na biel? Nigdy nie lubiłem tego koloru, to prawda. Ale też nigdy moje reakcje nie były tak intensywne.

- Jaki ma pan problem? Uraz, problemy z oddychaniem, bóle brzucha albo innych organów? - zapytał lekarz siedzący po prawej stronie.

- Osłabienie, całkowite osłabienie - wymamrotałem.

Ściągnął mi kaptur z czoła, Oko natychmiast przykuło jego uwagę. Do problemów z koordynacją mięśni nagle dołączyły problemy ze wzrokiem. Oko i oko odmówiły posłuszeństwa. Jakież czary?

- Pozszywaniec, w dodatku niezwykle interesujący! - stwierdził lekarz z zawodowym przejęciem.

Jego koledzy przestali badać pacjentów i zajęli się mną.

- Wydaje się, że implant jest połączony z układem nerwowym! - mówił dalej z rosnącym przejęciem. - Widzi pan na to oko? Panuje pan nad nim, może pan regulować ostrość? - interesowało go to bardziej niż wszyscy inni pacjenci razem wzięci.

- Zazwyczaj całkiem dobrze - przyznałem się. - Ale teraz nie.

Rzeka chorych zatrzymała się, jeden z ochroniarzy podszedł bliżej, żeby sprawdzić, co się stało. Potem bez słowa wrócił na swoje miejsce.

- Może ekstremalnie niska temperatura rozregulowała syntetyczne styki nerwowe. Nie są odporne na taki mróz - dodał jeden z lekarzy.

Dopiero teraz się zorientowałem, że w krtani ma zamontowany mały mikrofon.

- Odprowadźcie go - rozkazał ochroniarzowi.

Pozwoliłem się prowadzić mężczyźnie z błyszczącą osłoną hełmu na twarzy. Przez cały czas jego prawa dłoń nie oddaliła się od spustu na odległość większą niż dziesięć centymetrów. Już się chyba nad tym nie zastanawiał, czujność weszła mu w nawyk. Naprawdę dobrze pilnowany szpital.

Nie zmierzaliśmy do żadnych drzwi, za którymi znikali pacjenci, podążaliśmy dalej, w głąb budynku. Cztery piętra szpitala były połączone szeroką centralną klatką schodową. Strzeżoną. Przyciski w windzie zdradzały, że w podziemiach znajdowało się jeszcze osiem pięter. Do dwóch ostatnich dostęp miały tylko osoby z kluczami otwierającymi kłapki, pod którymi ukryto przyciski. My jechaliśmy na górę.

Przed windą stał gruby, uzbrojony po zęby strażnik w białym mundurze maskującym i kamizelce kuloodpornej. Czuję się jak w twierdzy, w której urzędują rajcy miejscy albo sztab generalny jakiejś armii. Ale może w świecie na granicy lodu tak wyglądało zwykle zabezpieczenie drogiego majątku rozsądnych ludzi.

Mrukliwy przewodnik odeskortował mnie aż do gabinetu, gdzie czekał lekarz - młody, ledwo trzydziestoletni mężczyzna. Ochroniarz wszedł razem ze mną do środka i z wyraźną rutyną stanął w kącie.

- Co panu dolega? - lekarz od razu przeszedł do rzeczy.

Darował sobie inne pytania. Na monitorze w nagłówku karty rejestracyjnej widziałem swoje dane osobowe - Bezdomny 80113.

Powtórzyłem to, co powiedziałem lekarzom na parterze. Już skakał koło mnie, przyglądał się Oku i mamrotał coś do dyktafonu.

- Blizny niewidoczne, implantacja wydaje się wykonana na wysokim poziomie...

Przestałem go słuchać i obserwowałem otoczenie. Z gabinetu lekarskiego nie dało się nigdzie przejść, nie miał nawet części biurowej. Ale nie zauważyłem żadnych kamer. Rozejrzałem się jeszcze raz. Teraz miałem już pewność - tu nie było monitoringu. Naraz Oko bez żadnego powodu zaczęło przestawiać ostrość.

- Już działa - wyrwałem się z przesadzonym entuzjazmem. - Bardzo panu dziękuję, wyleczył mnie pan!

Młody lekarz zaprzeczał, że to nie jego zasługa, starając się jednocześnie o pozwolenie na kontynuację badań.

- Cóż, na zewnątrz przy takiej temperaturze mogłoby się panu znowu pogorszyć - w końcu poszedł na kompromis.

- Postaram się uważać. Nawet owinę czymś twarz, gdy będę wychodził!

Z pewnym rozczarowaniem zapisał diagnozę: „Chwilowa niedyspozycja sztucznych styków nerwowych spowodowana ekstremalnie niskimi temperaturami”. Spojrzał na monitor komputera i dopisał: „Minus pięćdziesiąt osiem stopni Celsjusza”.

Musiałem zobaczyć więcej gabinetów na innych piętrach, żeby upewnić się, czy tam też nie ma kamer. Nie mogłem jednak przyjść tu jeszcze raz ot tak, z moim wyglądem za bardzo rzucałem się w oczy. Zaczęliby coś podejrzewać albo pełni entuzjazmu i zapału badawczego wysłaliby mnie prosto na stół operacyjny.

* * *

W drodze ze szpitala do przyjaźniejszych części miasta musiałem uskoczyć z drogi czterem ciężarowym skuterom śnieżnym. Były to technologicznie przestarzałe maszyny gaśnicowe, jednak wyprodukowane całkiem niedawno. Sądząc po ledwo wyczuwalnym zapachu spalin, który zostawiały za sobą, miały dobrze zaprojektowane, wyprodukowane i wyregulowane silniki.

Na drzwiach kabiny kierowcy błyszczał znajomy, umiarkowanie elegancki emblemat. Chwilę trwało, zanim sobie przypomniałem, skąd go znam - z nagłówka „Ostrawskiego Stalownika”, najlepszej miejscowej gazety. W branży informacyjnej panowało niezmiennie ożywienie. W każdym świecie ludzie lubią czytać o cudzych nieszczęściach.

* * *

Długi postój w kolejce i powrót piechotą do hotelu bardzo mnie zmęczyły. Choć początkowo zamierzałem załatwić jeszcze parę spraw, koniec końców zostałem w stajni z dzbanem grzanego wina i znowu zająłem się informacjami, które wczoraj zebrała Micuma.

- Ilu ludzi ma jakiś związek ze szpitalem akademickim? - zapytałem po godzinie walenia głową w informacyjny mur.

Ludzie Wachtmana zaraz po zamachu zawieźli go właśnie tam, zatem lekarze musieli być przygotowani na składanie do kupy gangsterów balansujących na granicy życia i śmierci - czy nawet takich, którzy już ją przekroczyli - a także na to, że nie powiadomią o tym prawomocnych stróżów prawa i porządku.

- Co dokładnie masz na myśli, posługując się nieprecyzyjnym pojęciem „związek”? - zapytała Micuma.

Była bardziej skrupulatna niż zwykle. Wolałem nie pytać dlaczego, na pewno od razu zaczęłaby narzekać. Na przykład na coraz większe zimno panujące w stajni.

- Nie wiem - odszczeknąłem i poirytowany zastukałem w belkę stropową. Kleszcze bez udziału mojej woli rozwarły się. Dzięki nadającemu im kształt bandażowi przypominały ludzką dłoń. Belka zatrzeszczała.

- Leczy się tam większość miejscowych krezusów. Łącznie z Waardem, który ma przecież swój własny szpital - odpowiedziała Micuma.

- Z Waardem rozmówię się później - wycedziłem. - Ale najpierw poleję benzyną i podpalę te jego przekłete obrazy.

Już nie bałem się wspomnień, strach ustąpił żądzy wiedzy i odplacenia pięknym za nadobne. Micuma nie zareagowała na mój widok, tylko przyglądała mi się badawczo.

- A gdyby tak spróbować z innej strony: kto sponsoruje szpital? A kto nie?

Do analizy danych wystarczyła jej chwila, ledwo dostrzegalne zdrętwienie naturalnie poruszającego się konia.

- Szpital sponsorują prawie wszyscy z ostrawskiej śmietanki. W dodatku płacą za opiekę lekarską. Mogę ci podyktować listę razem z wysokością kwot wpłaconych przez poszczególnych mecenasów. Lista tych, którzy szpitala nie sponsorują, byłaby krótsza, ale i tak chodzi o bardzo wielu ludzi. Dwieście czterdziestu dwóch według dobranych przeze mnie kryteriów ważności.

Spojrzałem na nią. Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy kpi w żywe oczy. Wyglądała całkiem normalnie, typowy koński biobot ostatniej generacji.

- Waard należy do tych dwustu czterdziestu dwóch.

- Tak. - Skinęła głową.

Posługiwała się tym gestem inaczej niż ludzie, dlatego nie należało na nią patrzeć w czasie rozmowy.

- Twoja kreatywność jest już chyba na wyczerpaniu - zauważyła po godzinie mojego milczenia.

- Muszę obejrzeć to miejsce jeszcze raz - nie reagowałem na jej impertynencję. - Mam na myśli szpital.

Na pewno by wygrała tę kłótnię.

- Jutro znajdę jakichś żebraków i zapłacę im, żeby dali się zbadać. Dopiero potem przyjdzie kolej na mnie.

- Pierwszorządne rozwiązanie. Czekalam tylko, kiedy na coś takiego wpadniesz - zarżała pogardliwe.

- Jeśli nie przestaniesz, nie dostaniesz nawet łyka wina.

- Jeszcze ani jednego nie dostałam.
- Więc nie dostaniesz tym bardziej.

* * *

Po śniadaniu, składającym się z porządnej porcji owsianki z miodem, błąkałem się ulicami wsparty o Micumę i szukałem żebraków, którzy odpowiadałiby moim oczekiwaniom. Odpowiednio rozgarnięci, odpowiednio uczciwi i odpowiednio chorzy. Złożoność ostatniego kryterium polegała na tym, że po wizycie w szpitalu musieli żyć jeszcze na tyle długo, bym zdążył z nimi porozmawiać.

W ostatniej chwili zmieniłem kierunek i oddaliłem się od na pozór idealnego kandydata do infiltracji. Oko pokazało mi zaawansowaną tuberkulozę w płucach. Nie wytrzymałby długiego czekania w kolejce na mrozie.

Przełknąłem przekleństwo i zacząłem się rozglądać. Dokąd teraz? To nie był mój dzień. Może przez to zimno: rtęć w termometrach znalazła się już pod pięćdziesiątą kreską, na odkrytych ulicach ludzie zatrzymywali się bardzo rzadko, twarze pozakrywali termomaskami albo chociaż maskami z tkanin. Tym większy ruch panował w halach. Znalazłem wreszcie dwóch nadających się mężczyzn i po pół dnia włączenia się na mrozie czułem, że dojrzałem już do prosektorium. Może sam też się rozchorowałem, bo dygotałem z zimna i łupało mnie w krzyżu. A może po prostu nieodpowiednio się ubrałem.

Wybrałem jedną z zadaszonych ulic, rzuciłem strażnikowi dziesięć halerzy i wszedłem razem z Micumą.

Zaraz za bramą zauważyłem następnego cherlaka, który wyglądał całkiem obiecująco. Około pięćdziesiątki, szal z posklejanych gazet, obdarta ni to kurtka, ni to kozuch, połatana czym się tylko dało, ale buty całkiem porządne. Teraz bez szemrania odstępował swoje miejsce w tłumie ludzi stłoczonych przy jednym z gazowych grzejników innemu żebrakowi, większemu i młodszemu.

- Mam dla ciebie propozycję - zagadnąłem go, kiedy gramolił się na gromadę śniegu.

Był wprawdzie dalej od źródła ciepła, ale za to wyżej. Mógł w ten sposób zyskać kilka stopni.

Zatrzymał się, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Na jego zarośniętej gębie nie drgnął najmniejszy nawet mięsień.

- Zamieniam się w słuch - powiedział w końcu. - Ale potrzebowałbym zaliczki. Wyglądasz, jak wyglądasz.

Nie bał się, to dobrze. Nagle zaczęło mną telepać z zimna, jakby ktoś przejechał mi po twarzy ostrzem z suchego lodu.

Oko spłoszone mrugnęło i wyostrzyło obraz z boku - chciało zerknąć aż za moje plecy. Talizman detekcyjny krótko zawibrował, ale ja już leciałem na ziemię. Byłem durniem, nieskończonym durniem - nagle zimno oznaczało zbliżający się atak. Ktoś przyglądał mi się przez celownik broni z magicznym wspomaganiami.

Strzału nie słyszałem, tylko górna część tułowia żebraka nagle gdzieś zniknęła. Jego głowa poturlała się po ziemi, sekundę później obok upadły nogi wciąż połączone miednicą. Dopiero teraz rozległ się ostry trzask, który natychmiast rozpląnął się w wielogłosowej kanonadzie.

Zemdliło mnie, instynktownie odskoczyłem kawałek dalej od resztek ciała i w ten sposób usunąłem się z bezpośredniego zasięgu broni niszczącej wszystko, co żywe. To robota Martowskiego, nie miałem najmniejszych nawet wątpliwości, kogo chciał zastrzelić. Oko, świadome, że gra toczy się również o życie jego i demona w mojej świadomości, natychmiast odtworzyło mi tę sytuację w zwolnionym tempie. Dzięki temu zdołałem mniej więcej określić, gdzie mógł znajdować się Martowski. Nie pod dachem, gdzieś na zewnątrz. Gwałtownymi przewrotami starałem się wydostać spoza zasięgu strzału. Nie zdążyłem, choć jego karabin był jednostrzałowy. Kolejny pocisk poparzył mi twarz. Bolało jak po kontakcie z materiałem radioaktywnym albo wyrwaniu kawałka ciała. Wyczerpany leżałem w bezpiecznej kryjówce za masywnym dźwigarem. Martowski musiałby mieć prawdziwe działo, żeby przestrzelić stal o grubości dziesięciu centymetrów.

Chciał mnie zabić tylko dlatego, że mu się nie spodobałem? Że posądziłem go o brak profesjonalizmu? A może dostał od kogoś zlecenie?

Leżałem na wpół pogrzebany w śniegu i zastanawiałem się, kiedy najlepiej będzie wstać. Kiedy dam radę wstać. Ktoś krzyczał przerażony, dwaj mężczyźni bili się o buty zabitego. Znajdowali się w pobliżu pocisku i starzeli się w okamgnieniu. Nikt mnie nie łączył z incydentem. Rozmawiałem z zabitym tylko przez chwilę, a teraz leżałem dobre piętnaście metrów od niego, w dodatku niewidoczny dla większości ludzi.

Micuma z elegancją właściwą tylko doskonałym biobotom podeszła i polizała mnie, jakby musiała się przekonać, czy żyję.

- Niewiele brakowało - wyszeptała.

- Cholera jasna - zakląłem. - Wracaj do domu, pójdę za nim - wycodziłem i dałem upust wściekłości.

Martowski popełnił błąd - trzeba było strzelać celniej.

Siły, które straciłem na skutek bliskości magicznego pocisku, naraz mi wróciły. Miałem ich teraz więcej niż przed atakiem. Wstałem i ostrożnie wyjrzałem zza dźwigara. Oko samo znalazło miejsce, z którego strzelał snajper. Pokazało mi postać leżącą na daszku nad wejściem do bloku mieszkalnego oddalonego mniej więcej o pół kilometra. Potem zwiększyło przybliżenie. Martowski właśnie wkładał karabin do pokrowca, na jego twarzy malował się niepokój, asfaltowe oczy kipiały wściekłością. Ten bydlak się nie bał - następny błąd. Nie ucieknie mi, tego byłem pewien. Kolejna zmiana przybliżenia: wychudzona postać zeskoczyła z dachu na ulicę i oddaliła się szybkim krokiem.

Wiedziałem, że go znajdę - po zapachu, po esencji czarów, po nienaturalnej aurze. Wszystko to ciągnęło się za nim, a moje zmysły osiągnęły stopień czułości, o którego istnieniu nie miałem dotąd pojęcia.

* * *

Pędziłem za nim, zmuszając płuca, by bez szemrania wypełniały się lodowatym powietrzem. Dałbym radę obyć się bez tlenu przez jakiś czas, ale teraz to nie był najlepszy pomysł. Stalowa rękojeść Zabójcy paliła mnie w dłoń, na rzęsach tworzyły się kryształki lodu z wydychanego powietrza. Musiałem ciągle mrugać, żeby coś widzieć.

Już wiedział, że go ścigam, usiłował mnie zgubić w najbardziej opustoszałych uliczkach miasta. Hałdy śniegu i lodu, ruiny rozsypanych budynków. Nie miał szans, wiedziałem, że go dorwę. A jeśli nie został mu trzeci taki nabój, którym zdołałby mnie dosięgnąć, skończy źle; bardzo źle.

Pędziłem przez królestwo lodowej śmierci, nie zwracając uwagi na wiatr, zimno, zamieć, przez którą się przedzierałem. W niezamieszkanymi dzielnicach Ostrawy morderczy mróz wydawał się jeszcze silniejszy. Byłem coraz bliżej, już go widziałem - ciemną sylwetkę brnącą przez szarość odbitego od śniegu światła. Potem Oko znowu się przebudziło i ukazało mi go wprost idealnie, z nienaturalną hiperrealistycznością. Martowski rozbudził nasze mordercze instynkty - mój i mojego demona.

Znaleźliśmy się na dawno opuszczonym osiedlu - rozlatujące się bloki, wyniszczone trądem palce gnijącego olbrzyma wskazujące niebiosa; pomiędzy nimi biała pustynia świeżego śniegu, nieskalana stopami żywych istot.

Biegłem krótkimi krokami i odbijałem się lekko, żeby nie rozłupać zlodowaciałej skorupy na śniegu. Jemu nie szło tak dobrze, co chwilę się zakopywał i kilkakrotnie odwracał. Huknął wystrzał, ale nawet nie usłyszałem kuli. Tylko przyspieszyłem.

Kawałek przed nami ulicę przecinał szereg kontenerów na śmieci. Martowski zawahał się, czy nie wykorzystać ich jako kryjówek, biegł jednak dalej. Już byłem przy nich, on - dwadzieścia, trzydzieści metrów przede mną. Trzymałem Zabójcę w gołej dłoni, bez rękawicy, przymarzył mi do skóry. Wymierzyłem. Kołysząca się sylwetka na białym tle skakała w celowniku. Spust palił rozżarzony mrozem opuszek palca wskazującego. Huknął wystrzał, Martowski wyczuł go zawczasu którymś ze swoich zmysłów i rzucił się na ziemię. Umknął kuli, stracił jednak prędkość niezbędną do wykonania drugiego uniku. Ktoś we mnie zaśmiał się tryumfalnie, drugi raz szarpnąłem za spust, kurek rewolweru ruszył na spotkanie ze spłonką.

W tej chwili zdałem sobie sprawę, przy czym stoję i o co się opieram, żeby przyjąć wygodniejszą pozycję.

O stary, pojemny kontener na odpadki. O dobrze mi znany kontener na odpadki. Strzał. Huk zlewający się w jedno z dźwiękiem opuszczanego wieka.

Trzy kilo jeszcze żywego mięsa niedbale zawiniętego w pieluchę i dwie torby foliowe. Płacz, jedyna możliwość walki o życie. Strach, stuprocentowy strach.

Ugięły się pode mną kolana, Zabójca wyślizgnął mi się z dłoni.

Błysk światła, szperające palce, ostatkiem sił wykrzesany szloch.

- Szkoda materiału - przytłumione mruknięcie. - Już sam fakt, że to jeszcze żyje, jest warty przebadania.

Potem chłód i potrząsanie, kołyszące do snu albo nieprzytomności.

Nocny koszmar, bóg wie czyje wspomnienia wróciły. Jak przez mgłę docierało do mnie, że siedzę oparty o kontener i stopniowo zamarzam. Jednocześnie leżałem na stole laboratoryjnym, nie w swojej prawdziwej postaci półpotwora z ekstremalną odpornością, nieprawdopodobnymi zdolnościami przeżycia i zabijania - lecz dziecka. Oglądałem świat oczami noworodka, nieostro, w lustrzanym odbiciu. Sylwetka

człowieka poruszająca się między urządzeniami. Krzychałem, dziecko krzychało, bezsilne, słabe i bezbronne; ja byłem bezsilny, słaby i bezbronny.

- Mówiłem, że to anomalia mózgowa - zaśmiał się mglisty obrys. - Niezwykle specyficzny przypadek. Ale pozostałe parametry są w normie.

- Wyrzucić? - inny głos.

Znudzony. Obojętny, zmęczony. Koniec zbyt długiej zmiany w pracy.

- Nie jestem aż tak bogaty, bym mógł sobie pozwolić na rozrzutność, co więcej...

Krótki żart na koniec, tajemnica, którą mówiący zachował dla siebie.

Chłód, zimno, ale już byłem - noworodek był tak wyziębiony, że nie dał rady nawet się poskarżyć.

- Owińcie go i zanieście do kojca hodowlanego. Sądzę, że szybko zrobimy z niego użytek.

Zabójca leżał kawałek ode mnie. W miejscach, których kilka sekund albo kilka stuleci temu dotykała moja ręka, zostawiając ślady wilgoci, mróz szybko rysował delikatne fraktale. Jeśli będę dalej leżał na ziemi i poddam się cudzym wspomnieniom, umrę. Nie chciałem umrzeć, chciałem zabić Martowskiego, spalić dwa obrazy, pogadać z Waardem i dowiedzieć się wielu rzeczy.

Szereg kontenerów nade mną. Kolejne zaćmienie.

Odgłos chirurgicznych przyrządów amputacyjnych, ból i wściekłość przychodzące potem. Bezsilność przelamywana pragnieniem zemsty.

Z tego można czerpać siłę. Są istoty, które to potrafią.

Przemarznięty chłopiec bez jednego ramienia tuła się po korytarzu. Krew sączy się przez wciąż cienką syntetyczną skórę, która pokrywa ranę. Chłopiec pcha przed sobą wózek z jakimś ogromnym urządzeniem. Ciężko mu idzie, słyszę, jak jego serce, omamione lekami uspokajającymi, umęczone pompuje krew. Każde uderzenie kosztuje go coraz więcej i przynosi większe cierpienie. Chłopiec zatrzymuje się przy drzwiach, na nosie ma nieforemne, wielkie gogle. Już rozumiem. Idzie nocą nieoświetlonym korytarzem, widzi dzięki czemuś w rodzaju noktowizora. Zimno, w pomieszczeniu jest zimno.

Zawsze gdy zaczyna się robić ostro, jest zimno. Mnie też jest zimno. Podczas umierania jest zimno, nawet jeśli człowiek smaży się w ogniu piekielnym. Skąd ja to wiem?

Chłopiec stoi przed drzwiami. Urządzenia wspomagające jego wzrok nie są dostatecznie funkcjonalne, nie może odczytać imienia na tabliczce. Tylko że on je dobrze zna. Spogląda na zamek, dobry zamek, połączenie elektronicznego i mechanicznego. Metalowy odgłos, a zaraz po nim krótkie piknięcie. Chłopiec dostał się do środka. Może siłą woli, a może pomaga mu niewidzialny wspólnik, którego obecności nie jest świadomy.

Pada śnieg, ale szelest płatków i tak po chwili ustępuje halucynacjom.

Popycha wózek do pokoju. To pracownia, a za nim pomieszczenie mieszkalne. Na łóżku ktoś śpi. Nie słyszy cichego odgłosu sunących po dywanie kółeczek, lekkiego stuknięcia, kiedy chłopiec zahacza o stół swoim ładunkiem.

Wózek już stoi koło kanapy, na której śni nieznajomy człowiek. To ostatni sen w jego życiu.

Wiem to tak samo dobrze jak to, że jest mi zimno. Ze pomału zamarzam. Jednak wizja jest zbyt silna i fascynująca.

Chłopak naciska guzik, czuję jego oczekiwanie, mieszankę mściwej nienawiści bliskiej spełnienia. Maszyna ożywa, czerwone kontrolki pobłyskują w ciemności i stopniowo przechodzą w zieleń, silniki uruchamiają się z dyskretnym warkotem. Śpiący człowiek ma ostatnią szansę, ale wiem, że ją zmarnuje. Zdradzają mi to cudze, odziedziczone wspomnienia. Ręka ze strzykawką i igłą znajduje aortę i aplikuje dawkę leku - albo jadu.

Oddech się zmienia, mężczyzna otwiera oczy, w świetle deski rozdzielczej poznaje nocnego gościa. Stara się coś powiedzieć, ale już nie włada swoim ciałem. To przez ten zastrzyk.

Widzę narastające wzruszenie chłopca, wzruszenie graniczące z pożądaniem seksualnym, na chwilę tłumiące nawet permanentny ból, który jest częścią jego życia. Zrywa kołdrę z przerażonego, przestraszonego mężczyzny. Urządzenie zaczyna pracować. To aparat operacyjny, teraz zaprogramowany na wiwisekcję.

Na twarzy chłopca rozkwita szeroki uśmiech, aż nim trzęsie z ekscytacji. Jego nienawiść znajduje ujście. Chłopiec rękami pomaga maszynie wyciągać wnętrzności - wątrobę, nerki, jelita. Biologiczna egzystencja mężczyzny coraz bardziej zależy od stopniowo uruchamianych niecielesnych kręgów. Pod koniec chłopak nie jest już w stanie się opanować. Zatrzymuje maszynę i wściekły dźga mężczyznę skalpelem,

grzebie w otwartej jamie brzusznej i wreszcie wyciąga z klatki piersiowej jeszcze pulsujące ludzkie serce. Rzuca je na ziemię i przepelniony nienawiścią skacze po nim, rozdeptując na krwawą miazgę.

Otworzyłem oczy. To wspomnienie w pewien sposób mnie zbrukało, ale jednocześnie dodało mi sił. Na chwilę stałem się tym chłopcem, kimkolwiek by on był. Wiedziałem, o co mu chodzi, rozumiałem go. Moje drugie ja, to zamknięte, postąpiłoby tak samo. Znowu zaczął padać śnieg, wirujące płatki wysysały ze mnie resztki ciepła. Złapałem Kleszczami za brzeg kontenera i podciągnąłem się do pozycji stojącej. To trochę pomogło. Nie bez trudu dreptałem w miejscu, aż wróciło mi czucie w nogach i mogłem iść samodzielnie.

Na Martowskiego jeszcze przyjdzie czas, teraz musiałem pozbierać się do kupy.

* * *

Micuma nie komentowała mojego mizernego wyglądu, kiedy dosypywałem jej paszy.

- Uciekł mi - rzuciłem krótko i poszedłem do pokoju. Tam było trochę cieplej.

Usiadłem na łóżku, zarzuciłem na ramiona koc i wyczerpany gapilem się w ścianę. Po chwili przyłapałem się na tym, że znowu rozmyślam o Raymondzie Curtisie. Nigdzie nie było napisane, że amputowano mu rękę, a jego dzieciństwo wyglądało na stosunkowo szczęśliwe, ponieważ ojciec - bogaty przemysłowiec i biznesmen - starał się, żeby jego syna nikt nie skrzywdził. Dopiero potem, kiedy Raymond dorósł i ich drogi się rozeszły, musiał się sam o siebie troszczyć. Całkiem nieźle mu to szło.

Co miały oznaczać te odziedziczone wspomnienia? Dlaczego ten drugi przyjmował je z takim entuzjazmem? Dlaczego dotyczyły cielesnego zamroczenia? Zamroczyli mnie po to, żebym się bardziej w kogoś wczuł? Niektóre informacje wynurzały się pozornie znikąd, jakby przychodziły z zamierzchłych czasów mojego poprzedniego życia. Po każdym takim wspomnieniu zamknięty we mnie demon, ukryte zabójcze ja, przybierał na sile. Może to właśnie był powód zamroczenia - miało uwolnić uwięzione we mnie myśli? Mimo to nie czułem nienawiści do mieszkańca mojego umysłu. Z każdym dniem coraz bardziej postrzegałem go jak siebie, ale jednocześnie się obawiałem. To było niebezpieczne, miałem pewne podejrzenia, jak mogło dojść do tego utożsamiania - prawdopodobnie udało mu się przeniknąć przez magiczne zamki i wpłynąć na moje myśli. Raymond Curtis, którym kiedyś byłem, którego ludzie opiewali w legendach, przestał istnieć. Definitywnie.

* * *

Miałem nadzieję, że późniejsza rozmowa z Waardem wiele wyjaśni. Przedtem jednak musiałem wykonać zadanie zlecone przez gangsterską królową i trochę odtajać.

Żeby się ogrzać i odzyskać równowagę w zalewie męczących myśli, wziąłem się do przeglądu broni. Margaret i Greyson od dawna nie wystrzelili, ale miałem przecucie, że to się szybko zmieni. Wyczyściłem je, zaimpregnowałem specjalnym olejem do stosowania w ekstremalnie niskich temperaturach. Nawet w ostrawskim mrozie miałem do nich całkowite zaufanie. Potem położyłem na poduszce Nóż. Wyglądał normalnie - wielki *bowie* z rękojeścią z szarej kości. Tylko czasami na jego ostrzu pojawiał się przypadkowy błysk.

Cały następny dzień poświęciłem na obchód hał. Znalazłem kilku nieboraków, którym zapłaciłem, by poszli do szpitala akademickiego i dali się przebadać. W miarę jak mróz się potęgował, wzrastały też stawki, które musiałem oferować. Wraz z każdym spadkiem temperatury kożuchy, samogrzewcze płaszcze, termomaski były coraz droższe. Sprzedawcy, którym udało się utrzymać straganiki z gorącymi napojami i przekąskami, przeżywali katusze. Przy minus sześćdziesięciu stopniach i zrywających się od czasu do czasu porywach wichru człowiek był w stanie przebywać pod gołym niebem zaledwie kilkadziesiąt minut.

W każdej chwili mogłem wybuchnąć, mróz wcale nie poprawiał mi samopoczucia. Kilka razy przyłapałem się na tym, że rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś prostytutki, ale ulice były niemal wyludnione, nieliczni przechodnie pospiesznie gonili za swoimi sprawami. Nie chciałem krążyć po zatłoczonych hałach pełnych potencjalnych świadków, poza tym musiałem się mieć na baczności. Martowski na pewno nie zaszył się w norze, tylko szykował do wyrównania rachunków. I dowartościowania się - ucieczka w popłochu, do której go zmusiłem, raczej nie podniosła jego samooceny.

Aby ogrzać się chociaż trochę i polepszyć sobie nastrój, wstąpiłem do szynku Konopasa. Szyldek ze stalowych rur informował jasno i wyraźnie: „Nalewamy przy każdej pogodzie, o każdej godzinie. Niczego więcej się nie spodziewajcie”. Budynek służył za magazyn, niedaleko wznosiły się ku pochmurnemu niebu wieże wydobywcze. Obok, pomiędzy resztkami hałd, stalowych transporterów taśmowych i innych elementów wyposażenia kopalni, jeszcze niedawno istniał plac targowy na otwartym powietrzu. Zostały po nim jedynie przysypane śniegiem ruiny straganów.

Dym z otwartego ognia zaczął mnie kręcić w nosie, w uszy uderzył syk gazu i echo odbijające się od wysokiego dachu. Bar znajdował się pośrodku placu, przy stołach dla gości rozstawiono koksowniki z rozżarzoną węglą, którego ogromna hałda zalegała z tyłu, po prawej. Mężczyzna w rozpiętym baranich kozuchach zostawił swych kompanów, wziął jeden z ogromnych czterokołowych wózków i ruszył w stronę węglowej góry. Przez chwilę gadał ze strażnikiem, potem mu zapłacił i wrócił z zapasem czarnego złota. Dorzucił do ognia grzejącego kompanię. Przy minus sześćdziesięciu określenie „czarne złoto”, tak często stosowane w miejscowej prasie, wydawało się najbardziej odpowiednie. Widać właściciel baru uznał, że nie tylko wewnętrzne, alkoholowe ciepło utrzymuje przy życiu jego klientów. A może nie chciał nosić zwłok. Tak czy inaczej, zarabiał.

Kupiłem sobie dzban piwa, oczywiście grzanego, i zająłem miejsce przy pustym stole daleko od wszystkich źródeł ognia. Pewnie dlatego nikt przy nim nie siedział. Był zespawany ze stalowych profili, nawet dziesięciu chłopów nie dałoby rady go przenieść. Siedziałem, odpoczywałem i rozglądałem się wokoło.

Płomienie ognia harmonijnie się zakołysały, gdy wszedł kolejny klient. Włosy na karku stanęły mi dęba, oko przeszło na przybliżenie i zmusiło mnie do spojrzenia w stronę drzwi. Wraz z nieznaną nadciągała moc. Specyficzna, obca moc, z którą jeszcze nigdy się nie zetknąłem. W końcu poznałem go mimo półmroku. Martowski... albo coś, co się w niego wcieliło. Wiedział, że tu jestem, szedł prosto do mnie.

Oko przestawiło się na przybliżenie i ukazało mi go w trybie rentgenowskim. Siła najemnego zabójcy nie tkwiła już w pustce i śmierci, przeciwnie - był świeżo naładowany energią, która krążyła tętnicami i żyłami, emanowała dyskretną aurą. Zatrzymał się pięć kroków ode mnie, w odległości najlepszej do oddania perfekcyjnego strzału. Oczy płonęły mu szaleństwem i wewnętrzną pewnością. Podczas naszego ostatniego spotkania też nie sprawiał wrażenia w pełni poczytalnego, teraz jednak wyglądał, jakby opuściły go resztki rozumu, wyparte przez coś zupełnie innego.

Amulety, talizmany i detekcyjne, magicznie naładowane chipy na łańcuszkach dzwoniły, cykały, wibrowały, grzały albo ziębiły. Zalewały mnie fale podobne do paniki albo zgrozy. Tylko że zwykle to ja wywoływałem takie paraliżujące ciało i umysł odczucia.

- Znowu masz ochotę potrenować sprint? A może nazywasz tę dyscyplinę szybkim odwrotem? - zagadnąłem pogardliwie, ale też pojąłem, że się boję.

To uczucie jednocześnie było nowe i miało w sobie coś starego, dobrze znanego. Coś, co tkwiło głęboko w moich myślach, lecz już od dawna się z tym nie spotkałem.

- Wczoraj to wczoraj. - Przewiercił mnie wzrokiem, w którym tlił się żar. - Mała prywatna rozgrywka. Chciałem się przekonać, czy rzeczywiście jesteś tak dobry, jak mówią. Dzisiaj jestem tu służbowo. - Skrzywił się.

Ten sam tłący się żar skrywał się również w jego ustach. Może cały był nim przepełniony? Nienawidziłem swojego strachu, ten drugi, demon, nienawidził go jeszcze bardziej. A w nienawiści jest ukryta siła.

Zabójca znalazł się w mojej dłoni niemal bez współdziałania świadomości, jednocześnie sięgnąłem po Margaret opartą o ławę. Nigdy nic nie wiadomo.

Martowski nawet nie drgnął, ale nagle w obydwu dłoniach trzymał pistolety. Nie sięgnął po nie, stanowiły część jego ciała, a teraz po prostu się zmateriałizowały. W jednej chwili porosły go żyłaste korzenie, jak wtedy, kiedy prezentował, w jaki sposób zastrzelił Wachtmana.

Ale ja już byłem w ruchu, już odbiłem się od podłogi, aż stalowe podbicie podeszew skrzesało iskry. Z nieprawdopodobną szybkością przesunąłem Margaret w dłoni i pierwszym strzałem trafiłem Martowskiego w prawą rękę. Jego seria minęła mnie o włos. Padłem na kolana, umykając kanonadzie z drugiego pistoletu. Wykorzystałem siłę bezwładu i starałem się powalić go na ziemię, ale przeskoczył nade mną. Przewróciłem się na plecy w samą porę, żeby zobaczyć Martowskiego wysoko pod sufitem, obie lufy jego broni wyglądały niczym niekończące się źródło ognia. Widziałem lot tych kul, jednej za drugą. Wilem się jak piskorz, wokół mnie metal brzęczał i dzwonił, wbijając się w podłogę. Potem dostałem w ramię. Jakby najechał na mnie pociąg towarowy. Martowski to wyczuł, zeskoczył kawałek dalej, w jego oczach tlił się żar zwycięstwa. Tylko że właśnie tam mierzyłem z Margaret, wystarczyło pociągnąć za spust. Wielkokalibrowa śrutówka huknęła i rozerwała tułów Martowskiego. Jego wewnętrzny ogień rozblęsnął teraz pełnym płomieniem i natychmiast sprawił, że rany się zrosły. Strzeliłem jeszcze raz, to go powaliło na ziemię. Ludzie krzyczeli i w popłochu usiłowali się ukryć. Piekielny ból z ramienia promieniował na całe ciało, jakby mi zaaplikowano metr sześcienny jakiegoś jadu. Puściłem Zabójcę, sięgnąłem po Nóż i jednym zdecydowanym ruchem wydłubałem pocisk z rany. Zadzwoił o podłogę i z głośnym syczeniem wypalił w niej dziurę. Kleszcze bez mojego rozkazu schowały Nóż do pochwy i rozwinęły się na całą swoją długość, żeby sięgnąć do Zabójcy.

I już obaj zerwaliśmy się na równe nogi, Martowski pierwszy pociągnął za spust. Kopniakiem przewróciłem ciężką ławę, żelazo przyjmujące na siebie kule dzwoniło, dźwięczało, narzekało. Gnałem wzdłuż tej prowizorycznej barykady w stronę hałdy węgla, która mogła mi zapewnić lepszą osłonę. Martowski nękał mnie strzałami i ani trochę nie odpuszczał.

Żyłaste korzenie, którymi był połączony z bronią, pulsowały w rytm strzałów, Oko pokazywało bąble energii zmieniające się w magazynkach w naboje.

Ostatni krok, zaraz będzie miał świetne pole do popisu. Wyskok, nie w kierunku, w którym biegłem, ale ostro w lewo, wprost ku ławie. Naparcie ramieniem, skrzywienie żelaza na nierównej podłodze, pędzącego prosto pod nogi Martowskiego. Nie zdążył wyhamować, wpadł na przeszkodę, a zderzenie z nią wyrzuciło go w powietrze. Pocisk wyrwał mi kawałek mięsa z twarzy. Przetoczyłem się przez ławę, stanąłem na rękach i energicznie wyprostowawszy tułów, kopnięciem obunóż posłałem go jeszcze wyżej. Pozornie pomału wirował w locie, jego broń wypluwała z siebie pociski i kosila wszystko, co tylko żyło. Padłem na ziemię i gdy plecami dotknąłem podłogi, wystrzeliłem w stronę latającego celu. Zabójca pięć razy ogłosił wyrok śmierci, a potem dołożyłem mu z Margaret. Ani razu nie chybiłem. Pociski nafaszerowały Martowskiego na wszystkie strony, padł zmieniony w kilka krwawych strzępów mięsa połączonych żyłastymi korzeniami. Wstałem, automatycznie załadowałem Margaret i Zabójcę. Musiałem wyciągać naboje z kieszeni płaszcza, ładownice zgubiłem w trakcie pojedynku.

Niektórzy ludzie jęczeli z przerażenia, inni, zalani krwią, umierali powoli, jednak sam Martowski umrzeć nie zamierzał. Siła, którą był przepelniony, znowu go scalała w monolit. Gdy skończyłem nabijać broń, już mógł unieść pistolet.

- Mnie nie zabijesz - wycharczał.

Przestrzelona krtań jeszcze nie zdążyła się całkiem zagoić. Żaden czar nie jest doskonały. Wepchnąłem Martowskiemu do ust lufę Margaret i pociągnąłem za spust. Zdążył strzelić, ale trafił mnie tylko w ucho. Jedno w tę czy we w tę, co za różnica. Ważne, że kula nie utkwiała w ciele.

Głowa Martowskiego rozprysła się. Wycelowałem w klatkę piersiową i znowu pociągnąłem za spust. Rozszarpane ciało odsłoniło oplecione czarnymi żyłami serce. Ciągłe pulsowało energią, a na szczycie szyi zaczęła pączkować dziwna narośl - chyba zarodek następnej głowy. Witalności na pewno mu nie brakowało.

Powinienem się bać, krzyczeć z przerażenia, tak jak ludzie dookoła. Może nawet jeszcze bardziej, bo wiedziałem, że dzieje się coś nienaturalnego, przeczącego wszystkim magicznym i niemagicznym prawidłowościom naszego i tak już pokrzywionego świata. Tyle że ja się nie bałem.

Uklęknąłem i zanim rana zdążyła się zrosnąć, wyciąłem mu Nożem serce, tak jak to widziałem w czyimś wspomnieniu. A może w zapowiedzi przyszłych wydarzeń? Serce nie przestawało pulsować, ciało Martowskiego zaczęło dygotać, jakby usiłowało wstać i mnie dosięgnąć. Ręka z pistoletem zgięła się w łokciu i zaczęła niepewnie szukać celu. Ten chłopak z mojego snu był za młody, za mało doświadczony, nie wiedział, co należy zrobić. Nie to co ja. Ścisnąłem serce w pięści i odgryzłem kawałek. Raz, drugi, trzeci i już było po wszystkim. Opadłem z sił i runąłem na ziemię obok nienaturalnie szybko rozkładającego się ciała. Ten drugi, którego myśli przez kilka chwil były w moim zasięgu, wycofywał się, podczas gdy ja z przerażeniem obserwowałem krwawy ochłap, a bitewny szal mijał.

Absolutne napięcie ustąpiło, zaczęły do mnie docierać jęki rannych i przerażone krzyki gości szynku Konopasa, którzy mieli trochę więcej szczęścia. W końcu udało mi się wstać, lecz z trudem utrzymywałem równowagę. Wygrałem.

- Tatar smakuje lepiej - powiedziałem do gapiów.

To była kropla, która przepęłniła czarę. W panice uciekali z krzykiem prosto w mróz i wicher, byle jak najdalej od szalonego mordercy, ode mnie. Nie mieli poczucia humoru i dystansu, jak by z pewnością nie omieszkała napomknąć Micuma.

Sala opustoszała, towarzystwa dotrzymywały mi już tylko trzaskające płomienie i zgrzyt stali. To mróz w kombinacji z ciepłem starał się wypaczyć konstrukcję nośną hali. Potem wyrobiony mechanizm zamknął drzwi i wokół zapanował półmrok.

Czekałem, aż zabije mnie trucizna, aż to, co czyniło Martowskiego tak silnym i co w ferworze walki zjadłem razem z jego sercem, pożre mnie od środka. Nic takiego jednak się nie działo, rozmazany świat stopniowo się wyostrzał. Odzyskiwałem siły w normalnym tempie, a może nawet jeszcze szybciej. Uświadomiłem sobie, że nagle czuję się dużo lepiej niż przed pojedyńkiem.

W tej samej chwili pojąłem, że nie jestem w hali sam. Przy barze stały dwie kobiety i obserwowały mnie w milczeniu. Jak się tu dostały? Nie przypominałem sobie, że bym słyszał dźwięk kroków albo poczuł powiew zimnego wiatru, który z pewnością musiały wpuścić do środka.

Schowałem Zabójcę do kabury i z Margaret przewieszoną przez ramię ruszyłem w ich kierunku.

To była moja pracodawczyni w towarzystwie kogoś w pewnym sensie bardzo do niej podobnego. O ile jednak gangsterską szefową uważałem za surową i oschłą, o tyle jej towarzyszka wydawała się wyciosana ze stali pancernej, zamiast oczu miała lufy dział, a zęby, choć doskonałe i okrążone zmysłowymi ustami, przypominały hartowane ostrza mieczy. Ona również miała na sobie płaszcz narzucony przez ramiona, spięty matową klamrą, a pod nim tylko ciemność.

- Coś do picia?

- Najchętniej piję krew swoich nieprzyjaciół - odparła nieznajoma.

Głos, nawet cichy, wydawał się ciąć jak ostrze.

Rozejrzałem się za jakimś trupem.

- Jeszcze ciepły - odpowiedziałem spokojnie. - Ale nie mogę gwarantować, że to pani nieprzyjaciel.

Moja szefowa spojrzała w kierunku nieba rdzewiejących elementów nośnych i pokręciła głową.

- Wystarczy nam coś bardziej zwyczajnego. Na przykład grzane wino.

Przeskoczyłem przez ladę i przygotowałem dla każdego po jednym kubku. Czulem pulsowanie Noża w pochwie. Był wyjątkowo niespokojny. Coś mu się nie podobało... a może wręcz przeciwnie.

- Czy zrobił pan jakieś postępy w śledztwie?

Wziąłem łyk wina, zmagając się z siłą podwójnego spojrzenia.

- Niewielkie, a dlaczego pani pyta? Spiesz się pani?

- Pojawił się nowy gracz - oznajmiła ze spokojem. - Połączył się z Wachtmanem i zeszłej nocy przeprowadzili atak na moje terytorium.

- Czy raczej wchłonął Wachtmana i teraz używa jego imienia, jego zaplecza - dodała druga kobieta.

- Możliwe.

- Ciężko ich zabić? Tak jak tego bydlaka? - Wskazałem miejsce, gdzie powinno leżeć ciało Martowskiego.

Teraz zostało po nim tylko lepiące się zagłębienie.



- Tak, trudno - powiedziała szefowa gangsterów. - Ale chyba nie aż tak trudno jak pana Martowskiego.

Napiła się wina - to był sam kwas, a mimo to zachowała spokojną minę. Kiedy jednak zerknąłem na kolor napoju w jej kubku, stwierdziłem, że pije coś zupełnie innego niż ja. A przecież nalewałem wszystkim z tego samego kanistra.

- A pani jest tutaj, żeby pomóc siostrzyczce? - zwróciłem się do nieznajomej.

O dziwo, uśmiechnęła się. Gdybym nie był tak odważny i nie zjadł przed chwilą serca swojego wroga, pewnie ten uśmiech napędziłby mi stracha. Właściwie i tak go napędził, ale zachowałem przynajmniej pozory spokoju.

- Prawidłowa dedukcja - potwierdziła. - To on? - zapytała i spojrzała na siostrę.

- Tak, on. Nawet jeśli wielu rzeczy nie wie.

Nie podobało mi się, że znowu czuję się jak głupek.

- A może byśmy się sobie przedstawili? - zaproponowałem. - Ot, czysta kurtuazja. Między dobrze wychowanymi... - zastanawiałem się nad odpowiednim słowem.

- Istotami? - zaproponowała nieznajoma.

- Tak - przytaknąłem. - Prawdopodobnie Raymond Curtis - przedstawiłem się po krótkim wahaniu.

Osiemdziesiąt lat temu Curtis poprowadził ludzi przeciwko upiorom, deksom, demonom, bogom. Publiczne przyznanie się do przeszłości było ryzykiem. W interesie każdego z nieludzi leżało zabicie mnie, ponieważ dawno temu stałem po przeciwnej stronie barykady. W zasadzie nic nowego, i tak ciągle ktoś próbował mnie uśmiercić, a ja nie pozostawałem dłużny. Na razie prowadziłem w tej rozgrywce.

Spojrzały na siebie w milczeniu. Ich twarze niczego mi nie zdradziły.

- Jestem Kali - przedstawiła się nieznajoma.

- Jestem Kuan Jin - powiedziała moja pracodawczyni.

Zamarłem z kubkiem wina w dłoni w połowie drogi do ust.

- Bogini wojny i bogini miłosierdzia - wyszeptąłem mimowolnie, Nóż poruszył się w pochwie.

Można to było odczytać jako radość.

- Tak. Jesteśmy siostrami - dodała Kuan - jak pan już zapewne odgadł.

Bogini miłosierdzia, która rządzi gangsterami i nie waha się zlecić zabójstwa? Chociaż... dlaczego nie, ludzie zazwyczaj nie używali słowa „miłosierdzie” w jego pełnym znaczeniu, które w tym świecie zyskało całkiem nowy wymiar, odmienny od pierwotnego.

Wszyscy troje napiliśmy się wina. Nagle i ja miałem w kubku coś zupełnie innego, smaczniejszego, co nie wywoływało odruchów wymiotnych. Zmienić złe wino w dobre z pewnością łatwiej niż wodę w wino.

- Poprosiła pani o pomoc ze względu na Wachtmana? - zapytałem.

Nie liczyłem na to, że odpowie. Była boginią, nie musiała się spowiadać.

- Tak, ze względu na Wachtmana i inne sprawy. Czasy się zmieniają. Na gorsze.

Nie musiała tego mówić, to było oczywiste. Przyglądałem się im, usiłując odkryć ich prawdziwe ja na podstawie fizycznych postaci, które przyjęły.

Milczały, dając mi czas na przemyślenia, jakby zależało im na moim zdaniu. Potem płomienie zamigotały, nasze twarze owiał prąd mroźnego powietrza. Odwróciłem wzrok w stronę drzwi.

Stał tam człowiek... albo coś o ludzkim spojrzeniu, na mnie jednak wywarł całkowicie nieludzkie wrażenie. O ile od Martowskiego biła aura mocy, o tyle przybysz uosabiał siłę w czystej postaci, jej ognisko. Przeszedł kilka kroków w głąb hali i wbił we mnie wzrok. To było jak spoglądanie na swoje odbicie w tafli rtęciowego jeziora, kiedy zamiast wejrzeć głębiej chociaż na milimetr, widzi się tylko własny zdeformowany obraz.

Twarz nieznanego, podobnie jak jego odzież, wydawała się nienaturalnie zuniformizowana, bez jakichkolwiek indywidualnych rysów, jakby była średnią wyciągniętą z tysięcy ludzkich twarzy.

- Wpadłeś na imprezę? - zagailem.

- Kim jesteś?

Blacharz, sztuczna inteligencja, z którą jakiś czas temu spotkałem się w górach, miał lepszy głos.

- Zapytałem pierwszy - zwróciłem mu uwagę przyjacielskim tonem i odpiąłem kaburę Zabójcy. Margaret leżała w zasięgu ręki.

Przez chwilę rozważał moją odpowiedź, jakby jej nie rozumiał, a potem odwrócił się w lewo i wskazał ciało jednej z ofiar kanonady Martowskiego.

Martwy wstał. Poczułem niepokój Kali i Kuan. Działo się coś, czego nawet one nie rozumiały.

Przybysz z rtęciowymi oczami zwrócił się do martwego w nieznanym, syczącym języku. Takich dźwięków nie sposób wykrzesać z ludzkiego gardła. Widząc spojrzenia Kuan i Kali, zrozumiałem, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Trup odpowiedział w

podobny sposób, przesłuchanie trwało jeszcze dobrą chwilę. Boginie były bardzo zaniepokojone.

Wydawszy z siebie krótki syk, martwy położył się z powrotem na podłodze i już po chwili nic nie świadczyło, że jeszcze przed chwilą odpowiadał na pytania przybysza.

- Zdradził mi - przybysz wskazał stygnące ciało - że dobrze trafiłem. Przyszedłem po ciebie. - Wbił we mnie srebrne oczy.

Trzymałem Zabójcę.

- Jest pod moją ochroną - wmieszała się do rozmowy Kuan Jin.

Nieznajomy zawahał się, jakby naradzał z kimś dla nas niewidzialnym.

- Ustąp. Zmierzymy się, kiedy przyjdzie czas - odpowiedział spokojnie, lecz stanowczo.

- Jestem jeszcze ja, siostrzyczka - odezwała się Kali.

W jej głosie brzmiał uśmiech, na twarzy malowała się żądza. Poruszyła ramionami, płaszcz zsunął się na ziemię. Już wiedziałem, co skrywała ciemność - dodatkowe dwie pary rąk, w każdej z nich bogini trzymała broń. I nagle miała tych rąk nieskończenie wiele, w powietrzu świszcząły przecinaki, miecze, młoty bojowe, maczety, szable, pistolety maszynowe, siekiery, rewolwery, karabiny. Kali rosła i jednocześnie pozostawała niezmienna...

Bezwolnie cofnąłem się o kilka kroków, byle dalej od mocy, która mogłaby mnie pochłonąć.

Nieznajomy stracił nieco pewności siebie, a Kali uśmiechnęła się szeroko; z ostrzy jej broni kapąła lśniąca krew, w powietrzu unosił się zapach prochu strzelniczego, smród trotylu, nagle rozległ się świst odłamków i huk wystrzałów z dział.

- Nasz czas jeszcze nie nadszedł. Ale następnym razem również tobie radzę mieć się na baczności, Wielka Ukończycielko - ustąpił wreszcie i zaczął się wycofywać.

Powstrzymałem się ostatkiem sił, żeby do niego nie strzelić, ot tak, dla sportu, w plecy. Szkoda naboju. Zbyt wiele ich zużyłem na Martowskiego.

- Kto to był? - zapytałem, kiedy zostaliśmy sami i ogień się uspokoił.

- Nie wiem. - Kali obojętnie wzruszyła ramionami. Miała już tylko sześć par rąk. - Od myślenia mam ją - wskazała na Kuan. - W każdym razie to nie był wariat, skoro w końcu ustąpił. Ale musiał się najpierw zastanowić. - Z niedowierzaniem pokręciła głową i sięgnęła po dzbanek.

Przeniosłem wzrok na Kuan.

- To było coś, co w ogóle nie powinno istnieć na tym świecie. Ale nie wiem dokładnie kto albo co. Jeszcze nie wiem.

Kuan Jin sprawiała wrażenie lekko wyprowadzonej z równowagi.

- Kim są ci dwaj szermierze z obrazu? - kułem żelazo, póki gorące, póki boginie mówiły otwarcie i szczerze.

- Amdo - odpowiedziała Kali i napiła się wina.

Jej siostra spojrzała na nią z wyrzutem.

- Nie składałam żadnej przysięgi, nie jestem związana żadnymi ślubami i nie muszę od dziesiątków lat kombinować, jak by je tu naruszyć, nie szargając honoru. - Machnęła ręką na niewypowiedzianą pretensję. - Wiesz, co to jest Bardo?

Przypomniałem sobie ducha matki, który zaprowadził mnie do grobu córki. Przytaknąłem.

- Bardo to dusza, która po śmierci człowieka zostaje w naszym świecie. Tkwi tu tak długo, póki nie utraci siły woli lub nie wykona zadania, jakie go zatrzymało - wyrecytowałem.

- Amdo to bandyci, którzy odpowiedzieli na wezwanie i wrócili jako duchy do świata ludzi, zwykle ze względu na gratyfikację. Musi im się opłacać, ponieważ o powrocie można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest przyjemny - wyjaśniła. - I zazwyczaj są to strasznie brutalne i silne duchy, inaczej nie dałyby rady. Nawet większość demonów się ich boi.

- A bogowie?

- Ja nie. - Kali pogardliwie pokręciła głową.

Dorzuciłem trochę węgla do ognia, dolałem nam wina. Z każdym łykiem smakowało coraz lepiej, język się do niego przyzwyczajał. A raczej boginie stopniowo podnosiły jakość wina do poziomu, do którego były przyzwyczajone.

- Rzekłbym, że szykuje się jakaś wojna - powiedziałem w zamyśleniu, dopiłem resztkę wina i znowu sobie nalałem.

Kuan Jin kiwnęła głową i podsunęła kubek.

- Zważywszy, że poprosiłam o pomoc siostrę, jest to wielce prawdopodobne.

- Czy wyjaśnianie, jak to możliwe, że Wachtman ciągle żyje, ma jeszcze sens?

Według mnie miało, chciałem się tylko upewnić, że Kuan dotrzyma danego słowa.

- Ma. Od niego zaczęły się moje problemy, a sama mam jeszcze wiele do zrobienia.

- A poza tym jesteś właściwą osobą do wykonania tego zadania. - Kali uniosła kubek, żeby się ze mną stuknąć.

Jakimś cudem znowu miała na sobie płaszcz i tylko jedną parę rąk.

- Potrzebuję więcej informacji o ostatnim starciu z ludźmi Wachtmana - przypomniałem.

Od jednego z koszy, w którym pomału dogasał żar, dobiegł jęk.

Kuan przyklęła przy siwym mężczyźnie. Pocisk Martowskiego trafił go w ramię. Rozkład był już tak zaawansowany, że zaczęła mu się otwierać klatka piersiowa. W oczach mężczyzny czaiło się wywołane bólem szaleństwo, z ust ciekła piana niemająca nic wspólnego z naturalnymi wydzielinami ludzkiego ciała. Dotyk Kuan przegnał cierpienie. Mężczyzna wydał z siebie ostatni dech i z uśmiechem zasnął na wieki. Bogini miłosierdzia, przypomniałem sobie. Ono ma niejedno oblicze.

Cienie na moment zawirowały w dzikim tańcu, przybył kolejny gość.

- Pan Kaplica - przedstawiła go Kuan, nawet się nie odwracając. - Wtajemniczyłam go w nasze sprawy. Odpowie na wszystkie pańskie pytania, by był pan dobrze zorientowany i mógł wywiązać się z zadania, do którego pana wynajęłam.

Rozległo się suche *pufff*, gdy powietrze wypełniło próżnię powstałą w wyniku zniknięcia obydwu bogiń. W sali zostałem ja i przypominający urzędnika Pan Kaplica. Wrażenie psuł tylko automat, który miał przewieszony przez ramię. Nikt nie jest doskonały.

* * *

Pan Kaplica nie był księgowym, nawet jeśli miał dużo do powiedzenia w kwestii finansów gangu Kuan. Nazwałbym go raczej głównym strategiem sztabu generalnego, który przyporządkowywał rozkazy i życzenia bogini do możliwości jej podwładnych. Zgodnie z tym, co powiedział, ludzie Wachtmana zaczęli pchać się do centrum Ostrawy. Drobnych potyczek stoczono już całkiem sporo, ale decydujące starcie, najbardziej przypominające regularną wojnę, rozegrało się na mało zamieszkanym obszarze, ogrodzonym z trzech stron starymi autostradami i szerokim traktem. Kaplica nie miał nic przeciwko pokazaniu mi miejsca ostatnich walk.

Niemal wszędzie musieliśmy brodzić w śniegu. Miejskie służby porządkowe z dnia na dzień pracowały coraz gorzej, przy minus sześćdziesięciu stopniach nawet mnie to nie dziwiło. W końcu dotarliśmy do tablicy z napisem „Rudna” zatopionej w lodzie. Sądząc po nieco jaśniejszym kawałku betonu na pobliskim domu, odpadła całkiem

niedawno. Tak nazywał się trakt, przez który właśnie się przedzierał i o którym Kaplica wcześniej wspominał. Na otwartej przestrzeni wiatr był silniejszy i nieopisanie nieprzyjemny. Mój przewodnik twardo kroczył kawałek przede mną, głowę miał pochyloną, czapkę z baraniego futra naciągniętą tuż nad oczy, usta i niemal całą twarz zasłoniętą szalikiem.

Między domami zrobiło się nieco lepiej. Niższe piętra licznych bloków wciąż były zamieszkane, wolne powierzchnie pomiędzy budynkami przecinały białe, złodowaciałe hałdy, ludzie jak szczury biegali wąskimi korytarzykami wyrytymi w bezkresnym śniegu. Przed norą wiodącą gdzieś w głąb białej góry stała wyniszczona kobieta, w ręce trzymała zapalonego, ręcznie skręconego papierosa, a spod czapki z kożucha ozdobionej wyschniętą słomą wystawały farbowane włosy.

- Nie chciałbyś odpocząć, przystojniaku? Mam tu ciepły i miły kącik - zapraszała mnie do środka.

Oko przeszło na przybliżenie. Poczulem nagły przypływ żądy... i jeszcze czegoś. Na szczęście kobieta była zbyt wyniszczona i sterana życiem, bym nie dał rady okiełznać chuci. Gorsza część mojego ja - ten drugi, ten uwięziony - znowu chciała dojść do głosu.

Na placyku koło koksownika z żarem stało kilku mężczyzn. Jeden wyglądał jak niedźwiedź pomiędzy owcami. Wysoki na dwa i pół metra, toporna sylwetka, która musiała być produktem zaawansowanej biotechnologii albo manipulacji genetycznych. Miał na sobie spodnie z foczej skóry i kamizelkę z owczej wełny. Gołe, nieludzko duże dłonie, skonstruowane przez specja od biotechnologii, trzymał na mrozie, o nogę oparł młot bojowy. Jego rudawe wąsy coś mi przypominały. Czyżby nie był wytworem technologii? Jego dziwni współnicy wyglądali jak przybysze z zupełnie innego świata - w najściślejszym tych słów znaczeniu. Wlepił we mnie wzrok. Wyczuwałem w nim lód i śnieg, skrzypienie trących o siebie lodowców. Kryło się w nich coś odwiecznego, podobnie jak w oczach Kuan Jin. Z tym że w jej przypadku głębię łagodziła troska o los śmiertelników. A tutaj widziałem jedynie ostrość i mróz.

Byłem prawie pewien, że sięgnie po swą średniowieczną broń, ale pozwolił nam przejść.

- Nasi ludzie już czekają. Powiadomiłem ich, że mają się zebrać u Karmiego. To gospoda i miejscowa centrala - wychuchał przez szal Kaplica.

Kiwnąłem z podziękowaniem głową. Już miałem dosyć tej wędrówki.

Resztę dnia spędziłem na rozmowie z ludźmi, których przyprowadził Kaplica. Żebracy, na pozór zwykli rzemieślnicy, handlowcy, pracownicy podziemnych plantacji. No i oczywiście najemnicy, bez których gang nie mógłby funkcjonować.

Tej nocy rozegrała się chaotyczna bitwa. Otrzymywałem mnóstwo wykluczających się wzajemnie informacji, ale co do jednego wszyscy byli zgodni: nie wystarczyło trafić przeciwnika w brzuch, więcej pewności dawała seria albo jeden bezpośredni strzał w głowę. Ponieważ pracowali dla Kuan już dosyć długo, nie przestraszyli się i dzięki dobrej organizacji oraz orientacji w terenie zadali przeciwnikom poważne straty. Ci jednak nie ustępowali i walczyli do samego końca. Właściwie nawet nie było jasne, co stanowiło cel ataku - może przetestowanie armii Kuan, ewentualnie porządne upuszczenie jej krwi.

- A ciała? Gdzie są zabici? - zapytałem mężczyzny ze sztuczną skórą naciągniętą na szybko gojące się rany twarzy.

Jedną rękę miał na temblaku, a mimo to na ramieniu kołysał mu się sztucer. Kaplica przysłuchiwał się rozmowie, ale w żaden sposób się nie wtrącał.

- Zabrali ich. Każdego, nawet jeśli ryzykowali, że też oberwą. Mamy jedno jedyne ciało, z pewnością martwe.

- Chciałbym je zobaczyć.

Mężczyzna wzruszył ramionami, Kaplica skinął na karczmarza. Ten bez słowa otworzył drzwiczki za kontuarem. Przeszliśmy przez kuchnię, magazyn i znaleźliśmy się na zewnątrz. W wysokiej na dwa metry ścianie śniegu, napierającej na mury budynku, była wydłubana jama, a w niej leżało ciało. Młody, trzydziestoletni mężczyzna z klatką piersiową rozerwaną trzema pociskami, jeden obok drugiego. Przewróciłem trupa na brzuch. Był twardy jak lód, nic dziwnego przy takim mrozie. Brakowało tylnej części czaszki i większości mózgu, pewnie dostał ekspansywnym pociskiem.

- Nie wygląda na takiego, co zamierza ożyć.

- Nieźle oberwał - dodał żołnierz Kuan.

- W którym mniej więcej kierunku ich odnosili? - zapytałem, dając znak, że możemy wracać do środka.

Nie chciałem bez potrzeby sterczeć na mrozie.

- Nie wiem. Znaleźliśmy kilka śladów opon samochodów dostawczych. Ale dokąd ich odwieźli... - Wzruszył ramionami.

Przemogłem chęć wejścia do ciepłego pomieszczenia i ruszyłem we wskazane miejsce, żeby przeanalizować ślady aut napastników. Nie zostało ich za wiele: wiatr nanosił tumany śnieżnego pyłu, które zamiatały powierzchnię twardego niczym marmur lodu. Transportery, czy co to tam było, wyjechały z uliczek między budynkami mieszkalnymi na szeroką ulicę Rudną, a potem skręciły w lewo, na zachód. Niczego więcej nie udało się ustalić.

Czy to przypadek, że w tamtym kierunku jechało się również do szpitala akademickiego? Trochę za daleko, by wybrać się tam od razu, byłem zbyt zmęczony, zbyt przemarznięty. Zostawiłem Pana Kaplicę i wróciłem do pensjonatu; chciałem jeszcze pogadać z żebrakami, którym zapłaciłem za to, by dali się przebadać. Jednak żadnego nie spotkałem, a nie miałem ochoty ich szukać. Jutro też jest dzień.

Dwie godziny później siedziałem z Micumą w stajni, przemarznięty i wyczerpany, popijałem grzane wino i patrzyłem na swoje trzęsące się ręce. To pewnie skutek zimna i zmęczenia, ale doszedłem do innego wniosku. Moje drugie ja dawało o sobie znać. Chciało czegoś, czego nie dostawało. Byłem przekonany, że wkrótce odezwie się znacznie bardziej gromkim głosem.

- Ten atak to był test - odezwała się Micuma, kiedy schrupała wszystkie jabłka.

Spojrzałem na nią, po czym rozpakowałem narzędzia i kupione na zapas materiały.

Musiałem zaopatrzyć się na nadchodzące dni, uzupełnić ubytki w amunicji do Zabójcy i Margaret, sprawdzić i podreperować mechanizm inicjacyjny granatów w Greysonie, żeby nie zawiódł nawet przy minus pięćdziesięciu stopniach, czy ile tu wkrótce mogło być.

- Przez kilka dni będzie teraz spokój. Wachtman zaczął pertraktacje z innymi gangsterami - zdradziła mi kolejną informację.

Napełniłem łuskę odważoną porcją prochu strzelniczego, wprasowałem pocisk i przez chwilę mu się przyglądałem. Oko włączyło się natychmiast, jakby przeczuwało, że będzie ostro. Studiowałem niejednorodną strukturę ręcznie odlewane go ołowiu i ostrożnie drażyłem otwór, który przykryłem przygotowanym wcześniej kapturkiem. Tak powstało coś między nabojem półpłaszczowym a ekspansywnym.

- Skąd to wiesz? - Przełączyłem Oko do normalnego trybu, żeby trochę odpocząć.

- Od policyjnej sztucznej inteligencji. No, sztucznej inteligencji. Jest zaraz pod poziomem Turinga, ale ma doskonałą bazę danych i nadal na niej pracuje. To jego chluba - dodała niemal zawistnie.

- Byłaś na zewnątrz?

Już wcześniej szukaliśmy bezprzewodowych kanałów informacyjnych, ale bezskutecznie. Ostrawę stopniowo ogarniała radiowa ślepotą i głuchota. Najbardziej ubolewała nad tym Micuma.

- Nie, ale policja zainstalowała tymczasową stację - odpowiedziała z dumą.

Podskoczyłem jak oparzony. Prawo i porządek w mieście takim jak to z pewnością stosowały wyszukane środki przymusu. Nie miałem ochoty przekonać się o tym na własnej skórze.

- Po co? - szcęknałem.

Posłała mi pogardliwe spojrzenie; znowu mnie przechytrzyła.

- Żeby policyjne sztuczne inteligencje mogły zagrać ze mną w pokera. Zaczynam robić się sławna.

- I wygrałaś?

- Koniec końców tak - stwierdziła i dumnie zamachała ogonem. - Rzekłabym, że zasłużyłam sobie na dodatkowe trzy małe jabłka.

- Kosztowały dwie korony - przypomniałem jej.

Wciąż patrzyła z wyraźnym niezadowoleniem. Sięgnąłem do torby i dorzuciłem do koryta ostatnie dwa owoce.

Wolałem nie wiedzieć, jakie informacje musiała zdradzić.

Wróciłem do swojego zajęcia. Teraz przysłała kolej na pociski z wolframowym jądrem. Były wymieszane - trzy ekspansywne i dwa przeciwpancerne. To powinno wystarczyć nawet na dwugłowego mastodonta z pancerzem kompozytowym.

- Nigdy nie używasz magii, mimo że w sakwach masz mnóstwo naprawdę silnych artefaktów - powiedziała Micuma, cały czas mi się przyglądając.

Zaskoczyła mnie. Bardzo się starałem, żeby nikt nie wiedział, co ze sobą noszę. Nie przypuszczałem, że Micuma interesuje się moim bagażem. Z pewnością jej nie doceniłem. Zwiększyłem dawki prochu do poziomu, w którym Oko otoczyło Zabójcę czerwoną ramką. Ciśnienie gazu w lufie osiągnęło konstrukcyjny limit.

- Właściwie to nawet nie wiem, czemu nie używam tych piekielnych wynalazków. Ale już w samym fakcie, że sam produkuję swoją amunicję, i w sposobie, w jaki to robię, zawiera się ekstremalnie silny typ magii. Surowej, pierwotnej - tłumaczyłem, nawet się nie zastanawiając, skąd to wszystko wiem.

- Pewnie tak. Może nawet na pewno - zgodziła się i zamilkła.

Udawała, że je jabłko, ale podejrzewałem, że przeszukuje swoje bazy danych.

- Na Martowskiego zadziało tak, jak chciałeś - przypomniała.

Z każdą kolejną dyskusją zaczynałem coraz lepiej rozumieć mimikę Micumy i potrafiłem już się zorientować, co podpowiada wyraz jej pyska. Właśnie doszła do jakiegoś wniosku i oczekiwała albo potwierdzenia, albo zaprzeczenia.

- Był bardzo silny, zaskakująco silny - odpowiedziałem. - Ale zabiłem go i przeżyłem. Odtąd moje strzały do takich potworów jak Martowski będą dużo bardziej skuteczne.

- Również dzięki temu, że zjadłeś jego serce.

To wspomnienie nie należało do najprzyjemniejszych. Wtedy moje drugie ja na moment przejęło kontrolę.

- Tak, również dzięki temu, że zjadłem jego serce - potwierdziłem.

Wyciągnąłem dwa naboje do Greysona, które wozłem już od dłuższego czasu. Wziąłem po jednym do każdej dłoni i zacząłem pomału przybliżać je do siebie. Wraz z malejącą odległością powietrze między nimi iskrzyło coraz bardziej, otoczyła je jasnoniebieska aura.

- Na twoim miejscu nie bawiłabym się w takie rzeczy - ostrzegła mnie Micuma. - W dodatku to nie ma zbyt dobrego wpływu ani na mnie, ani na ciebie.

Miała rację. Zawinałem naboje z powrotem w papier pokryty hieroglifami przypominającymi egipskie, wsadziłem do osobnych sakw i położyłem w dwóch przeciwległych kątach pokoju.

* * *

Z wielką ulgą padłem na łóżko. Nie śniłem więcej niż mumia w wieku czterech tysięcy lat. Rano, połamany i ciągle na wpół zamarznięty, po misce owsianki zalanej miodem i litrze gorącej herbaty zmusiłem się do wyjścia na zewnątrz. Nadaremnie. Nie spotkałem żadnego z wynajętych żebraków i tak straciłem pół dnia. Może po mieście rozeszły się wieści o moim starciu z Martowskim i zacząłem cieszyć się złą sławą? Postanowiłem jeszcze raz przyjrzeć się okolicom szpitala sam, tylko w towarzystwie Micumy.

Wiatr na szczęście trochę zelżał, ale roztrzęsione z zimna termometry wskazywały już temperaturę dwie kreseczki pod siedemdziesiątką, a mroźne powietrze wgryzało się w płuca z żarłocznością wygłodniałych piranii. Micuma mimo to odmówiła noszenia termomaski, a ja jakoś dawałem sobie bez niej radę. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Pomału obchodziliśmy okolice szpitala. Kryształki lodu szumiały w lekkim wietrzyku, mróz pozornie oddzielał powietrze od leniwie unoszącego się dymu i innych oparów przemysłowych. Na tle lśniących obłoków wyglądały na namalowane szarym i czarnym kolorem. Jeśli temperatura jeszcze trochę spadnie, znikną. Bez ludzi nie będzie nikogo, kto wydobywałby węgiel, ogrzewał nim i topił rudę. Bez ludzi pozostanie tu jedynie sterylna, mroźna pustynia. Może zamieszкана przez coś albo kogoś, komu ten klimat będzie bardziej odpowiadał.

Już teraz miasto wyglądało jak wyludnione. Czasami na zewnątrz pojawiali się ludzie, ale tylko przebiegali do następnego podziemnego pasażu, do kolejnych hal. Nawet patrole wokół szpitala zniknęły.

Przypomniałem sobie, że według Micumy burmistrz żądał w biuletynie od mieszkańców, by pogłębiali korytarze pod śniegiem. Policja i straż miejska rozprowadzały wśród zainteresowanych instrukcje, jak stawiać elementy konstrukcji wzmacniających i podpierać sufity lodowymi słupami. Władze miasta podobno obiecały ulgi podatkowe za budowanie podziemnych lub chociaż podśniegowych pomieszczeń. Szansa dla Waarda i spółki. Z chęcią bym teraz zapytał o kilka rzeczy, ale w takich temperaturach Micuma nie była w stanie mówić.

Trąba powietrzna utworzyła z lodowych kryształków sylwetkę nieistniejącego potwora. Przybliżył się do nas przypadkowymi ruchami. Kroczył na mackach, machał nimi, chwilami miał jedną, chwilami więcej głów. Przemieniał się i ruszał zgodnie z rytmem, z jakim pulsowała mroźna atmosfera. Na moim czole pojawiły się krople potu i natychmiast zamarzły, mięśnie wokół kręgosłupa napięły się w jak najgorszym przecuciu, Oko w szoku odłączyło się. To było zjawisko przyrodnicze, wirujące kryształki, nic więcej, przekonywałem sam siebie. Wyłącznie moja wyobraźnia. Micuma bez mojego polecenia uskoczyła, unikając zetknięcia z dziwnie ukształtowaną chmurą lodu. Odruchowo sięgnąłem pod płaszcz, wyjąłem Nóż i ciąłem. To już nie był Nóż, ale dwumetrowy, mieniący się niebiesko-białym blaskiem miecz, który roztaczał wokół siebie zapach ozonu. Oślepiający brzeszczot przeszedł przez chmurę lodu z nieoczekiwanym oporem. Ogłuszył mnie huk, jakbym właśnie rozbił na kawałki granitową skałę. Stwór zatrzymał się, zachwiał; zamachnąłem się po raz kolejny, ale obłok lodu rozsypał się bezgłośnie i znowu było słyhać tylko szum mroźnego wiatru i szelest wirujących płatków.

Byłem wstrząśnięty, choć nie wiedziałem dokładnie dlaczego. Z pewnością spotkałem się z fantomem, wytworem nadmiaru magii, inteligentnym jak powódź

albo huragan i tak samo niebezpiecznym. To przelotne spotkanie uświadomiło mi istnienie we mnie dużych pokładów strachu, o których nie miałem nawet pojęcia. Najgorsze, najdziwniejsze było to, że nie do końca wiedziałem, czego się tak naprawdę bałem. Micuma trochę zwolniła, tak jakby sama też mocno przeżyła to spotkanie. Bardziej z przekory niż z przekonania, że znajdziemy coś ciekawego, oznajmiłem jej, że dokończymy nasz obchód wokół szpitala. Nie lubię uciekać.

Przestrzeń koło tylnego traktu kompleksu szpitalnego została, co mnie zaskoczyło, wyczyszczona - z pewnością po to, żeby można było otworzyć wielką metalową bramę, co właśnie miało miejsce. Z wnętrza budynku wyjechały trzy śnieżne skutery towarowe. Czarne, z małym, eleganckim emblematem „Ostrawskiego Stalownika”.

- Miło z ich strony, że dostarczają pacjentom prasę w takich ilościach - zauważyłem. - Przynajmniej się nie nudzą.

- „*Stalownik*” należy do *Novotnego*. - Micuma ryła w śniegu kopytem, podczas gdy ja obserwowałem rozmowę kierowców z personelem szpitala.

Oprócz kierowców w każdym aucie był jeszcze konwojent. Nas jeszcze nikt nie zauważył.

- *Novotný jest w pierwszej piątce najbogatszych ostrawian i podobnie jak Waard nie sponsoruje szpitala.* - Micuma z zacięciem ryła w śniegu.

Jej gorączkowe usiłowania tłumaczyłem determinacją, bała się, że nie nadążam za jej tokiem myślenia. Postanowiłem zrewanżować się za wcześniejsze kpiny.

- No i co z tego? Może nie lubią się z ordynatorem. - Wzruszyłem ramionami, nie spuszczając z oczu grupki mężczyzn.

Czy są uzbrojeni? Kim właściwie są? Zwyczajni pracownicy, najemnicy? Profesjonalni zabójcy? Przez głowę przetaczały mi się tysiące pytań bez odpowiedzi.

- *I dostarczają im gazety?* - Micuma wyrzyła z trzema znakami zapytania i wykrzyknikami.

- Dla pacjentów - podtrzymałem swoją opinię. - Chodź, może i dla nas znajdzie się jeden egzemplarz. Ostatnio żyję wyłącznie w świecie obrazów, nie mam czasu na czytanie - zaproponowałem i rozchyliłem nieco połą płaszcz, żeby Zabójca miał otwartą drogę na zewnątrz. Margaret odpoczywała w kaburze przy siodle tylko kawałek od mojej lewej dłoni. Jak zawsze do dyspozycji.

Rozdrażniona Micuma fuknęła, dotarło do niej, że żartowałem. Już przy jej pierwszej uwadze zrozumiałem, do czego zmierzała. *Novotný* nie sponsorował szpitala, ale właśnie przez przypadek ustaliliśmy, że coś go łączy z najlepszym

szpitalem w Ostrawie. Wszyscy się chwalili sponsoringiem, bo dzięki niemu odnosili osobiste korzyści, a on nie. Dlaczego? Co takiego ukrywał?

Wybrałem drogę nieco naokoło, by wyłonić się zza rogu i ich zaskoczyć. Zaskoczenie to podstawa przeżycia.

- Dokąd w taki mróz, dobrodzieje? - zapytałem, kiedy mnie zauważyli.

Jedna kabina była już zamknięta, do drugiego samochodu właśnie gramolili się dwaj mężczyźni, a ostatnia para kontrolowała gąsienice. Całkiem słuszna decyzja, przy minus siedemdziesięciu stopniach niezahartowana odpowiednio manganem stal często pęka.

Mróz dodał do mojego głosu ton udawanej wesołości. Może nie udawanej. Niepokój demona we mnie powodował, że bardzo się cieszyłem na nadchodzące chwile. Zeskoczyłem z Micumy, zanim jeszcze zdecydowali, co ze mną zrobią.

- Pilnuj swojego nosa - rzekł kierowca.

Konwojent starał się sięgnąć pod kozuch. Uderzyłem go grzbietem dłoni w twarz, po połowicznym salcie w tył spadł na brzuch. Jednocześnie rozległ się dźwięk otwieranych podwójnych drzwi. Odbiłem się i kopnąłem te bliżej mnie. Mężczyzna, który chciał wyjść na zewnątrz, zaskowyczał i wyleciał z kabiny na śnieg, zwinięty z bólu w kłębek. Huk, szkło ciężarówki przede mną rozsypało się, poczułem ukłucie w klatce piersiowej. Wyglądało to na szybki strzał ze śrutówki. Wyprostowałem się, dosięgłem konwojenta Kleszczami i wywlokłem go na zewnątrz razem z kawałkiem karoserii. Rzuciłem nim w betonową ścianę o wiele słabiej, niż miałem ochotę. Ześlizgnął się z niej i leżał ruchomo w śniegu. Dopiero teraz sięgnąłem po Zabójcę i pozwoliłem mu nacieszyć się światłem dziennym.

- Ja tylko zapytałem, dokąd się wybieracie w taki mróz, a wy od razu robicie się nerwowi - przemówiłem do kierowcy. Oszołomiony, nie ruszał się ze swojego miejsca. Potem wskazałem Zabójcą tego, który nie wiedział, czy ma zostać w kabinie, czy wyjść na zewnątrz. Od razu uznał, że tak właściwie nie chce mu się teraz wyłazić na mróz.

- My jesteśmy tylko szoferami, wozimy towar dla... dla... - zaczął dukać ten niezdecydowany.

- Dla?

- Dla Novotný Transport - dokończył.

- To ciekawe, naprawdę ciekawe. Zobaczmy, co takiego wieziecie.

- Nie może pan - wycharczał ten przyciśnięty drzwiami.

- Jeśli zostanie pan tam, gdzie teraz leży, zamrażnie pan w ciągu dwóch minut - ostrzegłem go. - Pański kolega, o tam, również.

Więcej argumentów nie potrzebowałem, dostałem klucze, kartę magnetyczną i kod. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to tak poważnie, ale skrzynie ładunkowe były wysokiej jakości sejfami. Otworzyłem drzwi pancerne i wszystko zrozumiałem. Były pełne pojemników z plastoszkła, a w nich w mleczno zabarwionym roztworze pływały ludzkie organy. Od serca przez płuca, wątroby, nerki aż po metry kwadratowe skóry albo całe kończyny. Do każdego pojemnika załączono tabliczkę z opisem i zatopionym w plastoszkle chipem.

Maszyna chirurgiczna, twarz chłopca przykryta maską z tkaniny.

Coś uderzyło mnie w twarz. To Micuma kopnęła sopel, który odpadł z karoserii samochodu. Uświadomiłem sobie, że celuję z Zabójcy w jednego z kierowców, a z Margaret w pozostałych dwóch, obydwa spusty już naciągnięte. Moje dłonie bywają szybsze od myśli.

Oddychałem głębiej i szybciej, niż musiałem. Dlaczego zareagowałem z taką wściekłością? Bez względu na powód Micuma miała rację - to były zaledwie płatki. Kiwała głową to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciała mi jeszcze coś powiedzieć. Pomału i niechętnie schowałem broń, niezadowolone z takiego obrotu spraw Kleszcze, uwięzione w rękawicy, zgrzytnęły.

W końcu zorientowałem się, o co chodziło Micumie.

Wyrwałem jedno siedzenie i obydwoje weszliśmy do kabiny jednej z ciężarówek. Pojazdy miały o wiele bardziej skomplikowaną budowę, niż się na pierwszy rzut oka mogło zdawać.

- A zatem, zgodnie ze zleceniem... - poleciłem szoferowi.

Spojrzał na nas bojaźliwie. O dziwo, bardziej niż ja i mój arsenał niepokoiła go Micuma. Pewnie nie lubił koni.

- Nie jestem w nastroju na długie debaty - rzuciłem ostro.

Ładunek za plecami drażnił mnie. Przypominał mi Kleszcze, Oko, moje odziedziczone wspomnienia. Drażnił, rozpałał we mnie nienawiść. Na razie niejasną, nieokreśloną, ale ciągle przybierającą na sile.

- Albo wciskasz gaz, albo mówisz, że nigdzie nie jedziesz. W takim przypadku strzelam ci w brzuch, wywalam na mróz i próbuję szczęścia z którymś z twoich kolegów, którzy jadą za nami.

Zrobiłbym to, wiedział o tym. Ogrzewanie w końcu poradziło sobie ze szronem, który rozkwitnął na szybie natychmiast po naszym wejściu do kabiny. Silnik zaterkotał na wyższych obrotach, pomału ruszyliśmy z miejsca.

- Nie ma połączenia z centralą - powiadomił mnie trochę nerwowo kierowca.
- Na zewnątrz jest minus sześćdziesiąt, wiele urządzeń nie działa - zbyłem go.

Wiedziałem jednak, że prawdziwy powód jest inny. Micuma przejęła wszystkie pasma i bardzo się nad czymś skupiła.

- Maksymilian Novotný, oficjalnie pięćdziesiąt sześć lat. Z największym prawdopodobieństwem jednak sto czterdzieści sześć - przemówiła, kiedy wskaźnik na termometrze w kabinie przekroczył zero stopni.

Kierowca drgnął i gdybym nie przytrzymał kierownicy, wjechalibyśmy w na wpół rozlatującą się kamienicę ze ścianami z płyt.

- Ona mówi! - wydusił resztką sił i zrobił podwójny znak krzyża.

To chyba oczywiste?

- Skąd to wiesz? - zapytałem Micumę.

- Według ogólnodostępnych danych jest jedynym synem Maksymiliana Novotnego seniora. Ale według Franceski... to sztuczna inteligencja, która zapewnia funkcjonowanie jego imperium - dodała Micuma, zanim zdążyłem zadać pytanie - po śmierci seniora nie zostały zmienione żadne ustawienia zamków otwieranych odciskiem dłoni albo palca. Po prostu Maksymilian młodszy jest klonem albo samym seniorem Novotnym.

Budynków było coraz mniej. Oddalaliśmy się od miasta, którego jeszcze nie zdążyłem poznać. Do tej pory poruszałem się w zasadzie tylko po ścisłym centrum.

- Skoro handluje organami do transplantacji, załatwienie sobie wiecznej młodości nie stanowiłoby dla niego problemu - zauważyłem. - Kiedy przerwał współpracę ze szpitalem akademickim?

Powód był oczywisty - chciał uniknąć oskarżeń o nielegalne czerpanie zysku z handlu narządami.

- Dobry pomysł. Ludzie, choćby nie wiem jak byli ograniczeni, zawsze mnie czymś zaskoczą - powiedziała Micuma i milczała przez dalsze pół kilometra. Przybywało zasp. Im mocniej kierowca musiał koncentrować się na drodze, tym bardziej się uspokajał.

- Sto dziesięć lat temu. Był ordynatorem chirurgii - odpowiedziała w końcu. - Wtedy szpital należał jeszcze do Raymonda Curtisa. Kilka miesięcy po odejściu

Novotnego został sprzedany. Dane są niepełne, ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby większość wymazać - informowała mnie z wahaniem.

Zatem szpital należał do mnie. I to ja go sprzedałem. Wcześniej zatrudniałem Novotnego, który żył już prawie półtora stulecia i zarabiał między innymi na handlu ludzkimi organami.

- Wydaje mi się, że już wiem, dlaczego badali ubogich za darmo - odezwałem się cicho. - I dlaczego nie spotkałem potem na ulicy żadnego ze swoich informatorów. Nie rozumiem tylko, jak udało im się utrzymać to wszystko tak długo w tajemnicy. Ale jak to się ma do R. C, Raymonda Curtisa, zbawcy ludzi spod Sewastopola? - zastanawiałem się dalej na głos. A jak to się ma do mnie? Okrutnika z lukami w pamięci i demonem zamkniętym w głowie?

- Jesteśmy na miejscu - wyrwał mnie z zadumy kierowca.

Staliśmy przed wysokim na trzy metry murem zwieńczonym drutem kolczastym. Brama z szarej stali otwierała się cicho.

- Jaka jest standardowa procedura? - zapytałem spokojnie. - Jeśli chce pan przeżyć, radzę jej przestrzegać.

- Jadę prosto do magazynu, a tam zaczyna się wyładunek.

- Ilu będzie przy tym ludzi?

Jechaliśmy przez plac, oczyszczony ze śniegu i lodu, w stronę gigantycznej hali towarowej. W wielkiej bramie otwierała się mniejsza furta, dokładnie taka, żeby zmieścił się w niej samochód dostawczy.

- Czteroosobowa ekipa do każdego auta, poza tym czteroosobowy oddział ochrony.

- To nie za dużo - oceniłem.

- Są bardzo sprawni - powiedział kierowca po krótkim zastanowieniu.

Już wjeżdżaliśmy do środka. Po obu stronach stało dwóch mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych. Jeden trzymał seryjny karabin, drugi automat, obydwaj mieli przy boku szable. Dwie szable. Oko zmieniło tryb i pokazało ich w jakimś dziwnym niebieskim trybie - upiory. To mógł być problem. Cztery upiory. Dużo, nawet dla mnie. Oczywiście wszystko zależało od tego, jak bardzo są sprawni, do jakiej przynależą kasty, ile mają lat. W każdym razie stanowili dużo poważniejszą przeszkodę, niż zakładałem. Zmieniłem też nieco zdanie o Maksymilianie Novotnym. Nigdy nie spotkałem człowieka, który by zatrudniał upiory, tylko o nich słyszałem.

Micuma rozsądnie przesunęła się na tył szoferki w stronę skrzyni ładunkowej. Miała w ten sposób dość dobrze osłonięte plecy.

- Teraz powinienem wysiąść i powiedzieć, że wszystko jest w porządku - odezwał się kierowca i wyłączył silnik.

Po kojącym odgłosie jego pracy cisza stworzyła napiętą i pełną niepokoju atmosferę.

- Więc zrób tak. I staraj się stanąć jak najdalej od nich, pomału - poradziłem mu.

Nie musiał niepotrzebnie ginąć. A im więcej martwych, tym więcej krwi - łatwo się poślizgnąć, potem źle się szuka magazynków. Otworzył drzwi, jednocześnie do kabiny wniknęła upiorna aura w czystej postaci. Ta czwórka była dobra, bardzo dobra, nie starali się nawet tego ukrywać.

Nie musiał niepotrzebnie ginąć razem ze mną, poprawiłem nieco swoją ostatnią myśl. Lecz skoro już wszedłem na tę drogę, nie pozostawało mi nic innego, jak kroczyć nią do końca...

Strażnicy po mojej prawej stronie obserwowali wjeżdżające za nami samochody.

Otworzyłem drzwi i wyskoczyłem na zewnątrz, kabina kryła mnie przed strażnikami po lewej. W jednej ręce Margaret, w drugiej Zabójca, Greyson na siedzeniu za mną. Może nie będzie im się chciało walczyć za człowieka. Może.

- Jestem Raymond Curtis, niektórzy znają mnie jako R. C. - przedstawiłem się. - Osobiście nic do was nie mam. Muszę tylko porozmawiać z seniorem, z panem Maksem.

Niemal leniwie okrążyli mnie, widziałem ich spokojne, badawcze spojrzenia, żaden nie sięgnął po broń. Napięcie się potęgowało, uświadomiłem sobie, że nie komunikują się między sobą w ludzki ani nawet możliwy do uchwycenia przez moje zmysły sposób. Nie zaniepokoiłem ich ani w najmniejszym nawet stopniu nie byłem w stanie przewidzieć, jak zareagują. Dwa granitowe bloki, wszystkie myśli i uczucia skryte głęboko w środku, niedostępne. Czekałem na sygnał, że upiory za moimi plecami się poruszą - mój sygnał do ataku.

Ludzka część załogi dopiero teraz spostrzegła, że coś jest nie tak.

- To chyba przed panem nas ostrzegano. Podaje się pan za Raymonda Curtisa - powiedział jeden z nich.

Ciągle trzymał broń lufą do ziemi, palec wskazujący daleko od spustu. Czyżby aż tak mnie nie doceniali?

- Proszono nas, żebyśmy z panem współpracowali. Ponieważ nie był to rozkaz, lecz uprzejma prośba kogoś, kogo bardzo szanujemy, nie będziemy robili panu żadnych problemów.

Nic nie rozumiałem. Nic nowego, odkąd znalazłem się w Ostrawie.

- A kto was o to prosił?

- Lady Serena.

Wbrew woli skłoniłem lufę w stronę ziemi. Moja upiorna kochanka i prawdopodobnie niegdyś towarzyska broni mnie odnalazła. Znalazłem się w środku mglistego, niewyraźnego wspomnienia, musiało pochodzić od tego drugiego mnie. Starłem się go zbytnio nie analizować, było zbyt kuszące.

Serena.

- Chciałbym rozmawiać z Maksymilianem Novotnym - rzekłem, kiedy już się opamiętałem.

- Zaprowadzimy pana do niego, żaden problem. A wy - odwrócił się do ludzi - wracać do pracy.

W jego głosie brzmiała typowa pryncypialność, której upiory używały zazwyczaj w stosunku do ludzi.

* * *

Maksymilian Novotný był zaskoczony, kiedy mnie do niego przyprowadzili. Upiory nie odpowiedziały na żadne z jego wściekłych pytań i nerwowych rozkazów, odeszły bez słowa. Był porządnie przestraszony. Starał się to zamaskować udawaną obojętnością. Lata doświadczenia sprawiły, że szło mu całkiem nieźle. Mnie jednak nie oszukał, czułem jego strach, tak jak drapieżniki czują krew.

Usiadłem naprzeciwko Novotnego w wygodnym fotelu, w gabinecie tak luksusowym, jak wynędziała była Ostrawa, i obserwowałem go w milczeniu.

Za siedzibę wybrał sobie twierdzę wyposażoną we wszelkie możliwe udogodnienia. Pancierz żelbetonu i otworów strzelniczych chroniący raj jednego człowieka. Ciekawe, kiedy ostatni raz spotkał się z brutalną rzeczywistością na zewnątrz? Pewnie już dawno temu.

Milczenie się przedłużało, cisza i niepewność osaczały go z każdą chwilą coraz bardziej.

Miał młode ciało, wisiało na nim jednak niczym za duże spodnie albo jak smoking na kimś, kto całe życie chodził w roboczym kombinezonie. Ani technologia, ani magia

nic nie poradzą na starzenie się ludzkiego mózgu. Właśnie starzenie się - świadomość własnego nieodwracalnego końca - nadaje tę nieocenioną wartość życiowym doświadczeniom i odróżnia ludzi od bogów, demonów, deksów, upiorów, duchów i wszystkich innych inteligentnych bytów.

A Maksymilian Novotný wiercił się, sapał, nawet mrużył oczy jak bardzo stary człowiek. Bardzo stary, bardzo wystraszony. I bardzo tchórzliwy. Tak długie miganie się od śmierci z każdego zrobiłoby tchórze. Ale skąd u mnie ta pewność? Sam byłem tylko w połowie człowiekiem. O ile w ogóle.

- Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce?

Strach sączył się z niego, wytryskiwał pod ciśnieniem, treściwy i wszechogarniający. Był tak intensywny, że w pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy Novotný aby na pewno boi się mnie. Czy mogło być coś straszniejszego?

- Pańscy ludzie zabrali ze szpitala poważną ilość ludzkiego mięsa. Wystarczająco dużo, żeby z jednego człowieka uczynić bogacza. A pan jest bogaty - zacząłem pomału.

Przytaknął, jakby to rozumiało się samo przez się.

- Tak, handluję ludzkimi organami do przeszczepu. Już od wielu lat - nawet nie próbował zaprzeczać.

Obserwował mnie, starał się zaszeregować, bezradnie przeszukiwał swoją pamięć, niczego nie znajdując. W jego oczach ziała straceńcza pustka.

- Od jak wielu? Rzekłbym, że od dawna.

- Ma pan rację. Od niemal trzydziestu lat - próbował mnie okłamać.

Nachyliłem się w jego stronę nad blatem stołu, Oko natychmiast pokazało miejsca, w które mógłbym zadać maksymalnie uciążliwy ból z minimalnym ryzykiem poważnego uszkodzenia organizmu. Palce Ręki, skrępowane rękawicą, wbiły się w dębowy stół, niszcząc ozdobny wzór.

Novotný zbladł i kilka razy szybko przełknął ślinę.

- Nie, to będzie już ponad sto lat - poprawił się. - Pracowałem w szpitalu akademickim, kiedy jego właścicielem był Curtis.

Zatrzęsło mną odrobinę. Wyczuł, że coś mi nie odpowiada w tym, co powiedział.

- Nie chodzi mi o TEGO Curtisa - zaczął szybko wyjaśniać - ale o jego ojca, Karla. Później został multimilionerem z ogromnymi wpływami, ale w tamtych czasach dopiero zaczynał i handlował na boku organami. W zasadzie to nie było nielegalne...

Unikaliśmy tylko nadzoru miasta i płacenia podatków. Stopniowo rozwijaliśmy działalność. Więcej materiału, więcej klientów, usługi na zamówienie...

- A to już było nielegalne - strzeliłem.

Wiekowy młodzieniec nie zaprzeczył, zanurzył się we wspomnieniach i ciągnął ze wzrokiem wbitym gdzieś w dal, gdzie tylko on mógł coś dostrzec. Przyznawał się teraz do zbrodni, które karano śmiercią, a jednak się nie bał.

- Interes się kręcił, apetyt rósł w miarę jedzenia. Curtis chciał więcej, szpital stopniowo stawał się dla niego źródłem pozyskiwania surowców do procederu. Ale także czymś innym...

Twarz młodego starca wykrzywił grymas. Moje drugie ja podskoczyło z radości. Zacisnąłem zęby i zmusiłem je, żeby wróciło tam, gdzie jego miejsce, w mroczne katakumby nieświadomości.

- Zostałem dyrektorem szpitala, byłem zadowolony.

- Potem jednak pan przestał. Dlaczego?

- To przez młodego Curtisa, TEGO Curtisa - odpowiedział ponuro Novotný, a w jego głosie znowu pojawił się strach. - Kiedy Karl umarł, Raymond odziedziczył wszystko i szybko zorientował się, jak ten cały interes się kręci. - Zniesmaczony pokręcił głową. - Już wcześniej mówiłem Karlowi, że jego syn jest dziwny, że nie potrafi zaakceptować prawdziwego oblicza tego świata. Był otumaniony jakimiś bezsensownymi ideałami, mówił o ludzkości, o człowieczeństwie. Ale kiedy przyszło co do czego, potrafił być równie bezlitosny jak Karl. Wyrzucił ludzi na bruk, kilka osób zniknęło bez śladu... a potem podarował szpital miastu.

- W akcie darowizny jest klauzula stanowiąca, że części pacjentów świadczenia należą się za darmo - przypominałem.

- To on tam dodał. Altruista.

Zabrzmiało to jak inwektywa.

Oko zaczęło nagle chaotycznie zmieniać ostrość i pokazywać wyposażenie gabinetu - rzeźbione meble, nawoskowane parkiety, ściany zdobione mozaikami z kamieni półszlachetnych - całe w migotające plamy. Niektóre lekko się kołysały, miały rozmyte brzegi, inne przypominały przezroczyste ameby, kilka zaś sprawiało wrażenie, jakby chciało mi coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie rozszyfrować ich komunikatu. W końcu zrozumiałem. Widziałem odciski ludzkich duszy, których los był w jakiś sposób związany z życiem człowieka siedzącego przede mną. Jedna z plam, ciemna i brudna, niepokoiła mnie.

Potem psioniczny tryb obrazowania się wyłączył, Oko uspokoiło się i spojrzałem prosto w ciemny wylot lufy. Maksymilian Novotný celował we mnie z kanciastego pistoletu.

W oczach miał tryumf człowieka, który zwyciężył już tyle razy, że nie potrafi się tym nawet cieszyć.

- Kiedy Raymond przejmował interes, nie byłem już oficjalnie dyrektorem, tylko szarą eminencją. Dlatego udało mi się ukryć tak, żeby się o mnie w ogóle nie dowiedział. Musiałem zabić kilku ludzi, ale opłaciło się. Miałem dość pieniędzy, prywatny szpital i zapas organów, by wystarczyć na dwa życia.

Jego głos przestał być monotony. Novotný wyglądał na zadowolonego i już nie przypominał mumii po gruntownej renowacji. Celował prosto w Oko, widziałem pierwsze rowki gwintowanej lufy. W bezruchu, w jakim trzymał broń, było coś nieludzkiego. Nie wymienił całego ciała na nowszy model, wprowadził jedynie trochę poprawek.

- Ale tych pieniędzy nie było dość, tak samo jak części zamiennych - powiedziałem spokojnie. - Dlaczego miałby pan zajmować się handlem?

Drogę impulsów nerwowych biegnących do drobnych mięśni palca na spuście widziałem jako gruby rząd czerwonych kropek - i to nie tylko płynących z mózgu, ale również z kręgosłupa. Ręka z pistoletem podlegała pod inne centrum dowodzenia, Novotný miał całkowicie przebudowany system nerwowy. Może dlatego był taki pewny siebie.

- Nie, nie było - potwierdził. - I pewnie brakowałyby mi poczucia władzy. Być inżynierem medycznym, który buduje nowe i burzy stare... to upaja. Czasami sam sobie wydawałem się bogiem - głos przybrał ton wagnerowskiej monumentalności, jego wiek przestał być widoczny, przysłoniła go pycha satrapy.

Aż mną zatrzęsło. Przez chwilę widziałem wirującą gilotynę wrzynającą się w gołe ramię, przygotowane stalowe szczypce z innymi narzędziami, a potem usłyszałem surowy głos: „Bez znieczulenia, musimy przeciąć jak najczyściej”.

Ten ból, nigdy niekończący się ból. Jęk piły oscylacyjnej, dźwięk ekshaustorów i syczenie sprzętu kauteryzacyjnego. Coś musiało się odbić w moich oczach, ponieważ Novotný się zaśmiał.

- Pan również jest interesującym przypadkiem. Ktoś nieźle się panem zabawił i uzyskał całkiem ciekawy efekt. Ja to od razu poznam. Sam też bardzo lubię eksperymentować.

Pochylił się w moją stronę. Jego ciało modyfikowano raz, dwa, dziesięć razy, a jednak miałem wrażenie, że znam jego zapach, fluidy ego.

Pępowina, plastikowy worek, odgłos zamykanej klapy kontenera.

Ręka z pistoletem pozostawała nieruchoma.

- Pierwotna blizna - analizował moją głowę - jest podobna do tych, jakie robiliśmy na początku. Ze względu na zbyt duże sondy konserwacyjne. Spokojnie mógłby pan być tworem któregoś z moich podwładnych. Ja sam pana nie stworzyłem, coś takiego raczej bym pamiętał.

Rzeczywistość przeplatała się z koszmarnymi wspomnieniami, ten drugi napinał się, jakby za wszelką cenę chciał się wyrwać z oków. Nie wiedziałem, czy mam się go bać, czy wypuścić na wolność. Czulem jego dziką, nieprzewyciężoną żądzę krwi i wiedziałem, że jeśli tama pęknie, utonę.

- Można sprawdzić, czym pan jest. Mam genetyczne identyfikatory wszystkich modeli - zaśmiał się Novotny.

Widział, jak rozlatuje się przed nim na części. Sądził, że to przez jego pistolet.

Z każdą chwilą było coraz gorzej. Oko odmówiło mi posłuszeństwa, a wraz z nim cały ośrodek wzroku i całkowicie oślepiłem. Pałace uczucie bólu pomogło mi wprawdzie trochę, po chwili znowu widziałem, chociaż tylko w czerni i bieli, jak przez wąski tunel. Znowu nie mogłem się ruszyć. Novotny ciął mnie skalpelem - nie dało się ukryć, że kiedyś był lekarzem. Włożył narzędzie do szczeliny w stole, w odbiciu znajdującego się za nim baru widziałem zmieniające się, na pozór chaotycznie, cyfry na ekranie monitora. Świat odzyskał kolory - to ten drugi wydostał się na zewnątrz.

Oko przeszło na zbliżenie, skala jego funkcji zwielokrotniła się i nagle mogłem z nich w pełni korzystać. Kleszcze, przez większość czasu mocujące się z rękawicą, zamknęły się i uformowały kończynę przypominającą na pierwszy rzut oka zwykłe ramię. W rzeczywistości miały siłę nacisku wystarczającą do spawania żelaza.

Na ekranie wirowały cyfry, Maksymilian Novotny studiował je z zaciekawieniem, pistolet ciągle mierzył w moje Oko. Widziałem już nawet czubek pocisku w komorze, przeniknąłem wzrokiem do jego wnętrza, do ołowianej kulki ze stalowym jądrem, w którym skrywał się opilek ludzkiej kości niosący w sobie śmiertelne zaklęcie.

Cyfry wirowały. Maksymilian Novotny czekał.

Moje wspomnienia zaczynały się w korytarzach ponurego podziemnego instytutu. Od wczesnego dzieciństwa miałem tylko jedno oko. Dopiero później zorientowałem się dlaczego - drugie podczas jednego ze swych eksperymentów wyciął mi Novotny.

Potem stopniowo usuwał mi następne organy, a w ich miejsce wkładał inne, jakbym był zwyczajnym składakiem.

Znałem ból, karmiące automaty i cierpiących ludzi, którzy bardzo szybko odchodzili, w zależności od popytu na poszczególne organy. I personel. Nienawidziłem ich, nienawidziłem wszystkiego, co żywe, całego świata. Miałem nadzieję, wierzyłem, że pewnego dnia się zemszczę. Wiara jednak nie wystarczała, dlatego robiłem, co w mojej mocy, żeby zrealizować marzenia.

Nauczyłem się programować lekarskie roboty, otwierać zamki siłą woli, nie pokazywać po sobie, jak bardzo się boję. Nienawiść dawała mi siłę, stała się podporą, na której obudowywałem swoje ja. Filarem wznoszącym się nieskończenie wysoko. Pewnego dnia wszystko się wypełniło. Mogłem zaczynać.

Przeprogramowałem automaty, zmyliłem patrole ochrony, zwyczajne i złożone z czarodziejów, a potem dopuściłem się masowego zabójstwa - jako pierwszego zabiłem swojego głównego oprawcę, potem przyszła kolej na resztę personelu. Później uciekłem. Z jednym okiem, z jedną ręką, z pokiereszowanymi i ledwo funkcjonującymi wnętrznościami. Tylko że dla mnie nie było nic niemożliwego, nienawiść dała mi siłę, a ja stałem się... ten drugi stał się... ja się stałem...

Wspomnienia tego drugiego, ciągle tylko w połowie zrozumiałe, jawiły mi się jako pozornie niekończąca się taśma, były pełne cierpienia, zabijania i zagłady. Wszystko to kochałem... on kochał i szerzył, żeby... żeby ja bardziej skrzywdził tych, których on nienawidził... nienawidziłem - wszystkich ludzi.

Bez wyjątku.

Zielone znaki zatrzymały się, Maksymilian Novotný spojrział na mnie z pełnym niedowierzania podziwem w oczach.

- To pan jest Curtis - wydusił ze zgrozą.

Wykorzystałem to, żeby wyrwać się z koszmarów rozgrywających się w moim umyśle.

Może uda mi się je przemóc, może uda mi się zapędzić tego drugiego z powrotem do podziemi i zamknąć wszystkie zamki. Byłem przecież bohaterem, człowiekiem, który ocalił ludzkość.

- Wiem - przytaknąłem. - R. C, Raymond Curtis, syn Karla Curtisa.

Maksymilian milczał i tylko pokręcił głową, jakby nie chciał pogodzić się z rzeczywistością. W szybie za jego plecami udało mi się przeczytać odbite litery tworzące znane mi nazwisko: Curtis.

- Nie, pan nie jest Raymondem Curtisem. Pan jest tym drugim, jego bratem, na którego mówiłem Kain.

Odwrócił ekran w moją stronę i mogłem przeczytać całe imię i nazwisko - Kain Curtis.

W mojej głowie nigdy nie było dwóch istot. To byłem ja odcięty od swoich wspomnień.

Prąd impulsów nerwowych zgęstniał, palec Novotnego poruszył się. Ciąłem kleszczami i grzbietem dłoni utraciłem lufę z kawałkiem pistoletu. Dostało się też palcowi wskazującemu na spuście. Pozostałe ciągle ścisnęły bezużyteczną już rękojeść.

- A teraz zginę pomału i w męczarniach - rzekł, a głos drżał mu ze zgrozy.

Na to nie potrafiłem odpowiedzieć. Robiłem to tak często, żadna nowość.

- Mów, jak to wszystko dokładnie było, a puszcę cię wolno - obiecałem.

Kłamałem jeszcze częściej.

On jednak chciał mi wierzyć, to była jego jedyna nadzieja i uczeplił się jej, kierowany determinacją i strachem.

- Karl miał już wtedy wielu nieprzyjaciół i nie chciał, żeby Katarzynie, jego żonie, cokolwiek zagrażało podczas porodu. Balansował na granicy paranoi - zaczął pomału Novotny.

Widziałem, jak bardzo stara się przypomnieć sobie każdy detal, jakby moje zadowolenie mogło mu ocalić życie.

Słuchałem i zastanawiałem się, w jaki wyjątkowo wymyślny i sprawiający najwięcej cierpienia sposób go uśmiercić.

- Dlatego rodziła u nas w szpitalu i ja, chirurg, musiałem być przy tym, żeby wszystkiego dopilnować i doglądać. Miało się urodzić jedno dziecko, ale na świat przysłała dwójka, dwóch chłopców. Pierwszy większy i z wyglądu zdrowy, drugi mniejszy, z oczami w dwóch różnych kolorach. Był dziwny. Nie płakał, tylko rozglądał się w sposób nieznanym niemowlętom. Nie mogą tak patrzeć, jeszcze tego nie umieją.

Słuchałem go i wiedziałem, że mówi prawdę. Znowu wyobrażałem sobie salę porodową, ludzi wokół, czułem to, co oni czuli.

- Poród był ciężki. Pod koniec Katarzyna już prawie traciła przytomność i nawet się nie zorientowała, że urodziła dwóch chłopców. Karl obejrzał ich i rozkazał, żebym zabił to dziwne chucherko.

Znowu poczułem grubszą od palca, wilgotną i ciepłą pępowinę wokół szyi.

- To ty miałaś mnie zabić?

Novotný tylko skinął. Nie odważył się kłamać.

- Wrzuciłem noworodka do kontenera, ale później wróciłem po niego.

- Chciałeś coś na nim wypróbować? Przytaknął.

- Był... byłeś dziwny. Specyficzny metabolizm, zdolności. Kiedy wyciąłem ci oko, stwierdziłem, że było w pełni sprawne, a z mózgiem łączył je nerw wzrokowy, jakiego nigdy przedtem nie widziałem.

Coś z tego, co do niego czułem, musiało się odbić na mojej twarzy, bo na chwilę zamilkł.

- Twój ojciec skazał cię na śmierć - dodał jakby na usprawiedliwienie. - Kiedy dowiedziałem się, że Raymond, choć z pozoru normalny, też ma specyficzne zdolności i czasami zachowuje się dziwnie, zacząłem cię analizować jeszcze dogłębniej. Do czasu, kiedy zabiłeś mojego najlepszego chirurga i uciekłeś.

Maksymilian Novotný wiedział, kim jestem, ale nie wiedział, co stało się ze mną później. Żaden człowiek nie mógłby tego przewidzieć. Tylko ja, Kuan Jin, Kali, moja wieloletnia przyjaciółka i upiorna towarzyszka w miłosno-zabójczych igraszkach Serena i cały szereg innych bogów, monstrów, demonów i innych nie ludzi.

Nagle poczułem się zmęczony, każdy atom mojego ciała ważył tonę. Zbyt zmęczony, żeby delectować się torturami.

Uniosłem Zabójcę i oparłem go o czoło Maksymiliana Novotnego. Mężczyzna zamknął oczy i czekał na egzekucję.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale w końcu zostawiłem go tam żywego. Może na wypadek gdybym kiedyś potrzebował o coś zapytać. Zawsze mogłem wrócić w lepszej formie.

* * *

Micumę zostawiłem w stajni. Błąkałem się po opuszczonych, zawianych śniegiem ulicach Ostrawy. Temperatura spadła do jakichś minus osiemdziesięciu, w powietrzu formowały się płatki suchego lodu. Najwięcej pojawiało się ich w pobliżu słupów dymu, zdradzających, że gdzieś pod ziemią ciągle żyją ludzie. Nie było mi zimno, bywało gorzej.

Podświadomie wybierałem te najbardziej wąskie i głuche uliczki z nadzieją, że kogoś spotkam, żeby... żeby... Woląłem nie kończyć tej myśli. Miasto było ciche, zamarznięte na kość, jak istota, którą od śmierci dzieli zaledwie krok, ostatnia minuta snu w śnieżnej zawiei. Na każdym rozdrożu, które mijałem, pociągałem z litrowej

butelki miejscową przepalankę nazywaną śliwownicą. Zawartość na wpół zamarzała, w stanie ciekłym został czysty spirytus.

Ten drugi... nie, ja, przecież żaden drugi nigdy nie istniał... byłem niespokojny. Przeszedłem przez tory wiodące znikąd donikąd. Kiedyś mogło przejeżdżać tędy mnóstwo pociągów jednocześnie, teraz został tylko jeden tor, powykręcany i pogięty przez mróz. Przypominał nieskończenie długiego węża w ostatniej fazie agonii.

Szedłem wzdłuż martwego stalowego potwora w stronę świateł, z butelki ubywało płynu, aż w końcu został sam lód. Cała sytuacja zaczynała mnie bawić. W rzeczywistości byłem kimś zupełnie innym, niż do tej pory sądziłem. Kimś zupełnie innym, w stuprocentowym znaczeniu słowa „inny”. Rewers bohatera bitwy o Sewastopol, jego przeciwieństwo, przeciwnik. Już rozumiałem swoje mroczne żądze, pamiętałem, co dokładnie miałem wspólnego z Sereną, spoglądałem na przeszłość z lotu ptaka unoszącego się nad nieznaną pustynią.

Tylko ciągle nie wiedziałem jednej rzeczy - jak straciłem pamięć.

Pociągnąłem ostatni łyk i w butelce został sam lód. Zatrzymałem się, sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem ilustrację. W szarym, rozproszonym świetle odbijającego się od pokrywy śniegu przywódca ludzi wydawał się rozmazany, nieostry, jakby go tam w ogóle nie było. Za to strona atakująca wynurzała się z ciemności z niepokojącą plastycznością. Już go widziałem, demoniczną postać na czele hordy nacierającej na miasto, przywódcę bogów, upiorów, monstrów i innych nie ludzi. Potwora obdarzonego nieskończoną wolą i jeszcze większą nienawiścią. To byłem ja w pełnej okazałości - R. C. - jak na mnie wtedy mówili. Właśnie tak zwrócił się do mnie czarodziej w Drewnianej Szczelinie, zanim umarł. R. C. - Rewers Curtisa, tak brzmiało rozwinięcie inicjałów, którymi zwracali się do mnie żołnierze mojej armii. Wiedziałem, że jeśli będę patrzył odpowiednio długo, znajdę wszystkich, których kiedyś znałem, a z niektórymi z nich nawet porozmawiam. Ale nie zależało mi na tym. Ciągle nie miałem dość siły, by zapytać niegdysiejszych sojuszników, jak to się stało, że straciłem pamięć; jak to się stało, że błądziłem tysiące kilometrów od Sewastopola.

Zszedłem z torowiska i dotarłem do źle utrzymanego placyku przed wielką halą. W powietrzu czułem popiół, z perforowanego komina od czasu do czasu wylaniał się płomień.

- Nie ma pan czegoś do picia?

Odwróciłem się i zobaczyłem chłopinę w koszuli z krótkim rękawem, z kiczowatym wzorem pstrych kwiatów. Wizerunku plażowicza dopełniały spodenki z

nogawkami o długości trzy czwarte i mokasyny ze skóry krokodyla. W kąciku ust trzymał niezapalone cygaro; chociaż wiał wiatr, na głowie obcego nie drgnął nawet jeden włos. Ślady w śniegu zaczynały się trzy kroki od miejsca, w którym właśnie stał.

- Już nie - odpowiedziałem i podałem mu butelkę, w której grzechotał lód.

Może znalazłby w niej ostatni milimetr stuprocentowego alkoholu etylowego.

Przyjął ją z wdzięcznością, odchylił głowę i elegancko wsunął szyjkę butelki w usta. Jabłko Adama trzęsło mu się, gdy przelykał.

- Nie najgorsze - wymamrotał, kiedy skończył i porządnie chuchnął. - Jedyna w swoim rodzaju mieszanka esencji. A te produkty uboczne fermentacji alkoholu! Naprawdę rzadkie kwasy eteryczne. - Kiwał głową niczym znawca. - A te niedogony!

Nie wiedziałem, o czym mówi. Zachowywał się tak samo dziwnie, jak wyglądał.

Potem uniósł butelkę i przez chwilę się jej przyglądał. Nagle zaczęło w niej ubywać lodu, na ścianach kondensowały się liczne krople wody, z ujścia szyjki unosiła się para. Po minucie oddał mi pełną. O nic nie pytałem, napiłem się. Znowu śliwowica, równie silna co kilka ostatnich łyków.

- W taką mroźną noc przydaje się coś na rozgrzewkę. - Obcy zaśmiał się przebiegle, na szyi zadzwoniły mu złote łańcuszki. - Przed podjęciem ważnej decyzji nie zawadzi łyknąć czegoś ostrzejszego.

- Mroźna, to prawda - zgodziłem się i znowu porządnie pociągnąłem z butelki.

Nie miałem nic przeciwko jego metodzie.

- Aż zbyt mroźna - powiedział z niezadowoleniem dziwny facecik i rozejrzał się, jakby nisko zawieszony niebo pełne szarych chmur chciało mu coś powiedzieć. - Nazywam się Maxwell, panie Curtis - przedstawił się, kiedy się już napatrzył. - Mam dla pana wiadomość od takiej całkiem fajnej klaczki. W teatrze podobno występuje jutro primadonna Elizabeth Wracov, kochanka Vika Wachtmana. Grają premierowe przedstawienie na dowód, że zima nie jest aż tak straszna. Przynajmniej według rady miejskiej - zachichotał. - Dzięki za poczęstunek.

- Nie ma za co.

Nie usłyszał mojej odpowiedzi, ponieważ zniknął. Nie miałem pojęcia, jak to zrobił, nie czułem żadnego czaru, magii, po prostu nic.

Z pewnością nie był człowiekiem, najprawdopodobniej demonem.

Zresztą wszystko jedno. Wystarczyło przejść przez zamieciony placyk i już byłem na miejscu.

Zatrzymałem się przed bramą obitą warstwami polistyrenu, drewna i innych stylowych materiałów, które można było znaleźć na śmietnikach. Nikt nie bawił się w zamieszczanie szyldu. Każdy zainteresowany dobrze wiedział, gdzie mieści się burdel zwany jatkami. Przyproceedziła mnie tu podświadomość.

Ktoś musiał monitorować okolicę, ponieważ ledwo wzięłem kolejny łyk, zawiasy zaskrzypiały i na zewnątrz wygramolił się zwałisty facet od stóp do głów w kożuchu z dziurą na oczy.

- Proszę do środka - wymamrotał i zniknął w szarym wnętrzu.

Znalazłem się w wielkiej, nieogrzewanej hali. Termometr wskazywał minus pięćdziesiąt pięć.

Oprócz starego fotela, z którego wylaziły pióra, stolika z karafką pełną płynu w podejrzanym kolorze i mosiężnym dzwonem nie było tam żadnego wyposażenia. Przy następnych drzwiach stał człowiek albo potężny goryl. Krótko mówiąc, nieudane dzieło czarodzieja albo lekarza, który miał za zadanie wyprodukować odpowiednio silnego ochroniarza. Może jednak nie tak znowu bardzo nieudane - ten małpiszon wyglądał na naprawdę silnego, a w jego profesji ręce sięgające poniżej kolan były niezwykle przydatne.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał facet w kożuchu i ściągnął czapkę razem z kapturem.

W kożuchu wyglądał lepiej. Ucięty nos nie dodaje urody, zwłaszcza spasionemu karłowi z potrójnym podbródkiem.

- To nie jest dom publiczny? - odpowiedziałem mu pytaniem.

- Pewnie, że tak. Tylko nietypowy, he, he, he.

Jego śmiech przypominał kwik nieumiejętnie zarzynanego prosiaka.

- Dlatego muszę wiedzieć, co lubisz. Bić dziewczyny - udał, że wymierza policzek - albo klepać po tyłku - znowu wzmocnił słowa odpowiednim gestem - wiązać, a może podoba ci się coś zupełnie innego? Albo wszystko po trochu? Skinąłem głową.

- Wszystko po trochu.

- Ale jeśli jesteś bardzo brutalny - spróbował nachylić się poufnie w moją stronę; z powodu różnicy wzrostu wyglądało to dosyć komicznie - a dziewczyna po spotkaniu z tobą pójdzie na długo w odstawkę, to będzie sporo kosztowało. I płatne z góry...

„Na długo w odstawkę” - pozwoliłem tej frazie wlecieć jednym uchem i wylecieć drugim.

- Zapłacę najwyższą przewidzianą u was cenę - odpowiedziałem obojętnie.

- Widzę, że nasza fama już się rozniosła - rozpromienił się facet.

Był obrzydliwy, całe to miejsce było obrzydliwe, od piwnicy przez nazwę aż po dach, a mimo to budziłem się z letargu.

Koniec końców, nie robiłem niczego nowego. To tylko wspomnienie starych, dobrych czasów. Ja, R. C, bliźniak Raymonda Curtisa, przywódca demonów atakujących Sewastopol, przeklęty przez ludzi do tego stopnia, że nawet wspomnienie o mnie zostało wymazane.

Zadzwonilo żelazo; rygiel, który zamykał drzwi wejściowe, pękł, jakby był z gipsu.

- Jebany mróz - zaklął burdelpapa, z dziury po odciętym nosie wytrysnął mu obślizgły glut.

Ponieważ jednocześnie pękły też zawiasy, przyczyną nie mógł być mróz. Nic jednak nie mówiłem.

Brak drzwi spowodował, że do środka dostał się powiew lodowatego wiatru, który zaatakował płuca jak silne uderzenie w splot słoneczny. Nawet rozżarzony węgiel w koksownikach natychmiast zgasł.

Do środka wszedł człowiek z twarzą ukrytą pod termomaską. Ani duży, ani mały, za to z wielostrzałową śrutówką w dłoni. Za nim kroczyła kobieta owinięta w kozuch z norek i w czapce, również z termomaską na twarzy. Ostatni był kolejny ochroniarz, raczej mniejszy, z pistoletami w obydwu dłoniach. Wokół nich widziałem aureę czaru, który rzuciła na broń Kuan Jin.

Kobieta ściągnęła maskę, dopiero po chwili ją poznałem. Delikatny makijaż, oczy, w których żarzył się ogień, jakiego wcześniej w nich nie było, dziewczęce usta lekko podkreślone szminką.

- Evelyn? Co pani tu robi? - zapytałem.

To była zupełnie inna kobieta niż ta, którą pamiętałem. Tak jakby jej stare i obecne życie dzieliły całe stulecia, przepaście wieków, tysiące kilometrów.

Człowiek stojący na straży ruszył rozkołysanym krokiem w stronę intruzów, którzy naruszyli jego terytorium.

- Wynoście się stąd albo was powystrzelam jak kaczki! - wrzasnął ucięty kinol, znowu chowając się w przepastnym kozuchu. Jedną ręką wyławiał coś z zanadza, drugą wyciągał w stronę dzwonka obok butelki z przepalanką.

- To nie będzie konieczne - powiedziałem i na potwierdzenie swoich słów wskazałem wzrokiem urzekającą lufę Zabójcy.



Kinol zamilkł i zastygł w połowie niedokończonego ruchu.

Ochroniarz nie był tak głupi, na jakiego wyglądał. Kiedy zorientował się, że celują w niego ze śrutówki, zatrzymał się i z rozwagą podrapał po ciemieniu, pewnie żeby przemyśleć, jak się z tego wyplątać.

- Pomyślałam sobie, że może potrzebuje pan pomocy. Postanowiłam pana odnaleźć - odezwała się Evelyn niepewnym głosem.

- Nigdy nie potrzebuję pomocy - odgryzłem się.

Kuan ją przysłała. Kiedy przyjdzie na to pora, rozprawię się też z bogami.

- Pewnie nie - odrzekła zrozpaczona. - A towarzystwa?

To było właściwe słowo. W jatkach mogłem znaleźć tylko dziwki najgorszego kalibru, ruiny, dusze tak wyniszczone czasem i życiem, że pomалу traciły człowieczeństwo. Ale Evelyn - ona prezentowała sobą coś zupełnie innego.

Zaśmiałem się tak, jak zdarzało mi się w przeszłości. Ci, którzy mnie wtedy znali, dobrze wiedzieli, co to oznacza. Tylko że Evelyn do nich nie należała. Już zaczynałem się cieszyć na to, co będzie, kiedy zorientuje się, jaki jestem naprawdę, kiedy uświadomi sobie, co ją czeka na końcu drogi, która zawiedzie mnie na szczyt rozkoszy.

- A tak, towarzystwa tak. Pani towarzystwo byłoby bardzo mile widziane - odparłem zgodnie z prawdą.

Wyszliśmy na zewnątrz razem, dwaj ochroniarze zaraz za nami. Niech sobie myślą, co tylko chcą. Na swoje szczęście nie powiedzieli ani słowa. Przez tę chwilę, którą spędziłem w środku, temperatura zdążyła spaść jeszcze o kilka stopni.

* * *

Dom, który kupiła Evelyn, był aż po dach zasypany śniegiem i z daleka przypominał potężne igloo. Prawdopodobnie tylko dzięki temu ciągle nadawał się do mieszkania.

- Musiałam wszystkie dzieci umieścić w dwóch pomieszczeniach, nie jesteśmy już w stanie ogrzać całego budynku - wyjaśniała mi, kiedy szliśmy korytarzami. W powietrzu unosił się zapach świeżego tynku, gipsu i cegieł. Renowację i remonty przerwano, gdy mróz uniemożliwił ich dokończenie.

- A to moje mieszkanie - powiedziała z rozpaczą w głosie i zawahała się, jakby jeszcze nie była przyzwyczajona do takiego luksusu.

Weszliśmy do środka, zamknąłem za nami drzwi. Ochroniarze zostawili nas samych zaraz po wejściu do budynku. Dobrze. Oszczędzili mi w ten sposób pracy.

Evelyn miała do dyspozycji trzy pokoje. Jeden służył za gabinet, biuro, z którego zarządzała sierocińcem, w dwóch następnych mieszkała.

Zdażyła już naznaczyć te pomieszczenia swoją osobowością. Haftowane serwetki, narzuta, waza z kompozycją suchych gałązek z owocami jarzębiny zamiast kwiatów.

No i było tu mnóstwo rzeczy, które mogłem wykorzystać również do moich celów. Improwizacje zawsze świetnie mi wychodziły.

Usiadłem. Kaloryfer był w dotyku zaledwie letni, ale po przyjściu z takiego mrozu, jaki panował na zewnątrz, nawet to wydawało się niewyobrażalnym komfortem.

- Jeśli temperatura jeszcze spadnie, wszyscy będziemy musieli się przenieść do jednego pomieszczenia i palić dodatkowo w piecach. Krawek, nasz konserwator, twierdzi, że wystarczy spadek temperatury o kilka stopni i zamrznie woda w niezamieszkanym częściach. Na wszelki wypadek zorganizowałam już jeden piec - pochwaliła się. - I mam całą piwnicę koksu.

Usiedliśmy. Bez pytania ustawiła na stoliku dwie szklanki i naląła do nich mniej więcej naparstek jantarowej cieczy. To był silny destylat, ale smakował zaskakująco łagodnie.

- Dla gości. Z każdym staram się wynegocjować jak najwięcej, a to mi pomaga wprowadzić ich w odpowiednio pogodny nastrój - wyjaśniła, a oczy jej przy tym iskrzyły. - Sama nie piję, tylko dzisiaj.

Już była bez kożucha i grubych swetrów, tylko w zapiętym aż pod szyję golfie. Obrysowałem wzrokiem jej postać. Wyobraziłem sobie dotyk skóry. Delikatny, delikatniejszy niż cokolwiek innego, ciepły i sprężysty. A później, kiedy już go doskonale poznam, kiedy przyjdzie ból... Przełknąłem ślinę.

Zastanawiałem się, czy Kuan wiedziała, że wydała swoją podopieczną na moją łaskę i niełaskę. Może tak, może nie. Nieznane są myśli bogów.

Miałem minę węża pożerającego ofiarę. One to potrafią, sprawdzona, niezawodna metoda. Evelyn upiła, widziałem, jak po jej ciele rozplywa się uczucie wewnętrznego ciepła, a razem z nim również całkowitego rozluźnienia.

- Muszę oszczędzać, mam bardzo ograniczony budżet - kontynuowała z zaangażowaniem. - Ale już mi się udało sprzedać kilka rzeczy, które zrobiły dzieci. Głównie maty. Kupiłam po bardzo korzystnej cenie cały magazyn syntetycznych sznurków, z których je wyplatamy. Nie widać tego po nich, ale łatwo się składają, dobrze izolują i śpi się na nich całkiem wygodnie.

Patrzyłem i słuchałem tego, co mówi, tylko połowicznie. Nie przejmowała się zbyt fryzurą, ale jej włosy miały więcej blasku niż wtedy, gdy widziałem ją ostatnio. Kąpiele, porządny szampon.

Coś musiało się odbić w moich oczach, ponieważ skończyła zdanie i zamilkła.

- Musi pan tu się czuć strasznie samotny - zmieniła temat. - I smutny, rzekłabym nawet, że nieszczęśliwy.

- Całe życie jestem samotny - potwierdziłem. - Z kilkoma małymi wyjątkami.

Jeden taki wyjątek właśnie nadchodził, już się cieszyłem. Pragnąłem go i właśnie dlatego się nie spieszyłem. Przed nami cała długa noc. Pomału wyciągnąłem rękę w stronę Evelyn i dotknąłem kosmyka jej włosów, który wysunął się z koka. Nie zrobiła uniku, nie odskoczyła, uśmiechnęła się tylko i dołała mi.

Najlepiej zaczynać pomału.

- Myślę, że będę szczęśliwy.

- Dużo o panu słyszałam. - Popatrzyła na mnie, w jej oczach podziw mieszał się z obawami, szacunkiem i jeszcze czymś innym, czego nie potrafiłem poznać. Coś jakby litość, ale najprawdopodobniej się myliłem. - Gdybym pana wcześniej nie spotkała, nie uwierzyłabym w to, co usłyszałam. Lecz w tej sytuacji... Jest pan wspaniałym człowiekiem.

Moje usta wygięły się w imitacji uśmiechu, jaki drapieżnik prezentuje swoim ofiarom. To mi się na pewno spodoba. Tylko mała, bardzo młoda część mnie samego protestowała. Ta, która zniszczyła Drewnianą Szczelinę, zaprzyjaźniła się z na wpół zapomnianym bogiem myśliwych, w Jabłonkowie straciła kogoś bliskiego, a w zachmurzonych Beskidach pozbyła się części siebie samej i spotkała kogoś godnego podziwu. Jedynie ta mała, najmłodsza część mojego ja protestowała. Nie podobało jej się to, do czego się szykowałem. Choć była taka słaba, zaniedbana, psuła mi nadchodzącą uciechę, nadchodzącą rozkosz. Zdecydowałem, że ją zagłuszę, przekrzyczę pełną krwi namiętnością, tak żeby o niej zapomnieć, wdeptać ją w ziemię, w agonalny krzyk Evelyn. Raz na zawsze zapomnieć.

Sądziła, że wiem, czego chcę. Położyła mi dłoń na przedramieniu, pochyliła się w moją stronę i tak na próbę, niemal pytająco pocałowała. Odpowiedziałem tym samym. Nie musiałem się spieszyć. Czas żądy możliwej do zaspokojenia jedynie przelaną krwią dopiero nadejdzie.

* * *

Zasnąłem na chwilę, ale nawet przez sen czułem ciepło jej ciała wtulającego się we mnie. W głębi duszy drżałem - z wściekłości, pożądania, niezaspokojenia, możliwe, że również ze strachu. Nie potrafiłem uciszyć tej cholernej części własnego ja, nawet jeśli bardzo się starałem. Wszystko przez Evelyn. Kochała się ze mną nerwowo, cudownie; delikatnie jak dziewczyna, a nie doświadczona dziwka, którą przecież była. Przeszkadzało mi to, strasznie mi to przeszkadzało. A po wszystkim tuliła się do mnie i co chwilę szlochała, płakała z powodów, których zupełnie nie rozumiałem. Potrzebowała mnie. Dlaczego?

Obudziłem się i obserwowałem ją w szarym półmroku; zaskoczony, zszokowany, niemal przestraszony tym, co właśnie przeżyłem, jednocześnie nieusatysfakcjonowany, niezaspokojony, spragniony krwi i bólu. Patrzyłem na nią i nie wiedziałem, co dalej. Nagle mnie olśniło. Uświadomiłem sobie, że już nigdy nie będę tym, kim byłem. Już do końca życia, cokolwiek bym zrobił, pozostanie we mnie część pogardzająca tą stroną, po której teraz stanę, według zasad której będę teraz żył. Już nigdy nie będę zadowolony.

Słumiłem wrzask i ścisnąłem Kleszcze z taką siłą, że aż usłyszałem ich skomlący skowyt. Może przyszedł czas, by pójść jeszcze krok dalej. Albo czas, by wszystko zakończyć.

* * *

Wstałem z łóżka i ubrałem się. Wraz z bronią w kaburach wróciła do mnie część mojego starego ja. Ostatni raz spojrzałem na śpiącą Evelyn i przemyślałem możliwość powrotu na dawną drogę życia. Ale już byłem ubrany, a jeśli chciałem coś skończyć, musiałem się pospieszyć. Do tego w pokoju zaczynało robić się zimno.

Zamknąłem za sobą drzwi z marzeniem, żeby już nigdy nie zobaczyć nagiej kobiety, która tuliła się do poduszki; z marzeniem, żeby spotkać ją jak najprędzej.

* * *

Wróciłem do hotelu z pięcioma jabłkami, które kupiłem na jednym z licznych podziemnych targowisk, i od razu poszedłem do stajni. Były to małe, pomarszczone owoce, wyhodowane głęboko pod ziemią na hydroponicznych plantacjach, w sztucznym świetle żarówek, które zastępowały promieniowanie słoneczne. Miały cierpki i jednocześnie kwaśny smak, a do tego kosztowały majątek. Właściwie nie bardzo wiedziałem, po co je kupiłem. R.C., czy raczej Rewers Curtisa, nie zrobiłby

czegoś takiego. Może z przyzwyczajenia? Może dlatego, że stałem się kimś zupełnie innym, kimś nowym?

Położyłem jabłko w żłobie na kupce świeżego owsa i patrzyłem, jak Micuma przygląda się im z powstrzymywanym łakomstwem.

- Kim jestem? - zapytałem, kiedy ugryzła pierwsze z nich.

Odłożyła jabłko z powrotem. Obrzuciła mnie poważnym końskim spojrzeniem i energicznie machnęła ogonem. Wydał odgłos jak smgnięcie batem.

Nie spieszyłem się, czekałem, co się stanie. To nie było pytanie retoryczne, sam szukałem odpowiedzi.

Analizowała mnie, starała się odgadnąć, co się zmieniło. Oczami wyobraźni widziałem, jak jej sztuczny, lecz niesamowicie sprawny intelekt pracuje na pełnych obrotach.

- Jesteś człowiekiem, z którym od dłuższego czasu podróżuję. Nawet przypadłeś mi do gustu.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

- No i co?

Jej nozdrza poruszyły się, jakby usiłowała mnie rozpracować nawet węchem. Z pewnością coś w moim zachowaniu jej nie pasowało. Wiedziała, że nie pytam ot tak.

- Wierzysz, że jesteś Raymondem Curtisem, bohaterem bitwy o Sewastopol - odpowiedziała w końcu.

Słyszałem w tym jakieś „ale”, więc czekałem.

- Ale raczej jesteś tym drugim. Człowiekiem, którego ludzie bali się tak bardzo, że zanegowali jego człowieczeństwo, przemianowali go na demona, potomka najczarniejszych kręgów piekła, a potem jeszcze na wszelki wypadek, dla pewności, zapomnieli o nim i usunęli wszystkie wzmianki, które znaleźli. Ale ja jestem dobra w szukaniu. Wiem, że istniałeś. - Zastrzygła uszami.

- A mimo to towarzyszysz mi dalej w podróży? - chciałem wiedzieć. - Potomkowi piekieł?

- Towarzyszę człowiekowi, którego uważam za jednego z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam - odparła poważnie. - Oczywiście my, konie, możemy mieć inne niż wy, ludzie, poglądy w kwestii moralności, etyki i innych ważnych dla was spraw. - Błysnęła szeregiem wielkich zębów w końskiej wersji ludzkiego uśmiechu. Dobrze ją znałem.

- Lubię ludzi, którzy nie skąpią owsa i czasami przyniosą kilka owoców. Nawet jeśli są kwaśne - dodała.

Potem znowu pochyliła się nad żłobem, jakby wszystko, co istotne, zostało już powiedziane, a ja nie byłem godny dalszej uwagi.

Biedny to człowiek, którego ignoruje jego własny koń - nawet jeśli jest tylko biologicznym konstruktem.

* * *

Właściciel hotelu posiadał jeden z niewielu wciąż działających telefonów. Pozwolił mi z niego zatelefonować, nie żądając żadnych opłat. Wykręciłem numer Kuan.

- Tutaj R. O., Rewers Curtisa - przedstawiłem się starym imieniem.

Jeśli ją to zaskoczyło, nie dała po sobie nic poznać.

- Chcę wywiązać się z zobowiązania. Potrzebny mi do tego bardzo ciepły i bardzo porządnie wyglądający kozuch. Taki, by na pierwszy rzut oka było widać, że należę do miejscowej śmietanki towarzyskiej. Już dawno nie widziałem żadnego przedstawienia w teatrze.

- Zostanie panu dostarczony w ciągu godziny.

Bogini miłosierdzia zamilkła, przez chwilę oboje wsłuchiwałem się w szum niedoskonałego połączenia.

- Skoro już pan wie to, co wie, dlaczego pan nie zrezygnuje? - zapytała na koniec.

- Pogadamy, kiedy skończę - odrzekłem. - To część honorarium, na które się umówiliśmy.

- Owszem.

Położyłem słuchawkę na widelki i przez chwilę przyglądałem się odrapanej plastikowej powierzchni aparatu.

Jej pytanie nie było bezzasadne. A ja znałem na nie odpowiedź.

W swoim ewentualnym dalszym życiu ani przez moment nie będę pewien, po której jestem stronie. Czy wstając z łóżka, zostawię w nim śniącą kobietę, czy tylko ochłap stygnącego mięsa? Niepozorna, zaledwie kilkuletnia część mojego ja bała się, że zwycięży ta druga. Demoniczny R. C, którego niegdyś się obawiano, był dotknięty nieznaną śmiertelną chorobą. Musiałem poznać odpowiedzi na wszystkie pytania z przeszłości, by rozwiązać problem własnego rozdwojenia.

* * *

Na placu przed teatrem hulał silny wiatr, termometry, które jeszcze to wytrzymały, wskazywały minus dziewięćdziesiąt sześć. Niebo nad miastem było nieustannie zachmurzone, nieruchome, nienaturalnie pomarszczone w przedziwne kształty. Miałem wrażenie, jakby w tej dziwaczności tkwiło ich uporządkowanie - ale to było tylko wrażenie.

- Wachtman jedzie - zabręczało w słuchawce.

Na tym zakończyła się pomoc ze strony Kuan Jin, od tej pory musiałem liczyć tylko na siebie. Mój plan był genialny. Micuma określiła go jako szalony, ale jedno drugiego przecież nie wyklucza. Zacząłem przechadzać się po placu, zmierzając w stronę teatru, pomału mijałem skutery śnieżne, transportery gąsienicowe, poduszki - wszystkie możliwe pojazdy, które działały nawet w tak ekstremalnych temperaturach. Wsiadali z nich najbardziej wpływowi mieszkańcy Ostrawy. Przybycie na przedstawienie teatralne wystawiane w tak niesprzyjających warunkach atmosferycznych stało się kwestią prestiżu. Wehikuły, dowód swojej pozycji, parkowali daleko od budynku, żeby podczas pięcio- czy siedmiominutowej przechadzki w stronę teatru móc zaprezentować kreacje. W kożuchu z niedźwiedzia polarnego z kołnierzem z norek oraz w czapce z tygrysa ussuryjskiego, zakrywającej całą głowę i szyję, wyglądałem jak manekin-multimiliarder. W szerokich, rozszerzanych rękawach łatwo mogłem schować Margaret i Zabójcę. Z Greysonem było nieco gorzej, na razie leżał w torbie, tak żebym mógł po niego sięgnąć w odpowiednim momencie.

W końcu pojawiła się limuzyna gąsienicowa Wachtmana, eskortowana przez jeszcze jeden pojazd. Zatrzymał się kawałek ode mnie, kilkadziesiąt metrów od teatru. To mi odpowiadało, wystarczyło tylko trochę zmienić kierunek. Gdy mijałem wóz eskorty, z którego wyskoczyło trzech ochroniarzy w termokombinezonach i z karabinami w dłoniach, wypuściłem torbę z ręki na śnieg. Już wysiadał sam Wachtman, z każdej strony osłaniany przez trzech swoich ludzi. Oko zmieniło tryb i pokazało wykres ich magicznych zabezpieczeń, podłączonych do źródeł energii bezpośrednio w ciałach uzbrojonych mężczyzn. Cyborgi, jeden upiór, jeden czarodziej, dwaj pozszywańcy. Niezła ekipa.

Mój plan był prosty. Zabić Wachtmana, a potem wraz z jego ciałem dostać się do szpitala, żeby zobaczyć, jak ożywiają trupa. Ni mniej, ni więcej.

Coraz bardziej lodowate spusty Zabójcy i Margaret mroziły mi palce. Zbliżałem się wolnym krokiem, prezentując całemu światu godny podziwu wizerunek

wpływowego, bogatego człowieka. Cyborg z działkiem ręcznym w dłoni spojrzął na mnie przelotnie, upiór poświęcił mi dużo więcej uwagi, ale i jego zmyliło moje przebranie.

Mijałem ich w odległości trzech metrów. Przyłożyłem palce do spustów tak, by wystarczył już tylko lekki dotyk.

Przesunąłem stopy w taki sposób, żeby odbić się nawet od śliskiej nawierzchni, i już leciałem. Stalowe lufy Zabójcy i Margaret, przedłużenie moich własnych myśli, celowały w wybrany obiekt. Wreszcie mnie dostrzegli, poruszali się jak w zwolnionym tempie - unoszenie broni, opadające linie nerwowych induktorów, tarcze obronne, nagle widzialne nawet dla gołego oka. Już byłem między nimi.

Pierwsze pociski trafiły w upiora - przeciwpancerny zarył się głęboko w jego niezwykle odpornym ciele, ekspansywny rozerwał go na kawałki. Wyrwany fragment kręgosłupa cisnął Wachtmanem na karoserię auta i zmierzwił jego kozuch z soboli. Potężna salwa z działa cyborga minęła moje ramię zaledwie o włos, za to strzał z Margaret z najbliższej odległości pozbawił jego głowę balastu organicznego, pozostawiając samą kompozytową ramę. Bębenek Zabójcy znowu się obrócił, pocisk powalił pozszywańca na ziemię. Margaret podwójnym strzałem przepołowiła strażnika, który starał się odciągnąć Wachtmana. Nagle uderzył we mnie niewidzialny, magiczny młot bojowy. Margaret wyslizgnęła mi się z dłoni, amulety zaczęły dzwonić, niektóre się rozzarzyły, po mojej klatce piersiowej ciekł roztopiony metal z tych, które nie wytrzymały. To dzieło czarodzieja. Spowolniony wyczerpaniem uniosłem Zabójcę i oddałem dwa strzały. Pierwszy pocisk zniknął, zanim doleciał do czarodzieja, drugi - gdy uderzył go w mostek. Był lepszy, niż się spodziewałem. Zamiast kontynuować natarcie i dobić mnie, zaczął się denerwować i stracił panowanie nad sytuacją. Oswobodziłem Kleszcze, ciąłem go krótko po twarzy i przewróciłem na śnieg. Energia uwolniona w wyniku naszej krótkiej bójki spowodowała, że śnieg i lód w promieniu kilku metrów roztopiły się, gotująca się woda syczała, obłoki pary ograniczyły widoczność do dwóch kroków.

Dwukrotnie rozległ się dźwięk zatraskującego się zamka, Margaret i Zabójca dostali nową porcję amunicji.

- Potrzebujemy wsparcia, potrzebujemy wsparcia! - ktoś panicznie krzyczał do krótkofalówki. To z pewnością ostatni strażnik albo kierowca. Wachtman patrzył na mnie zszokowany, zaklinowany między półotwartymi drzwiami i karoserią.

- Martowskiemu nie udało się mnie zabić - oznajmiłem, zamykając bębenek rewolweru.

Gangster zrobił wielkie oczy.

- Będziesz cierpiał, gnoju - syknął.

- Na pewno - zgodziłem się, uniosłem Zabójcę i przystawiłem jego zmodyfikowaną lufę do czoła gangstera.

- Ja wrócę - obwieścił nieco spiętym głosem. Bez wątplenia trzymał fason. Na jego miejscu każdy by się bał.

- Całkiem możliwe - odparłem i pociągnąłem za spust.

- Wachtman nie żyje! Zabili go! - powtarzał ktoś wewnątrz pojazdu, kiedy już przebrzmiał huk strzału.

Popatrzyłem na bezgłowego trupa siedzącego w szybko zamarzającej kałuży krwi. Wyglądał jak człowiek, pod którym ugięły się nogi, a który teraz odpoczywa, nabiera sił, nie dostrzegając, że właśnie stracił głowę. Sięgnąłem do kieszeni po świecę dymną, odbezpieczyłem ją i rzuciłem między pokieroszowane pociskami samochody konwojentów i limuzynę.

- Przetransportujcie go jak najszybciej do szpitala! - grzmiał ktoś w krótkofalówce. - Za wszelką cenę! Tylko niech to nie trwa tak długo jak ostatnio. I zbierzcie jak najwięcej tego, co z niego zostało!

Podniosłem Margaret, przeciąłem Kleszczami gaśnicę w pojeździe Wachtmana, żeby musieli się trzymać odśnieżonych dróg, po czym w obłokach szybko gęstniejącego dymu ruszyłem w stronę samochodu eskorty. Po drodze zabrałem jeszcze siatkę.

To prawdziwe wyzwanie wyprodukować świecę dymną, która nie zawiedzie nawet w temperaturze poniżej minus stu stopni.

* * *

Do szpitala dostałem się dokładnie tak, jak zaplanowałem - w bagażniku samochodu eskortującego. Kierowcy i ostatniemu żywemu ochroniarzowi włożenie ciała Wachtmana do auta zajęło tylko chwilę. Żaden z nich nie zaglądał do bagażnika, sztuczka z zamkiem, w który podczas strzelaniny niby trafił przypadkowy pocisk, okazała się zbyteczna.

Droga nie trwała więcej niż piętnaście minut, potem echo zmieniło dźwięk silnika, zahuczała zamykana stalowa brama. Byłem w środku. Jakie to proste.

- Na nosze! Dajcie go na nosze i wracajcie do samochodu! - usłyszałem stłumiony głos kierowcy pojazdu, w którego bagażniku się chowałem.

Był wyraźnie zdenerwowany. Przeciąłem filtr izolacyjny Kleszczami, żeby lepiej słyszeć.

- Dlaczego? - odezwał się skrzeczący głos z krótkofalówki.

- Są dziwni. Lepiej nie przebywać w ich pobliżu.

Sprężyny w siedzeniu zaskrzypiały, kiedy kierowca rozsiadł się nerwowo. Poczulem zapach zapalonego papierosa.

Czekałem i nasłuchiwałem. Ktoś... najprawdopodobniej dwie osoby wysiadły z innego samochodu, wpadły na coś, co zabrzęczało metalicznie.

- Kurwa mać - rozległo się przekleństwo.

Gdybym chciał, Oko pokazałoby mi, co się dzieje, nawet przez blaszaną maskę bagażnika. Gdyby jednak wykorzystywali jakiś skomplikowany system detekcyjny, mógłbym w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Nie byłem aż tak ciekaw, co się dzieje na zewnątrz. W pozycji na wpół embrionalnej zacząłem sprawdzać zawartość swoich kieszeni w poszukiwaniu nabojów.

- Dariusz? - odezwał się w krótkofalówce nowy głos.

- No, słyszę - odpowiedział bardziej biegle i wystraszony z gangsterów.

- Słuchaj, przyjdą po niego dwaj lekarze aż z trzeciego piętra. Jest jeszcze gorzej niż ostatnio. Może powinieneś zmyć się teraz, już oni go sobie odwiozą. Otworzę wam drzwi.

- Dzięki, wielkie dzięki, załatwione - powiedział kierowca, jednocześnie rozległ się warkot silników elektrycznych otwierających drzwi.

- Zostawimy tu szefa, ot tak? - odezwał się mężczyzna z drugiego samochodu.

- I tak jest martwy. Jeśli chcesz spotkać się z nimi, twoja sprawa. Ale nie gadaj potem, że cię nie ostrzegałem.

Silnik zapalił, dwukrotnie się zadławił, a potem zaczął regularnie warkotać. Trzasnęły zamykane drzwi, jednocześnie poczułem w bagażniku chłód dostający się do środka z hali. Moje plany zmieniły się nieprzyjemnie, czegoś takiego się nie spodziewałem. Nie miałem jednak nic do stracenia. W najgorszym wypadku Kuan niczego się nie dowie, a dotrę do końca drogi, dokładnie tak, jak chciałem.

Kopniakiem otworzyłem bagażnik, wyskoczyłem na zewnątrz i wylądowałem kawałek przed wyjazdem z hali. Zauważyłem tylko obłok wirującego śniegu

wymieszanego z dymem z rury wydechowej. Potem skrzydła bramy zamknęły się ze zgrzytem.

Hala wyglądała zwyczajnie, jak każde tego rodzaju pomieszczenie do przeładunku towarów. Na nieszczęście była całkiem pusta i nie miałem gdzie się ukryć. Co najwyżej na łóżku szpitalnym, na którym leżało ciało Wachtmana. Platforma pod spodem służyła do przewozu aparatury podtrzymującej życie. Wachtman już jej nie potrzebował. Rozrzuciłem urządzenia po kątach hali, położyłem się na platformie i schowałem za na wpół przezroczystym prześcieradłem sięgającym aż do podłogi, które zaciągnąłem równomiernie wokół całego łóżka.

Leżałem tam z Greysonem na piersiach, kolana podciągnąłem aż pod brodę. Byłem zaskakująco spokojny, jakby mi na niczym nie zależało. Czułem tylko ciekawość.

Nagle wiedziałem, że nie jestem sam, chociaż nie słyszałem żadnego odgłosu stojącej windy czy otwieranych drzwi ani nie ostrzegał mnie żaden z moich zmysłów, które potrafiłem nazwać.

Potem bez żadnego ostrzeżenia wózek ruszył, Oko zaprezentowało całą gamę trybów obrazowania, ale zanim zdążyło przejść do właściwego, wyłączyłem je. Czas na obserwacje jeszcze nie nadszedł.

Kółka nie podskakiwały na doskonale płaskiej podłodze, słyszałem tylko cichy szelest łożysk. Ten, kto pchał łóżko, nie wydał z siebie nawet najmniejszego odgłosu. Nie udało mi się wychwycić choćby świstu jego oddechu.

Wjechaliśmy do windy.

- Na drugie piętro, proszę pana? - zapytał strażnik, przez prześcieradło widziałem tylko rozmazaną postać.

- Wyszstarczy pierwsssze - otrzymał zniekształconą sykkiem odpowiedź.

Winda ruszyła, syczący sanitariusz wypchnął wózek na korytarz, a sam został w kabinie. Drzwi znowu się zamknęły i zahuczał silnik.

- Boże, ten to dopiero wygląda! Nie mogli go chociaż przykryć prześcieradłem? - zawołał ktoś i znowu ruszyliśmy z Wachtmanem w drogę.

Było ich dwóch, słyszałem oddechy, dźwięk kroków, pracę stawów. Ludzie, w przeciwieństwie do poprzedniej istoty.

- Będą go ożywiać. Najpierw miał jechać aż na trzecie, ale okazało się, że to nie jest tak poważnie magiczna rana jak ostatnio. Poczekaj, otworzę drzwi.

- To ten skurwysyn już tu był?

- No. Nieźle się napracowali, żeby po ożywieniu był jak najbardziej normalny. Teraz ma go złożyć Krajcuk.

Czułem, jak mówiący manewruje wózkiem, żeby trafić w drzwi.

- Krajcuk to przecież jeden z nas, normalny lekarz. Tydzień temu byliśmy razem w knajpie.

- Jego dziecko odmroziło sobie nogi. Musieliby mu je amputować. Szefostwo złożyło Krajcukowi ofertę, a on ją przyjął.

- W takiej sytuacji ciężko odmówić - odpowiedział drugi głos po chwili wahania. - A co z tym dzieciakiem?

- Wyzdrowiał.

- Przynajmniej tyle dobrego.

- Możemy go tutaj zostawić. Krajcuka wprawdzie znałem, ale im rzadziej będę go teraz widywał, tym lepiej dla nas obu.

Znowu zostałem sam na sam z gangsterem.

* * *

Wyczołgałem się ze swojej ruchomej kryjówki. Wachtman nie wyglądał na ani odrobinę bardziej żywego niż w momencie, w którym odstrzeliłem mu głowę, wręcz przeciwnie. Przywieźli nas do typowego, ubogiego gabinetu lekarskiego, przystosowanego do przeprowadzania podstawowych badań pacjentów. Z przyzwyczajenia zacząłem szukać wzrokiem termometru. Tutaj też wisiał i, o dziwo, nie zamarzał. Luksusowe minus pięć. Pod tym względem szpital akademicki był naprawdę wyjątkowym miejscem. Mimo to walczyłem z zimnem przenikającym aż do szpiku kości, aż do synaps, do podstaw każdej myśli. Trząsałem się i czułem, jak marzną mi czubki palców. Dziwne. Gdybym nie był R. C., człowiekiem, którego bali się nawet bogowie, denerwowałyby mnie to. Starłem się zerknąć w przeszłość i ustalić, czy już kiedyś coś podobnego przeżyłem, ale nie udało mi się. Kleszcze drgały, spośród wszystkich funkcji Oka, które miałem wyryte gdzieś wewnątrz mózgu, niektóre nadal były niedostępne. Nagle przypomniałem sobie, skąd się wzięły te dwie części mojego ciała. To były fragmenty ciał różnych demonów, które już dawno wymazałem z pamięci. Jeden mówił na siebie Kościej Nieśmiertelny, drugi... już nie pamiętałem. Sam sobie wszczepiłem Oko i Kleszcze, a wraz z nimi strzępy rozdrobnionych osobowości demonów, konieczne do władania nimi - teraz trzęsły się z przerażenia.

Jeszcze raz rozejrzałem się po gabinecie. Nie badałem terenu, kilka spraw mogłem ustalić tu, na miejscu.

Za parawanem z prześwitującego tworzywa zauważyłem wideofon, działający, sądząc po pobłyskującej na zielono diodzie. Efekty długoletniego sponsoringu było widać na każdym kroku, wyposażenie szpitala przekraczało wszelkie oczekiwania.

Wykręciłem numer do Kuan Jin i czekałem.

- Nie sądziłam, że się jeszcze odezwiesz - zabrzmiało z głośnika.

Dźwięk był tak doskonały, że potrafiłem sobie wyobrazić lekką rezerwę malującą się na twarzy bogini. Nie pojawił się jednak żaden obraz.

- Jestem całkowicie zaskoczony - odezwałem się. - To linia wideo - zwróciłem jej uwagę. - Może chciałabyś rzucić okiem, jak to wygląda.

- A skąd mam niby wziąć do tego sprzęt?

Teraz wyczuwałem w jej głosie nieskrywany sarkazm, Nóż w pochwie poruszył się bez przyczyny. Rzekłbym nawet, że zadrżał z zadowolenia.

- Nie mam pojęcia, ale chyba jesteś boginią? A może tak mi się tylko wydaje? - też pozwoliłem sobie na sarkazm.

W następnej sekundzie usłyszałem zbliżające się kroki.

- Nie rozłączam się, życzę przyjemnej transmisji.

Coś we mnie się śmiało. Nagle odzyskałem wewnętrzną równowagę i w pewien sposób byłem z siebie zadowolony. A raczej z tego, co miało nastąpić. Nienawidziłem siebie, ale też tylko na siebie mogłem liczyć. Sytuacja bez wyjścia.

- Curtis? - Kuan nagle zwróciła się do mnie moim prawdziwym imieniem. - Umrzesz, na pewno tam umrzesz, zdajesz sobie z tego sprawę?

Powstrzymałem wybuch demonicznego śmiechu. Bogini miłosierdzia litowała się nade mną. Tylko istota bez wyobraźni śmiałaby się w twarz własnemu losowi. A ja zawsze zabijałem i dręczyłem z klasą. Byłem przecież człowiekiem, którego bali się absolutnie wszyscy.

- Wiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Umrzesz, jeśli będziesz miał szczęście - wmieszał się do rozmowy o wiele ostrzejszy głos.

Pobrzmiwała w nim niezliczona liczba ostrzy i miriady śmierci. Należał do Kali.

Nie miałem już czasu na odpowiedź, ktoś nacisnął klamkę. Zostawiłem wideofon włączony, wcisnąłem się do wnęki pod umywalką i zasłoniłem białym parawanem. Margaret, Zabójca i Greyson czekali w pogotowiu.

Wszystko się kiedyś kończy. Tak czy inaczej. Umieranie w towarzystwie przyjaciół nie jest wcale takie złe. Myśli o Evelyn do siebie nie dopuszczałem.

Do gabinetu weszło trzech mężczyzn w białych kitlach, dwóch z nich poznałem po krokach - to byli ci sami, których słyszałem schowany na wózku.

- Leży tutaj, Krajcuk, zgodnie z rozkazem z góry - powiedział wyższy z mężczyzn. Wyczuwałem od niego nerwowość i strach.

Nie rozumiałem, o co tutaj chodzi. Wachtman był już kupą zimnego mięsa. Jakkolwiek by się starali, minus sto wyciągnie ciepło bardzo szybko z wszystkiego, co samo nie da rady się zagrzać. A trupy w przeważającej większości przypadków nie dają.

Mężczyzna zwany Krajcukiem wpadł na wózek, na którym leżało ciało, i dopiero wtedy je zauważył.

- Widzę.

Mówił rzeczowo i spokojnie, ale było w nim coś dziwnego.

Właściciel znajomego głosu numer dwa trzymał się z tyłu - mniejszy, grubawy mężczyzna w okularach bez oprawek. Nie musiał nic mówić, i tak było po nim widać, jak bardzo przeraża go śmierć.

Krajcuk, przypominający chirurga na sali operacyjnej - biała czapka, biała maska i kitel bez najmniejszej plamki - położył dłoń na ciele Wachtmana.

Cisza panowała coraz głębsza. Lekarz musiał być wybitnym specjalistą, skoro postawienie diagnozy, że Wachtman umarł raz na zawsze, zajmowało mu tyle czasu.

- To nie efekt działania magii - stwierdził nagle.

Jego głos mnie zelektryzował. Jakby nie mówił Krajcuk, który jeszcze przed chwilą tu był, ale ktoś zupełnie inny, istota, która się w nim skrywała, lecz nie chciała zbyt wcześnie ujawnić swojej obecności.

- To nie magia, ale coś silniejszego. Nic tu po mnie. Potrzebujemy...

Następne słowo, które wypowiedział, było tak obce, tak niezrozumiałe, że moje uszy i mózg odmawiały współpracy. Pozostało wrażenie absolutnej obcości. Nie tylko mnie to słowo nie przypadło do gustu. Tłuszciochowi ugięły się nogi w kolanach, runął jak długi na ziemię, jego kompan zaczął zwracać, a z oczu mu ciekła krew.

Wydawało się, że Krajcuk nic nie zrobił, ale jego wspólnicy pierzchli do najdalszego kąta w sali.

Czułem, że coś nadciąga. Czułem, że moje serce zwalnia, czułem strach. Nie z powodu śmierci, ale czegoś innego, czegoś, czego nie rozumiałem.

Najpierw popękały szafki i stalowe narzędzia, potem szklane butle z lekami, a na końcu nawet lśniące powierzchnie skalpeli odłożonych w sterylnej celulozie nagle zmatowiały.

Po prostu przeniknął przez drzwi, pewnie nawet ich nie zauważył. Zapamiętałem to, na wypadek gdybym musiał z nim później walczyć.

Krajcuk, nie do końca z własnej woli, zrobił krok w tył, jakby również nie potrafił znieść obecności nowo przybyłego. Zmusiłem się, by mu się przyjrzeć.

Wyglądał jak człowiek, ale człowiekiem nie był. Jakby starał się za wszelką cenę upodobnić do istoty ludzkiej, zapominając jednak o podstawowych proporcjach. Zbyt duża głowa, zbyt cienka szyja, jedna ręka dwumetrowego olbrzyma, druga - krasnoludka. Twarz... czaszka wypalona żarem pustynnego słońca miałyby bardziej ludzki kształt.

Stworzenie - nie byłem w stanie myśleć o nim jak o człowieku - zasyczało.

- Materiał, potrzebuje materiału - przetłumaczył Krajcuk swoim pomagierom.

Tłuscioch natychmiast wybiegł z gabinetu. Czekaliśmy w milczeniu. Miałem wrażenie, że moje serce z każdą chwilą bije coraz wolniej, myśli pomału zamarzają, a ja zmieniam się w coś zupełnie innego. To było hipnotyzujące i - przyjemne. Nic wyjątkowego. Lepiej być hieną albo marabutem niż R. C.

Czas uciekał. Z każdą minutą, ziarnko po ziarnku, znikwały cząsteczki mojego ja. W końcu tłuscioch wrócił, w każdej dłoni trzymając koszyk sklepowy pełen ludzkich głów.

- W porządku? - zapytał. Z niektórych jego trofeów nadal kapała krew.

- W porządku - odpowiedział Krajcuk i nawet w jego odczłowieczonym głosie było słychać ulgę.

Istota, której nie potrafiłem nazwać, wzięła obydwie koszyki, postawiła na stole i zaczęła rozłupywać ludzkie głowy, tak jak zwykły człowiek rozłupuje orzechy laskowe. Wybrane kawałki wpychała do resztek czaszki, które zostały Wachtmanowi po strzale Zabójcy. Jeśli tak miała wyglądać chirurgia, to ja byłem bogiem neurochirurgów.

Wszystko trwało około godziny. Potem stworzenie odwróciło się i wyszło.

- Za jakiś czas się obudzi, ale to już nie będzie ten sam Wachtman. Był zbyt martwy - przemówił Krajcuk obojętnym tonem. - Musi jednak wykonać swoje zadanie, posłę po szkoleniowca maskowania... - znowu wypowiedział to słowo, którego nawet nie zdołałem dosłyszeć. - Potrzebuje przedstawiciela wśród ludzi.

Krajcuk odszedł, w gabinecie zapanowała cisza, pomalu wypierająca obcość trującą świat.

- Przeżyliśmy, przeżyliśmy! - wysapał tłuscioch. Uświadomiłem sobie, że moje serce nie bije w obcym rytmie, tylko w takt skromnych potrzeb całego ciała.

Jego kolega nawet się nie poruszył.

- Karel, coś ci jest?

Drugi lekarz nie odpowiedział, wyszedł spomiędzy dwóch stalowych szaf z lekami i powolnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

- Rany, ale mi napędziłeś stracha. Już myślałem, że cię dopadło. Przeżyliśmy spotkanie z kolesiem z drugiego piętra! - radował się tłuscioch.

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, pozostał tam już na zawsze. Karel uciął mu głowę zewnętrznym kantem dłoni niczym mieczem. Potem pochylił się nad trupem i wyrwał mu serce jednym ruchem przypominającym atak kobry.

- Jest potrzebne na sali operacyjnej numer cztery - wymamrotał i z ciągle pulsującym sercem w dłoni opuścił pomieszczenie.

Znowu zostałem w gabinecie z dwoma trupami. Wszystko po staremu, to one najczęściej dotrzymywały mi towarzystwa. Niemal pożałowałem, że nie ma tu Micumy. Na pewno by się poznała na moim makabrycznym poczuciu humoru. Pielęgnowałem je właśnie ze względu na nią. Była jedyną żywą istotą akceptującą moje towarzystwo.

- R.C.?

Ktoś mnie od dłuższej chwili wołał.

Ostrożnie wylazłem ze swojej kryjówki i na ekranie wideofonu zobaczyłem twarz Kuan. Kamera musiała działać, ponieważ bogini patrzyła prosto na mnie. Szybko załatwiła sobie ten sprzęt.

- Jestem. Rozumiesz coś z tego, co zobaczyłaś? Czekałem, aż zacznie kłamać. Bogowie częściej kłamią, niż mówią prawdę.

- Owszem, rozumiem. To potworne, dlatego wołałabym, żeby wszyscy sami to zobaczyli. I nie obwiniali mnie, że ich okłamuję i mamię.

Właśnie tak. Miłosierdzie potrafi okłamać i omamić, dobrze o tym wiedziałem.

Zanim zdążyłem zapytać, co Kuan o tym myśli, zobaczyłem ujęcie z szerokokątnej kamery.

Za Kuan i Kali siedział tłum innych istot. Wyglądało to jak wielki amfiteatr z mnóstwem siedzisk. Płonęły na nich ognie, wyginały się tancerki, dopełniano

przedziwnych rytuałów, gdzieś na rożnach piekli się wciąż żywi nieszczęśnicy. Wszystko ku uciechu widzów. Patrzyłem na zgromadzenie bogów, demonów, diabłów, duchów, deksów i innych istot, które zamieszkiwały ten świat razem z ludźmi - tylko ich samych widziałem tam niewielu. Z drugiej strony człowiek, o ile jeszcze mogłem tak o sobie powiedzieć, odgrywał w tym całym zamieszaniu główną rolę. Nie czułem się zbyt dyskryminowany.

A to właśnie ich, bogów i im podobnych, Kuan musiała przekonać, że oglądają przedstawienie na żywo, nie jakąś szopkę. Przez chwilę zastanawiałem się, czego teraz pragnę. Ciągle tego samego: umrzeć. Z jaką łatwością by mi to przyszło wśród tylu wrogów.

Z tłumu podniosło się potężne chłopisko w kamizelce z kozucha, z lewą dłonią na trzonku gigantycznego młota. Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem. W jego oczach było tyle miękkości ile śniegu na słońcu. Wyprostował palec środkowy wielkości ludzkiego ramienia, z pogardą wystawił w moją stronę i splunął.

Przybliżyłem twarz do ekranu i nakazałem Oku wysunąć się i schować z powrotem. Nie znosili tego, jak wszyscy.

- Nie lubię obraźliwych gestów - powiedziałem spokojnie. - Wyzywam cię na pojedynek, Thorze. A kiedy cię pokonam, utnę ci jaja i rzucę je na pożarcie szczurom.

- Ty już nie wrócisz - zaśmiał się olbrzym. - To nie sztuczki, to prawdziwy R. C. - huknął zadowolony.

Znałem go, bardzo dobrze go znałem. Pasek danych na wideo zaczął szumieć. Nie wiedziałem, kto coś przesyła, nie miałem czasu. Przełączyłem urządzenie na nowy sygnał i część ekranu zajęło inne, o wiele lepsze ujęcie. Leżący na plecach Thor, nad nim pochylające się stworzenie, całkiem do mnie podobne. Wprawdzie miało dwie, a właściwie trzy pary kleszczy i jeszcze jedno zwykłe ramię, ale po rysach twarzy i typowym dla niej obojętnym wyrazie bez najmniejszych wątpliwości rozpoznałem siebie.

- Proszę cię, oszczędź mnie - błagał bóg ludów północnych.

I oszczędziłem go wtedy.

Obraz zdjął zwoje zapomnienia z mojego umysłu. Wiedziałem już, skąd pochodził sygnał.

- Zjem twoje serce - zmieniłem zdanie i uśmiechnąłem się do boga, którego kiedyś pokonałem i któremu darowałem życie.

Thor zawył i jednym machnięciem młota zabił dziesięciu swoich najwierniejszych wyznawców. Wśród pozostałych bogów i innych stworzeń zapanowała nerwowa atmosfera. Powiedziałbym nawet, że zaczęli się bać.

- Kuan? - wypowiedziałem imię tej, która przed chwilą pomogła mi poskładać w całość część potłuczonych kawałków pamięci.

Automatyczna kamera skupiła się na twarzy bogini. Przez chwilę ją analizowałem.

- Zdradziła mnie pani.

Jej twarz na chwilę się zmieniła. Znałem bogów, kiedyś znałem ich bardzo dobrze. Nie musiała dawać po sobie nic poznać, ale mogła. I chciała.

- Są przysięgi, których nie da się złamać - powiedziała cicho.

- Ale są drogi, którymi można je obejść.

Nagle wróciło do mnie kolejne wspomnienie. Kiedyś o mało co nie unicestwiłem Kuan Jin, a razem z nią milionów innych. Mimo to stawiała właśnie na mnie. Dlaczego? Musiała być zdesperowana. A pozostali - głupi?

- Właśnie to pani zrobiła - stwierdziłem.

Jej twarz zmieniła się w maskę z marmuru.

- Tak, obeszliśmy przysięgę. To nie była zdrada. Zawsze tak do tego podchodziłam - przyznała na koniec.

Usłyszałem kroki. Ktoś się zbliżał.

- Dokończymy jeszcze tę rozmowę. - Uśmiechnąłem się i zerwałem kitel ze zwłok.

Jeśli lekarze mordowali się tu przy każdym spotkaniu, kilka krwawych plam więcej nie powinno zwrócić niczyjej uwagi.

Spojrzałem jeszcze na ekran, potem siłą woli przesunąłem ujęcie na Thora i pokazałem mu wyprostowany palec środkowy. Nie spodziewał się, że jest moją ostatnią deską ratunku. Jeśli przez jakieś głupie zrządzenie losu nie zginę tutaj, wówczas tylko on zdoła mnie wydać Panu Śmierci. Od dawna nie byłem tak silny jak kiedyś.

Miałem nadzieję, że teraz umrę. Kochałem Evelyn. Chciałem jej dać to, co najlepsze, a jednocześnie - marzyłem, że zabiję ją podczas własnego orgazmu.

* * *

Wyjrzałem z gabinetu. Na szczęście zaraz przy ścianie stał wózek dla pacjentów. Albo dla trupów, tutaj nie robiło to nikomu większej różnicy. Położyłem na nim Greysona i przykryłem kawałkiem gazy.

Minęła mnie kobieta w niebiesko-białym fartuchu, prawdopodobnie pielęgniarka. Nie zwróciła na mnie uwagi, właściwie na nic nie zwracała uwagi, wbijała wzrok w podłogę tak uparcie, jakby jakiegokolwiek zerknięcie w bok miało ją zamienić w słupek soli. Może rzeczywiście tak było.

Wybrałem intuicyjnie kierunek i niezbyt szybko, ale też niezbyt wolno zacząłem pchać wózek.

- Na podstawie komunikatu systemu ostrzegawczego doktor Krajcuk niespodziewanie się przetransformował! - usłyszałem zniekształcony elektronicznie głos, jednocześnie otworzyły się drzwi i wyskoczył przez nie młody, chudy mężczyzna. Towarzyszył mu odgłos pracującego induktora nerwowego, którego obroty zbliżały się do maksimum, oraz ochroniarz w kamizelce kuloodpornej, z automatem przewieszonym na ramieniu i specjalnym karabinem na zastrzyki narkotykowe.

- Zlikwidujemy go? - zapytał czarodzieja, kiedy go dogonił.

Na mnie nawet nie spojrzeli.

- Nie! Ciągłe jeszcze może się przydać! - powstrzymał go młody mężczyzna. - Jak tak dalej pójdzie, za chwilę nie będziemy mieli w ogóle żadnych normalnych ludzi! Ktoś musi usadzić Negocjatora - mamrotał pod nosem.

Natychmiast zniknęli za rogiem korytarza i przez chwilę było słyhać tylko odgłos ich kroków.

Zacząłem szcząkać zębami, przecie mną pojawił się potwór, którego krótka obecność zmieniła doktora Krajcuka w nieczłowieka. Nie zdążyłem go ominąć, wyłonił się bezpośrednio ze ściany - prawdopodobnie siedł na skrótach. Przypominał mumię, która ożyła; pergaminowa, krucha skóra, głęboko osadzone oczy. Czaiło się w nich życie, ale nie byłem pewien jakie. W przeciwieństwie do innych ludzi, których do tej pory spotkałem, spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

Zostałem zdemaskowany.

- Trzeba pewnie robić ostry makijaż, żeby móc pchać się z takim ryjem między ludzi - zagadnąłem beznamiętnym głosem i położyłem dłoń na Zabójcy. Pod kwadratem sterylnej gazy był wymierzony dokładnie w mumię.

Przez chwilę zastanawiał się nad moimi słowami, a potem ruszył w swoją stronę, jakbym nagle przestał dla niego istnieć.

Nie, nie zostałem zdemaskowany. Jeszcze nie.

Zmierzał w stronę windy, a ja podążałem za nim, cały czas pchając wózek. Wyglądałem prawie jak pielęgniarka. Prawie. No cóż, lepszy zły kamuflaż niż żaden.

Żołnierz pilnujący windy odsunął się od mumii na dwa kroki. Mimo to widziałem, jak niekorzystnie wpływa na niego obecność tej przedziwnej istoty. Ja już się trochę do tego przyzwyczailem. Potwór odjechał, a mężczyzna nadal opierał się o ścianę, oddychając szybko, na jego czole perlił się pot. Zamarzający pot. Kiedy go otarł, krople zadzwoniły o podłogę.

Jak gdyby nigdy nic ściągnąłem windę i wjechałem z wózkiem do kabiny. Strażnik wprawdzie przez cały czas mnie widział, lecz albo ciągle był w szoku, albo nie dotarło do niego, kim jestem, albo uważał mnie za jednego z nich i chciał, żebym jak najprędzej zniknął. Fakt, ja też niewiele różniłem się od człowieka.

Pojechałem piętro wyżej. Panowała tam cisza, nienaturalna cisza. Brakowało bulgotu rur kanalizacyjnych, buczenia wentylacji i wszechobecnego szumu molekuł powietrza. Ciemność rozpraszało tylko przytłumione światło przenikające z zewnątrz przez wielowarstwowe okna. W oddali, na końcu korytarza, zauważyłem zbliżające się chwiejnym krokiem sylwetki. Ciągle miałem nadzieję, że jeszcze się czegoś dowiem przed ostateczną konfrontacją. Konfrontacja - to słowo z pewnością przypadłoby Micumie do gustu. Otworzyłem drzwi po lewej stronie - pomieszczenie na szczęście było puste. Zostawiłem wózek, wszedłem do środka i szybko zamknąłem za sobą drzwi. Oko histerycznie zaczęło zmieniać ostrość. Jego niemal paniczne operacje zmusiły mnie do pozostania w miejscu. Dopiero po chwili to zauważyłem: włókna snujące się powoli w powietrzu, babie lato rozkładu; wiązki lśniących nici gigantycznej pajęczyny, której miejsca zakotwiczenia znajdowały się gdzieś poza zasięgiem wzroku. Wszystko niewidzialne dla ludzkiego oka. Jeszcze niczego nie dotknąłem i nie miałem zamiaru tego zmieniać, nadal tylko się przyglądałem. Liny były splecione właśnie z tych włókien, niektóre z nich ginęły w ścianach albo w podłodze, inne wychodziły na zewnątrz oknem. Zadałem sobie ten trud i wyjrzałem na zewnątrz. Ciągnęły się nad Ostrawą - widmowa sieć spleciona w magiczne diagramy, gigantyczna, niepojęta i niknąca gdzieś w oddali, jakby starała się ogarnąć cały świat. Ten widok przytłaczał, skoncentrowałem się na bezpośrednim otoczeniu.

Jeśli nie liczyć przewróconego stołu, dwóch krzeseł i porozrzucanego sprzętu medycznego, pomieszczenie było puste. Jakby ktoś je opuścił w wielkim pośpiechu, wiedząc, że już tu nigdy nie wróci.

Podniosłem z ziemi skalpel, pohamowałem chęć zbadania włókien i rozkruszyłem ostrzem odrobinę tynku w miejscu, z którego wychodziła dziwna pajęczyna. Ściana rozsypała się tak samo, jakbym uderzył kamieniem w kryształ. Drobne odłamki

spadały nienaturalnie wolno i z brzękiem rozbijały się o podłogę, a potem wyparowywały, sycząc cicho.

Piękne zjawisko, czarujące - tak samo jak ostrze noża wnikające w serce. Stłumiłem dawne wspomnienie, razem z nim część swojej osobowości i nagle zacząłem się bać. To było przerażające, ogarniała mnie zgroza i nie wiedziałem, co mam o tym myśleć.

Ale dlaczego czułem strach? Przecież chciałem już to wszystko skończyć. Może bałem się, że to wcale nie będzie koniec, lecz początek nowej drogi, którą człowiek zaczyna, kiedy przejdzie przez piekło. Byłem lodowato spokojny, a jednocześnie trząsałem się ze strachu, Oko kilkakrotnie zmieniło ostrość z giganteskończoności do nanonieskończoności. Żeby się opamiętać, zacząłem drobiazgowo badać pomieszczenie.

Znalazłem stary telefon zasłonięty przez welon z włókien, jakby to coś chciało go przede mną ukryć. Wsunąłem kabel do gniazdka i zakręciłem korbką. Naprawdę bardzo stary telefon. Dlaczego znalazł się właśnie tutaj? Zakręciłem jeszcze raz i usłyszałem sygnał. Możliwe, że telefon działał.

Wykręciłem znany numer i udało mi się uzyskać połączenie.

- To ja. Szukam specjalisty, który by mnie przebadał.

- R. C, nigdy nie byłeś dowcipnisiem - poznałem podenerwowany głos Kuan Jin.

- Z godziny na godzinę jestem coraz lepszy - odpowiedziałem. - Chcesz wiedzieć, co do tej pory ustaliłem?

- Tak.

Po tonie poznałem, że zrozumiała.

- Przedtem musisz jednak wyjaśnić mi kilka spraw - postawiłem warunek.

- Wiem.

- Zdradziliście mnie - przypomniałem. - Dlaczego?

- Wy, ludzie, jesteście dziwni. Słabi i jednocześnie silni - zaczęła.

Słuchałem, rozglądając się po pomieszczeniu, z którego tych słabych i jednocześnie silnych ludzi wygoniła inna, śmiertelnie niebezpieczna moc. To dziwne - słyszeć w takim miejscu z ust bogini właśnie takie słowa.

- Raymond Curtis, twój brat, był niewyobrażalnie silny. Jakimś sposobem, którego do dzisiaj nie rozumiemy, zaczął nas wypierać, wyganiać z tego cudownie bogatego świata ludzi, choć sami nas tu wpuściliście. Zdołaliśmy się przed nim obronić.

Czułem za drzwiami pulsującą obcość, stopniowe ożywianie czegoś, co nie należało do tego miejsca. Kuan zorientowała się, że przestaje jej słuchać, i zamilkła.

- Co było dalej? - zapytałem, kiedy sytuacja trochę się uspokoiła.

- Potem pojawiłeś się ty. Jeździec nie wiadomo skąd. Nie mieliśmy pojęcia, kim jesteś, ale dzięki tobie siły się wyrównały. Już nie ustępowaliśmy przed natarciem ludzi, przed jednoczącą mocą, która wzmacniała ich i pozwalała nam się przeciwstawić. R. C, Rewers Curtisa, drugie oblicze przywódcy ludzi. Tak zaczęliśmy na ciebie mówić, zanim się zorientowaliśmy, kim jesteś naprawdę.

Ktoś zatrzymał się tuż pod drzwiami, pajęczę włókna błysnęły srebrzyście. Zaczęło być mi zimno, na szybach szafek lekarskich rozrastała się delikatna sieć pęknięć, słabe fale deformujące rzeczywistość zniewalały mnie.

- Razem z tobą zwyciężyliśmy. Stawałeś się jednak coraz silniejszy i potężniejszy, a jednocześnie coraz bardziej szalony. My chcieliśmy tutaj żyć, ty, powodowany nieprawdopodobną nienawiścią, chciałeś zniszczyć świat. Nie mogliśmy ci na to pozwolić. Nikt z nas, bogów, demonów i innych istot, nie byłby w stanie wrócić do swojej sfery. Świat w głębinach rzeczywistości jest tak nudny, szary, pusty...

Klamka pomału poruszyła się w dół, zatrzymała się jednak w połowie drogi, jakby ktoś po drugiej stronie drzwi się zastanawiał. O dziwo, nie byłem ani trochę spięty.

- I dlatego w końcu mnie zdradziliście - dokończyłem monolog Kuan.

- Nie mogliśmy cię zabić, ponieważ wszyscy złożyliśmy sobie przysięgę. Ty i ja, pozostali bogowie, najsilniejsze demony i inne najsilniejsze istoty głębokich sfer. Nie mogliśmy cię zabić, dlatego pozbawiliśmy cię pamięci, a większą część twojej osobowości zamknęliśmy na jedenaście magicznych zamków, najlepszych, jakie byliśmy w stanie stworzyć. I posłaliśmy cię w świat.

- Bez pamięci, bez wyrzutów sumienia, bez świadomości tego, czego się dopuściłem - powiedziałem cicho.

Powierzchnia drzwi się wydeła, jakby coś przez nie przenikało,

- Kim jesteś? - zapytałem i odłożyłem słuchawkę, zanim jeszcze usłyszałem odpowiedź. - Tutaj już nikt nie przyjmuje.

Przede mną stał doktor Krajcuk, a raczej to, w co się przetransformował. Jego wzrok błądził po pomieszczeniu, a to, na co spojrzał, rozlatywało się w lodowy pył.

- Człowiek - syknął. - Człowiek nie ma tu czego szukać!

Człowiek, też wymyślił, tak mnie lekceważyć. Byłem czymś więcej! A może mniej? Gdy jego wzrok spoczął na mojej piersi, chwyciłem Zabójcę i pociągnąłem za spust.

Huk wystrzału wstrząsnął salą, ogień zmasał Krajcukowi makijaż, a pocisk wypalił w nim dziurę w kształcie krateru.

- Człowieku, daremny twój trud - zbulgotał, ale chyba nie było z nim najlepiej.

Z korytarza dobiegł mnie dźwięk szybko zbliżających się kroków, mimo to znowu podniosłem słuchawkę.

- A jak tamte wydarzenia mają się do tego wszystkiego? - zdążyłem jeszcze zapytać.

- ...głębinowe sfery... twój brat... nie jest martwy... zanurzony w sarkofagu...

Więcej już nie usłyszałem, ponieważ znowu musiałem strzelać. Tym razem do uzbrojonego ochroniarza, którego kompozytowy pancerz pokrywały niezrozumiałe hieroglify i magiczne diagramy - z pewnością były to znaki zapewniające ochronę przed obecnością jego chlebobawców. Pierwszym strzałem z Margaret zmusiłem go do odwrócenia głowy, drugim - dekapitowałem.

Wybiegłem z gabinetu lekarskiego, echo strzałów ciągle huczało między murami, gdzie jeszcze przed chwilą panował bezruch. Zewsząd dobiegały odgłosy otwieranych drzwi, krzyk rozkazów, tupanie, wrzask i kłótnie zmieniające krew w żyłach w czerwony lód.

Zagrzmiały wystrzały, poczułem na plecach serię uszczypnięć. Odwróciłem się, zza rogu mierzyła we mnie czarna lufa ultranowoczesnego automatu. Potężny wystrzał z Margaret odrzucił go razem z kawałkiem ściany. Natychmiast pojawili się kolejni uzbrojeni ochroniarze. Wziąłem ciężki rewolwer, bębenek obrócił się trzykrotnie i już leżeli na ziemi. Włożyłem do komór nowe naboje, nabiłem Margaret.

- Musisz się dowiedzieć, co to jest, to coś, co stara się do nas przebić. - Pojawił się w powietrzu ognisty napis. - Jeśli to Pan Demonów z jakiegoś mroźnego subpiekła, mamy jeszcze szansę. Jeśli to istota...

Ogniste litery, przekaz od Kuan, rozsypały się, kiedy zmiotła je obca moc. Pośrodku korytarza zmaterializowało się coś, co kiedyś było człowiekiem. Wynędzniałe, poskładane z niekompatybilnych części ludzkiego ciała, wyglądało jak karykatura, parodia. Z otwartych ust wypełzło mu troje oczu na nerwach wzrokowych grubości palca, w pustych oczodołach zapłonęła zimna, niebieskawa luna. Cóż za urocza modyfikacja ludzkiej fizjonomii.

Bezpośredni atak to nie zawsze najlepsza taktyka. Już byłem w powietrzu, gdy niebieski płomień z sykiem oświetlił pas posadzki od potwora do miejsca, w którym przed chwilą stałem. Posadzka zniknęła, został tylko goły, popękany beton.

Zdałem sobie sprawę, że stoję - czy raczej wiszę na suficie głową w dół kawałek przed obcym. Strzeliłem, kiedy mnie zobaczył, natychmiast odbiłem się w kierunku ziemi - ale mimo to otarłem się o jego niebieskie spojrzenie. To było jak ukłucie lodowym ostrzem prosto w serce. Pierwszą kulkę Zabójcy odparował, druga jednak trafiła go w pierś, zaś trzecia pozbawiła czarujących pseudooczu. Przez chwilę kręcił się w kółko zdezorientowany. Zbliżyłem się i zakończyłem jego egzystencję. Nawet silny czarodziej nie oprze się działaniu ekspansywnego pocisku i porządnej dawce prochu strzelniczego.

Wstałem i ruszyłem w stronę klatki schodowej, z której dobiegał stukot pospiesznych kroków. To, do czego posłała mnie Kuan, najwyraźniej znajdowało się, na ostatnim, najwyższym piętrze. A ja byłem ciekawy. Naboje ładowałem po drodze. Przerywane oddechy, skrzywienie skóry, szelest materiału, tupot, trzaski zamków.

Było ich wielu, zbyt wielu. Obejrzałem się, na wózku za mną nadal leżał Greyson. Nadszedł jego czas. Schowałem Zabójcę do kabury, a Greyson, posłuszny mentalnemu rozkazowi, wleciał prosto do mojej dłoni. Gaza leniwie zsunęła się na ziemię.

Słyszałem, jak się ustawiają, jak uderzają kaburami, paskami o posadzkę i ściany, jak starają się przyjąć najlepszą pozycję. Przyłapałem się na tym, że się uśmiecham. Może tego właśnie chciałem. Z pewnością. Ich było wielu, ja sam. Z drugiej strony mnie trochę trudniej zabić niż normalnego człowieka. Mieliśmy równe szanse.

Położyłem palec na spuście, gdy zagrzmiała pierwsza seria.

- Sami zaczęliście - zwróciłem im uwagę; z pochyloną głową ruszyłem naprzeciw wzmagającemu się zalewowi ołowiu i oddałem pierwszy strzał.

To nie był tylko ołów, stal i zubożony uran. Wbijały się we mnie czary wszystkich możliwych gatunków i typów, rozrywały moje tkanki, pożerały mięso, siłę.

Granat eksplodował. Setki poszarpanych odłamków wirowały w powietrzu, szukały celów, wybierając najmniej chronione części ludzkich ciał albo z uporem przebijając pancerze. Mnie omijały. Oto korzyści, jakie płyną z samodzielnej produkcji amunicji.

Kolejny granat. Na nieszczęśników przede mną kapał napalm, drzwi i ściany zapłonęły, niektórzy krzyczeli z bólu i niczym żywe pochodnie zwiastujące moje nadejście rzucali się do ucieczki. Inni ciągle trzymali się na swoich pozycjach i nie przerywali ognia.

Oko po bezpośrednim postrzale nieudolnie zmieniło ostrość. Kolejna seria kul i magii. Skuliłem się, brnąłem prosto w kierunku przybierającego na sile źródła ognia.

Potem przysłała kolej na amunicję napełnioną mocą, której działanie opierało się na nicości. Każdy strzał wstrząsał rzeczywistością, wyrwał kawałek mnie, pozostawiając ziejącą dziurę, której nic nigdy nie zdoła wypełnić.

Greyson wyrzucił z siebie już wszystko, co mu leżało na sercu, napalm kapał z sufitu, odłamki uparcie świszczały w powietrzu. Czemu wciąż stawiali mi opór? Widocznie nie byli zwykłymi ludźmi.

Znikałem w nieprzyjacielskim ogniu pożerającym rzeczywistość, ale uparcie parłem do schodów prowadzących na ostatnie piętro. Margaret z Zabójcą zgodnie pluły w stronę nieprzyjaciół płomieniami, zatrzymywałem się tylko wtedy, gdy musiałem na nowo załadować amunicję. Staralem się nie zauważać, jak szybko pustoszeje mój pas na naboje.

Seria granatów przeciwko mnie. Dwa odesłałem nadawcom kopniakiem, jeden chwyciłem zębami i odgryzłem spłonkę, zanim zdążył eksplodować, jednym dostałem i wtedy wybuchł. Większość mojego ubrania odeszła w niepamięć.

Chwiałem się, otoczony ekspandującą kulą ognia, ostrzał był coraz słabszy. Zakładali, że poległem. Nie, jeszcze nie; tylko strasznie bolało. Czas biegł nieprawdopodobnie wolno, wynurzyłem się z chmury dymu ze świeżo nabitą bronią.

Patrzyli na mnie, przesiąknięci strachem aż do szpiku kości, roztrzęsieni, widziałem ich twarze za tarczami kuloodpornymi z polaryzowanego szkła, czułem szybko walące serca, pulsującą krew, gorączkowo rozbiegane myśli. Wycelowałem Margaret w tego, który tak trafnie rzucił granatem. Ból w brzuchu był obezwładniający, ale lata doświadczeń sprawiły, że zdążyłem się przyzwyczaić.

- Naprawdę muszę zabić was wszystkich? - zapytałem cicho.

Ogień wokół nas powoli dogasał. Coś się zbliżało, słyszałem pęknięcie szyb w oknach. Oni jeszcze nie.

- A dlaczego miałby pan nas oszczędzić? - zapytał mężczyzna, w którego wycelowałem.

Kłęczał w pozycji strzeleckiej, ale lufę karabinu ze zintegrowanym miotaczem granatów trzymał skierowaną ku podłodze.

- Ponieważ muszę oszczędzać naboje.

Był gotowy na śmierć, sądził, że zaraz zginie. Moja odpowiedź zaskoczyła go jednak, uwierzył mi, choć spoglądał prosto w czarny wylot lufy.

- Masz telefon? - zapytałem.

Wciąż zdezorientowany podał mi plastikową zabaweczkę. Technologia z czasów tuż przed Krachem.

- Działają w okolicy szpitala, mamy je zamiast krótkofalówek.

- Zabierajcie się stąd - pokazałem im schody - i nie zapomnijcie o pozostałych.

Ostatnich sześciu żywych podniosło się, wzięło tylu rannych, ilu tylko zdołało, i oddaliło się pospiesznie.

- Zbawiciel - słyszałem, jak mamrotał jeden z nich, przyglądając mi się z wyraźną ulgą.

- Trochę zbyt mroczny jak na zbawiciela, co nie? - Uśmiechnąłem się szeroko.

Czułem, jak odrastają mi wybite zęby. Nawet nie zauważyłem, kiedy pozbyłem się poprzednich.

Kiedy wybierałem numer do Kuan, zgasły ostatnie ognie, napalm zamarzył, w powietrzu zmateriałizowały się drobne płatki.

- Kto mówi? - poznałem zaniepokojony głos bogini miłosierdzia.

- To ja, Mroczny Zbawiciel. Właśnie dostałem nowe imię.

- Nie takie znowu nowe - poznała mnie w końcu. Pewnie seplenilem przez te cholerne zęby.

- Ciągnie się za tobą już od pewnego czasu.

- A co z moim bratem? Nie zabiłem go? Telefon zaczął pikać. W coraz większym mrozie baterie szybko się wyczerpywały.

- Nie. Nie pozwoliliśmy ci na to - odpowiedziała. - Ze względu na przysięgę nie mogliśmy cię zabić, ale nadal się ciebie baliśmy, nawet zamrozonego. Ciągłe istniało ryzyko, że wrócisz i będziesz się starał zniszczyć świat. Wtedy, pod Sewastopolem, prawie ci się udało.

Bateria po raz ostatni wydała dźwięk, ale połączenie jeszcze się nie skończyło. Jeszcze tego nie chciałem.

- Twój brat jest do ciebie podobny, macie tę samą siłę. Choć nie czerpał jej z nienawiści, zdołał stawie ci opór. Wilhelm Waard wydał nam Raymonda Curtisa, a my zamknęliśmy go w sarkofagu i zanurzyliśmy w Głębinie, by móc kiedyś wyciągnąć... gdybyśmy musieli użyć go przeciwko tobie.

Każda kolejna informacja łączyła się z poprzednią w zaskakujący, a mimo to całkiem logiczny obraz.

- Po włóknach rzeczywistości, które wiążą sarkofag z naszym światem, teraz wspinają się oni - dokończyłem. - Wybrali sobie miejsce, gdzie połączenie jest najsilniejsze, gdzie urodził się Raymond Curtis.

- Tak - potwierdziła Kuan. To jedno jedyne słowo zawierało w sobie ocean goryczy.

Wróg się zbliżał. Nie musiałem go szukać, wystarczyła mi zmiana pulsu, przedstawiające ostrość Oko, cichnący tykot atomów naszego świata. Ale musiałem zapytać o coś jeszcze.

- A jak głęboko go zanurzyliście?

- Tego nikt nie wie - szepnęła. - Najgłębiej jak się dało.

- Patrz moimi oczami - poradziłem jej i wyłączyłem telefon.

I tak się wyładował.

Mojego brata zdradził człowiek, jeden z tych, za których walczył. Mnie zdradzili bogowie, demony i cała reszta. Ktoś mógłby powiedzieć, że walczyłem za nich. Zaśmiałem się. Ja zawsze walczyłem tylko za siebie. Całe życie byłem sam i tak już miało pozostać do końca.

Zbliżali się, czułem ich obecność niczym brzeszczot z helu wbity głęboko w serce.

Trzej czarodzieje. Pierwszy na pozór ludzki, drugi - skrzyżowanie zjawy z czymś, czego nie potrafiłem nawet nazwać, ostatni zaś - pozszywaniec, połączenie upiora z nocnym koszmarem postkrachowego technologa.

- Miałem nadzieję, że pojawi się ktoś, z kim walka będzie zaszczytem. Póki co same nudy - przywitałem się uprzejmie i zacząłem strzelać.

Wchłonęła ich ściana ognia, nie zakładałem jednak, że na tym się skończy.

Ostatni ryk Zabójcy, ostatnie słowo Margaret. Odłożyłem wiernych towarzyszy na podłogę, chwyciłem Nóż i ruszyłem na czarodziejów.

Wpadłem na ścianę magii skoncentrowanej do tego stopnia, że miała na wpół materialną strukturę. Nie przebiłem się, napałem na nią trochę mocniej i zacząłem dźgać przestrzeń Nożem. Zapłonął, kurtyna czarów została rozcięta; pętla, która miała mnie skrepować, pękła chwilę potem. Sieknąłem osłabioną strzałem zjawę ognistym ostrzem. Osłona Noża zmieniła się w eliptyczną, wypukłą tarczę, od której natychmiast odbiła się dawka energii. Czarodziej padł na ziemię, jego ciało szybko wiotczało, aż wreszcie upodobniło się do pustego worka. W kolejnej potyczce już nie weźmie udziału.

Stałem na suficie głową w dół, pozostali czarodzieje patrzyli na mnie wzrokiem wytoczonym z woli i prymarnej materii świata. Moje amulety, zabawki w porównaniu z potencjałem ich sił, brzęczały alarmująco. Czulem złośliwe wibracje powietrza poddającego się przygotowywanym czarom. Nóż, a raczej miecz z dwumetrowym ostrzem, które mieniło się białym blaskiem i szerzyło wokół siebie aurę zagłady, drżał w mojej dłoni.

Odbiłem się od sufitu prosto na nich, beton za mną wybuchł. Sieknąłem rękę półczłowieka, burzone magiczne zapory eksplodowały mi prosto w twarz, a ich energia rozbijała się na ostrzu. Zacisnąłem dłoń na rękojeści, po czym gwałtownym pchnięciem rozwiniętych na całą długość Kleszczy przejechałem nimi po twarzy technoupiora. Trafiłem go, z rany trysnął zimny ogień. W ich żyłach nie krążyła krew. W moich i owszem. Przynajmniej na razie.

Nóż w zetknięciu z antyczarem zawył. Pchnąłem, wyteżając wszystkie mentalne i fizyczne siły, ale nawet nie drgnął.

Moment zaskoczenia minął. Pomagając sobie Kleszczami wbitymi w przeciwległą ścianę, umknąłem przed niebiesko-białym ostrzem, a potem przeciąłem je krótkim cięciem.

Technoupiór wlepił we mnie morderczy wzrok, połowa jego twarzy ciągle płonęła.

- Człowiek z ramieniem demona, ciekawe - skomentował.

Nawet nie spojrzął na swojego towarzysza, lecz do ataku ruszyli jednocześnie.

Pierwszej parze macek lodowego ognia wymknąłem się, drugą odbiłem, zakrywając się mieczem, po czym rzuciłem się na nich - prosto w źródło świetlistych wystrzałów.

Dostałem w nogę. Odmówiła mi posłuszeństwa, nie broniłem się przed upadkiem, tylko przetoczyłem na bok, usiłując równocześnie bronić się i zadać cios przeciwnikowi. Udało mi się to tylko częściowo, w zdobytą tym sposobem sekundę podniosłem się na kolana.

Znowu macki lodowego ognia. Osłaniałem się Kleszczami i kontratakowałem, aż ostrze Noża rozżarzyło się jeszcze bardziej i zaczęło mnie oślepiać. Skorupa lodowa wokół niego rosła, pękała i rosła na nowo. Ciąłem, kłułem, a mimo to czarodzieje byli coraz bliżej i coraz więcej energii rozbijało się na tarczy, którą tworzyła osłona Noża.

Wycofywałem się, choć zdawałem sobie sprawę, że to oznacza koniec - jeśli nie dobiore się do ich ciał, nie połamię kręgosłupów albo nie wyszarpię serc, prędzej czy później mnie zniszczą.

Nie miałem szans, nie potrafiłem przejść do kontrataku, tylko dalej karmiłem Nóż swoją siłą. Dawałem mu jej tyle, ile potrzebował, by stawiać opór. Czułem, jak mikroskopijne cząsteczki nicości wytworzone przez ochronny czar rozrastają się i łączą, tworząc coraz to większe i większe przepaście, które stopniowo mnie pochłaniały.

Nagle zaatakowali jeszcze zacieklej, dosłownie zepchnęli mnie kilka metrów do tyłu w stronę ściany. Nie miałem miejsca, żeby się ruszyć.

Oko, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji, szaleńczo przybliżało i oddalało obraz, Kleszcze kierowane zarówno moimi myślami, jak też własną inteligencją pomagały Nożowi i w ostatniej chwili blokowały ciosy, których coraz częściej nie byłem w stanie odparować.

Jeszcze sekunda i mnie dorwą.

Opuściłem tarczę, uspokoiłem Nóż i na ułamek wieczności zostałem bez obrony. Zanim przytłoczyła mnie lawina śmiertelnej energii, rzuciłem się przed siebie. Beton wybuchł, lecz nie wskutek działania czaru, tylko mojego odbicia. Leciałem w powietrzu, Nóż zmieniony w pięciometrową kopię torował mi drogę.

Owiał mnie podmuch zagłady, niszcząc kolejną część mojego ja, ale wyrwałem się z potrzasku i nabiłem na kopię głowę półludzkiego czarodzieja. Upadłem na ziemię, przeturlałem się, ale nie wstałem - nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Leżałem na brzuchu, z ręką na głowni zwyczajnego narzędzia ze zwyczajnej stali.

Wyczerpany, pusty, u kresu sił.

Technoupiór pomału zbliżył się do mnie. Jego organizm już poradził sobie z raną, którą odniósł na początku starcia. Słyszałem buczenie agregatów wspomagających. Dzięki nim cielesna powłoka czarodzieja mogła unieść ogromną, wypożyczoną mu moc. Zdradziły mi to amulety i ta część mojego ja zmieniona przez demona i życie, którego ciągle jeszcze nie mogłem sobie przypomnieć.

- Przegrałeś - oznajmił zimno technoupiór, przyglądając mi się z zainteresowaniem. - Przegrałeś, chociaż bardzo mnie... zaskoczyłeś.

Trochę się zawahał, jakby nie do końca do niego docierało, co właściwie znaczy być zaskoczonym.

Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej tracił swój pierwotny wygląd. Oko ukazywało mi go w postaci wirujących, niezwykle silnych skupisk energii. W rzeczywistości był martwy czy może żywy w jeszcze mniejszym stopniu niż ja. Jeszcze zanim się zmienił... zanim coś go zmieniło, był potężnym czarodziejem. Teraz

potrzebował całej swojej mocy do opanowania tej nowej, otrzymanej. Sama jego obecność sprawiała, że z trudem oddychałem.

- Mam nie kończyć twojej egzystencji - oznajmił w pewnym momencie.

Nie potrafiłem wyczuć, czy niesmak w jego głosie był prawdziwy, czy tylko go sobie uroiłem.

Dźwięk niemożliwy do przeanalizowania przez ludzki mózg wbił mnie w ziemię.

- ...wysłaniec wie, do czego cię wykorzystać. Chce cię widzieć - przetłumaczył mi polecenie swojego pana.

- Ale ja nie chcę widzieć jego - warknąłem i nagle wstałem.

Wcześniej czerpałem siły z nienawiści. Byłem w stanie zgładzić dziesiątki, setki milionów ludzi i zniszczyć świat - zrobiłbym to, gdyby nie Kuan i kilka innych istot, które mnie w ostatniej chwili powstrzymały. Teraz nienawidziłem już tylko siebie. Marzyłem o autodestrukcji.

To było tak jak zwiększenie napięcia do granic możliwości, jak pozwolenie, by materia i antymateria połączyły się, pozyskanie wszelkiej istniejącej energii i wykorzystanie jej w tym samym momencie.

Nóż przetransformował się w miecz i rozblęsnął czarnym światłem, rozległy się ciche i delikatne trzaski ciemnych iskier skaczących na powierzchni ostrza. To nie były wyładowania elektryczne, lecz sama rzeczywistość sfery.

- Ciekawe - powiedział technoupiór, a ja zaatakowałem.

Częściowo udało mu się uniknąć cięcia, zrobił skłon i to go uratowało, ponieważ ostrze przebiło magiczny pancerz. Nie dałem mu czasu na zorientowanie się w sytuacji. Napierałem, przypuszczałem atak za atakiem, zmuszałem technoupióra do odwrotu schodami na górę, a jednocześnie karmiłem Nóż siłą i mocą bez jakichkolwiek ograniczeń. Czerpałem je z własnej nienawiści, nie dbałem o to, co będzie potem, kiedy już się wyczerpią. Beton pod naszymi nogami kruszył się, ściany pękały, a tam, gdzie nie zostały wzmocnione magicznym spoiwem, rozpadały się w proch.

Na samej górze skomplikowane czary zawiodły i technoupiór musiał podjąć prymitywną walkę. Teraz również on trzymał w dłoni miecz z niebieskiego lodu, z trzymetrowym ostrzem przecinającym ściany i elementy nośne budynku, jakby były z papieru.

Nóż już nie mruczał, lecz warczał niczym ogromny drapieżnik z pradawnych czasów. Technoupiór wyprowadził pchnięcie. W porę odskoczyłem, a potem zrobiłem

przewrót w tył, podczas gdy jego broń błyskawicznie przetransformowała się w giętki bicz.

Stałem na suficie, pochylony, ciężko oddychałem i obserwowałem przeciwnika. Jego systemy wspomagające płonęły. Musiał przyjmować coraz większy napór mocy, wewnętrzny ogień unaocznił sieć jego tętnic i żył, a mimo to nie wyglądał na zmęczonego. Raczej na nieusatisfakcjonowanego, o ile w ogóle można było cokolwiek odczytać z jego zmienionej technologią i odniesionymi ranami twarzy.

Byłem zmęczony, śmiertelnie zmęczony i pusty. Wiedziałem jednak, po co sięgnąć. Znowu otworzyłem drzwi prywatnego piekła i zdałem się na siłę nienawiści.

Seria szybkich ataków i kontrataków, potem ostrze oparło się o ostrze, w niepewnej równowadze przepychaliśmy jeden drugiego, lód przeciwko płomieniowi. Nóż czerpał ze mnie moc i razem walczyliśmy w tej samej sprawie.

Technoupiór nie ustąpił nawet o centymetr, nawet o milimetr, nawet o średnicę jednego atomu. Do jego oczu wkradło się jedynie coś przypominającego podziw czy zaskoczenie. Przepelnione żywym ogniem żyły i tętnice nagle rozbłysły prawie jak słońce. Uśmiechnąłem się szyderczo - ktoś we mnie uśmiechnął się szyderczo - i przekazałem Nożowi kolejną dawkę energii, ale ten i tak wziął więcej, niż zamierzałem mu dać. W gładkim niczym lustro ostrzu miecza odbijała się twarz przeciwnika - zdeformowana wysiłkiem i nieskończoną nienawiścią. Technoupiór zawył, żyły na jego czole zaczęły pulsować, żółty ogień zmienił się w niebiesko-biały, potem skóra pękła i pochłonęły go płomienie.

Padłem na ziemię. Patrzyłem na rozplywającego się potwora i czekałem, aż sam się rozsypie. Czulem, że jest we mnie zbyt dużo nicości, bym przeżył, ale w sam raz, bym zakończył egzystencję.

- Wstawaj, podnieś się! Muszę wiedzieć, co albo kto tu się dostał - w mojej głowie rozległ się głos Kuan.

- *Sama zobacz* - odparłem w myślach. Nie miałem siły, żeby mówić. Wiedziałem jednak, że Kuan mnie słyszy. Moje serce biło coraz wolniej, nadchodził koniec.

- Nie mogę. Każde z nas, które się teraz tam uda, natychmiast zniknie. To już nie jest nasz świat, to rzeczywistość, którą to coś przyniosło ze sobą - wyjaśniła.

- *Nie zależy mi na was, nie zależy mi na nikim. Czekam na śmierć* - oświadczyłem milcząco.

Kolejne uderzenie serca. To już nie był puls, tylko powolne, umęczone drżenie.

- Okłamujesz sam siebie - ogłosiła i zamilkła.

Miała rację. Nie byłem już starym, dobrym R. C, Rewersem Curtisa, rewersem lśniącego awersu. Byłem struty, osłabiony, zmieniony przez życie, które wiodłem bez pamięci.

Nienawiść ożyła, już nie niszczącym płomieniem mocy, lecz zwyczajnym, kopącym, ledwo tłącym się żarem. To wystarczyło. Serce zaskoczyło, płuca po dłuższej przerwie napęliły się powietrzem. Od celu dzielił mnie już tylko kawałek drogi. Nic prostszego.

Ruszyłem pustym korytarzem w kierunku drzwi ozdobionych girlandami lodu. Wystarczyło je otworzyć. Padał śnieg, z każdą chwilą coraz więcej. Każdy oddech był jak szpikulec wbity w żywe mięso.

Monitor wideofonu zawieszony na ścianie rozbłysnął, pojawił się na nim niewyraźny obraz Kuan. Obok stała jej siostra.

- Weź kamerę, nie możemy już patrzeć twoimi oczami. To by nas zniszczyło.

Jej głos dobiegał z daleka, ze świata, do którego już nie należałem.

Machinalnie ściągnąłem kamerę ze stojaka, zrobiłem kilka ostatnich kroków w stronę drzwi i otworzyłem je.

Na pierwszy rzut oka ogromna, pogrążona w półmroku sala wydawała się pusta. Po chwili dostrzegłem, że większość miejsca zajmuje przypominający wypukłą soczewkę obiekt, którego obślizgłą powierzchnię marszczyły powoli przepływające fale. Dookoła na hakach wisiały ludzkie ciała, a raczej łupinki, okrycia, które zostają po ograbieniu ciał ze wszystkich organów - i duszy.

Cofnąłem się, nie byłem w stanie znieść zimna panującego w tym pomieszczeniu. Powietrze, które dostawało się do środka przez otwarte drzwi, zmieniało się w mgłę, a potem w płatki śniegu.

Na powierzchni obiektu powstała większa fala i ruszyła w moim kierunku. To coś już wiedziało, że tu jestem, poczułem, jakby ktoś zarzucił mi na plecy tonę żelaza. Fala oddzieliła się od obcego obiektu i wpełzła do jednej z ludzkich skór.

- Już prawie tutaj jest - usłyszałem przerażony głos Kuan Jin.

- Larwa już się wylęgła - przytaknęła Kali.

Jakimś sposobem Kuan wciąż była we mnie. Czułem ich przerażenie wywołane odkryciem, którego dokonały.

Fala materii wypełniła ludzki korpus i uformowała go na kształt prawdziwej postaci. Od dawna martwy człowiek uniósł rękę, by sprawdzić, jak najłatwiej zejść z haka, na którym powieszono go za żebra.

- Jest gorzej, niż myślałam. Musimy to zniszczyć albo będzie po nas. Po nas wszystkich, zginie cały ten świat.

Słyszałem głos bogini miłosierdzia, ale wiedziałem, że nie zwraca się do mnie, tylko do tych wszystkich, którzy razem z nią obserwowali rozwój sytuacji.

Było mi wszystko jedno. Właśnie dotarłem do końca swojej wędrówki.

Stworzenie w ludzkiej skórze już wiedziało, jak się uwolnić. Rękoma chwyciło łańcuch, podciągnęło się, poruszając tułowiem, wysunęło z niego hak i opuściło się na ziemię. Spadło na sam brzeg wypukłego jeziora obślizgłej galarety, ześlizgnęło się po niej i rozpląsało na ziemi. Przez kilka pierwszych sekund nie miało pojęcia, jak właściwie korzystać się z kończyn, jak się na nich poruszać, jednak bardzo szybko się uczyło. Pożyczona skóra pozwalała mu korzystać z ludzkich zdolności i umiejętności. Mądre i praktyczne rozwiązanie.

- Musimy zniszczyć cały budynek i wszystkich w środku. Również tych, których tylko dotknął - kontynuowała gorączkowo Kuan.

Nagle zobaczyłem to, co widziała ona: czarodziejów, demonów, bogów zgromadzonych wokół budynków szpitala; istoty, których moc przekraczała możliwości ludzkiej wyobraźni, istoty, które drżały z przerażenia.

- Musimy zaatakować wszyscy razem, wspólnymi siłami. Nie ma czasu na dyskusje - ciągnęła Kuan.

Stworowi wreszcie udało się wstać. Nagle czułem się zupełnie inaczej, obecność tej nienaturalnej istoty zmieniała mnie, a jednocześnie zaczynałem rozumieć, do czego obcy potrzebował ludzi. Świat na zewnątrz był dla niego zabójczy, rzeczywistość sama w sobie nie pozwalała mu żyć. Nie przynależał do niej, nie rozumiał jej. Jednak dzięki różnym urządzeniom i pachołkom, którym wszczepiał cząstkę siebie samego, mógł wywierać na nią wpływ, dostosowując ją do swoich potrzeb, zmieniać jej istotę tak, by w końcu stała się jego rzeczywistością - wykluczającą istnienie człowieka w jego pierwotnej postaci.

- Teraz - Kuan wydała komendę.

Brzmiało to jak zwykły szelest, cały szereg postaci wokół szpitala padł na ziemię. Na powoli marszczącej się powierzchni obiektu uniosła się leniwa fala, zmieniła w lejek, wessała coś niewidzialnego i znowu spłynęła w pierwotną formę.

Nie miałem pojęcia, co dokładnie się stało, ale jedno było jasne - atak się nie powiodł. Z przerażającą pewnością wiedziałem, że wielu bogów i innych istot na

zewnątrz właśnie zginęło, a obcy wymazał ich ze wspomnień, historii, fundamentów całego świata, jakby nigdy nie istnieli.

- To ten mróz - usłyszałem znajomy głos. - Stanowi przejście, dziurę do jego świata. Do Głębiny. Wysysa wszystko, transformuje, a potem wykorzystuje do swoich celów.

Znałem ten głos.

- Widziałem, jak to się odbywa - kontynuował ciągle beztroskim tonem.

Wyobraziłem sobie chłopinę w pstrokatej koszuli, który tak dobrze sobie radził ze śliwownicą. Nagle, nie wiedziałem już, co tu właściwie robię. To była ostatnia wyłącznie moja myśl. Bez ostrzeżenia zalała mnie lepka materia, z której emanował paralizujący mróz. Zmieniała mnie, tak jak bliskość obcego. Nie podobało mi się to, ale wiedziałem, że nieprzyjemne uczucie z czasem minie, a ja powitam transformację z otwartymi ramionami.

Próbowałem odejść, by ograniczyć hipnotyczny wpływ istoty z głębinowej sfery, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Już nad nimi zapanował. Stwór obleczony w ludzką skórę pomału zbliżał się do mnie. Początkowo z trudem utrzymywał kierunek, jednak z każdym krokiem radził sobie coraz lepiej.

- Ognisko! Gdyby tak dał pan radę rozpaść ognisko i troszeczkę go ogrzać... może by mu się spodobało - zastanawiał się mój stary znajomy, Maxwell, o ile dobrze pamiętałem.

- Wykorzystałem całą swoją moc, nawet iskry tam nie wykrzeszę - rozległo się w odpowiedzi. Poznałem głos największego z demonów ognia.

Moje własne myśli przedzierały się przez mgłę zapomnienia jak przez ciekły asfalt. Pomału i z oporami.

- Ja bym wykrzeszał - przemówiłem w końcu. - Potrzebuję Greysona i torby z amunicją. Mam w niej jeszcze dwa granaty.

Na razie jeszcze dawałem radę.

- Kilka granatów, też mi - burknął ktoś pogardliwie po lewej stronie Kuan.

Moja świadomość zaczynała mętnieć, lekko, jak po uderzeniu kijem w głowę. To jednak wystarczyło, bym zaczął tracić wewnętrzny wzrok i miał problemy ze zrozumieniem, co się właściwie dzieje.

- Przynieście mu to - poznałem głos Kali.

Czas uciekał, obcość gęstniała. Już się nie bałem, byłem tylko ciekawy dalszej przemiany.

Nagle usłyszałem kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem Evelyn. Wyglądała na przerażoną, szła w moim kierunku, przechylona pod ciężarem miotacza granatów na jedną stronę. Towarzyszył jej Maxwell, w ręku niósł torbę z amunicją. Przewidział, jak się rozwinie sytuacja? Pewnie tak. A jeśli nie, wówczas przeniesienie torby z miejsca na miejsce w ułamku sekundy nie stanowiło problemu. Demon mikroświata. Ciągłe miał na sobie tę pstrokatą koszulę. Nawet tutaj, na progu mroźnego piekła, wyglądał, jakby mu było gorąco.

- Bydlaki - zakląłem na głos.

Fala wściekłości wyrwała mnie częściowo z otępienia.

- Nie. - Evelyn pokręciła głową. - Potrzebują pomocy, Kuan mnie poprosiła.

- Nie powinnaś tu przychodzić - wycedziłem.

Bogowie zawsze znajdują jakiś sposób - grożą, obiecują, szantażują, proszą. Nie można im wierzyć, nigdy.

- Nie powinnaś.

- Potrzebujesz pomocy.

Zbliżający się potwór przystanął, tak jakby zauważył, że coś się zmieniło.

- Pospieszcie się, szanowna młodzieży. Co prawda nie jestem przewrażliwioną panią jak reszta hałastry - wyluzowany demon Maxwell wskazał za siebie - ale przyjemnie to tu nie jest.

Evelyn podała mi Greysona. Demon otworzył torbę, żebym mógł sięgnąć po naboje.

- Już teraz balansuję na granicy obowiązujących zasad - mruknął niezadowolony.

Zmieniony przez obcego, postrzegalem jego demoniczną istotę jako twarde niczym granit jądro opatulone ludzką watą. Spojrzałem na niego krótko, ściągnąłem papier zapisany symbolami ochronnymi i szybko włożyłem nabój do komory.

- Pospiesz się - poradził mi. - Będę się musiał nieźle uwijać, żeby nam to cudeńko nie wybuchło przedwcześnie.

Dobrze wiedział, jakiej amunicji zamierzam użyć.

- Umrzesz, Evelyn - oznajmiłem.

Dlaczego zawsze umierają ci, którzy najmniej na to zasługują?

- Możliwe - przyznał Maxwell.

Rozpakowałem również drugi nabój. Kiedy znalazł się w pobliżu miotacza granatów, w powietrzu powstała niebieskawa zorza. Widziałem ją bez względu na to,

w którym kierunku patrzyłem. Generowały ją wysokoenergetyczne cząsteczki promieniowania gamma, niszczącego siatkówkę oka. W rzeczywistości nie istniała.

- Mroczny Zbawicielu - odezwał się wideofon.

Rozpoznałem głos boga walki, jednego z nowocześniejszych.

- Masz plutonowy ładunek wybuchowy.

Przytaknąłem.

- Ale to nie wystarczy, nie wystarczy nawet na mnie. To nie ma sensu.

- Poczekaj, cieniasie - wmieszał się do rozmowy mój wyluzowany towarzysz. - Nie chcemy go zabijać, to już wasza broszka. My tylko rozpalimy ognisko. Zrobimy to, jakim Maxwell!

Demon Maxwell, Pan Mikroświata, Pan Cudów, najbardziej nieobliczalna istota we wszechświecie. W końcu dotarło do mnie, co potrafi i jaką ma wiedzę.

Stwór w ludzkiej skórze znowu ruszył w moją stronę, tym razem szybciej, jakby węszył niebezpieczeństwo. Na nagle niespokojnej powierzchni obiektu unosiły się wyższe i szybsze fale, ciecz gęstniała, moje myśli gasły. Wiedziałem, że zrobię to albo natychmiast, albo nigdy.

Ale co? Nie byłem pewien. Spojrzałem na Evelyn. W jej oczach odbijała się galaretowata lepkość stwora. Już nie była człowiekiem.

Uniosłem Greysona i wystrzeliłem, Oko ustawiło ostrość i wyznaczyło właściwą trajektorię. Poprawiłem kąt o trzy stopnie, dwadzieścia minut i cztery sekundy i pociągnąłem za spust. Drugim nabojem trafiłem w pierwszy, gdy ten znajdował się w najwyższym punkcie lotu, tuż pod sklepieniem.

Maxwell zniknął. Dzięki pobudzonym zmysłom obserwowałem, jak w swojej rzeczywistej postaci z entuzjazmem chwyta neutrony, fotony, nie pozwala im się ulotnić i odsyła z powrotem do piekła nadkrytycznego stężenia plutonu. Reakcja łańcuchowa już się zaczęła, coraz silniejsza, jednak dzięki staraniom demona materiał rozszczepialny nie został rozproszony.

Z powierzchni potwora uniosła się kilkumetrowa fala i starała się ugasić, zmrozić eksplozję. Demon, zamiast chronić powstałą kulę ognia, rzucił ją prosto do cieczy, a potem jakby ścisnął w jeden punkt. Rozszczepienie przeszło w syntezę, nuklearne słońce ostatecznie zapłonęło. Wokół nas strumienie wody materializowały się i wpadały do termojądrowego paleniska. Żar i ciśnienie rozkładały tlen i wodór na nukleony. Protony i neutrony łączyły się, tworząc jądra deuteru i helu, a powstająca przy tym energia osiągała poziomy niewyobrażalne dla ludzkiego umysłu. Mimo to

nie doszło do eksplozji, nuklearne palenisko zmagало się z zimnem z Głębin. Przez długie sekundy nic się nie zmieniało. Jednak nie doszło do obrócenia w popiół wszystkiego, co było w pobliżu, siłą miriad wodorowych bomb. Powstałe słońce płonęło zamknięte w ciele obcego, który starał się ugasić je za wszelką cenę.

Ale Maxwell nie opadał z sił. Zamiast strzec ogniska przed zimnem stwora, ścisnął go coraz bardziej i pozwalał mu pochłaniać materię obcej rzeczywistości całymi oceanami. Potem pomału, niewiarygodnie pomału, temperatura podniosła się o jeden stopień, mikroskopijny żarzący się punkt przestał migotać i zaczął się rozrastać.

Ciągle na wpół zamroczony, z myślami częściowo zmaconymi przez obcego, patrzyłem, jak rtęć w termometrze na korytarzu pomału zaczyna się unosić. Śnieg topniał.

- Jestem przy blisko pięciuset pięćdziesięciu stopniach, wystarczy? - rozległ się bełkotliwy głos demona, gdy już minęło pół wieczności. - Zresztą musi, więcej nie będzie! - odpowiedział sam sobie.

Słońce zgasło, a wraz z ciemnością przyszedł wszechogarniający malstrom zagłady. Widziałem, jak obcy ustępuje, zabierając ze sobą tę cząstkę mnie, którą zdążył opanować. Przy ostatnim powiewie pociemniało mi przed oczami, cały świat zniknął.

Kiedy wrócił, zorientowałem się, że unoszę się jakieś dwieście metrów nad ziemią w towarzystwie demona i Evelyn.

Wiatr zniósł nas delikatnie na wypaloną ogniem połoninę.

Znowu byłem panem własnych myśli. Zostałem jednak na miejscu, nie do końca pewny, czy mam władzę w nogach. Jedną ręką podpierałem Evelyn, czułem się, jakbym próbował unieść pół świata. Ale dałem radę. Stopniowo dochodziła do siebie. Maxwell zniknął, zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać. Nigdzie nie zagrzewał miejsca na dłużej, taki nawyk.

Rozglądałem się powoli, wodząc wzrokiem po twarzach tych, którzy zgromadzili się, żeby walczyć z mieszkańcem Głębin. Tak łatwo mógł zmienić, zniszczyć cały ten świat. Jeśli czuli jakąś dumę ze zwycięstwa, nie dawali tego po sobie poznać. Wyglądali na wyczerpanych. Ja jednak nie. Ciągle żyłem, obok mnie stała Evelyn, której musiałem bronić przed sobą samym jak nikogo innego. Siły wracały mi z zaskakującą szybkością.

- Jeśli myślicie, że zwyciężyliście, jesteście w błędzie. - Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

Nie lubiłem ich, a jeśli czuli się przez to trochę gorzej, bardzo mnie to cieszyło.

- Dlaczego? - zapytał ktoś.

Kuan wbijała we mnie ostre spojrzenie, ale milczała.

Nawet Kali wyglądała na wyczerpaną.

- Oni marzą o tym świecie tak samo, jak wy o nim marzyliście. Daliście im sznur, po którym będą się wspinać do góry.

- Tutaj urodził się Raymond Curtis - odpowiedział z wyższością Wicilopocztli, stary aztecki bóg, który przed stu pięćdziesięciu laty powstał z krwawych ofiar złożonych z całego narodu. - Dlatego to było najsłabsze miejsce, najsłabszy punkt, gdzie zdołali przebić przejście. Powstrzymaliśmy ich. Gdzie indziej już nie będzie tak łatwo.

- Tak? - odpowiedziałem. - Jakoś nie zauważyłem, żebyś się wcześniej tak gorliwie udzielał. Jeszcze raz mi przerwiesz, utnę ci jaja, wsadzę do pyska i przemianuję cię na bożka eunuchów.

Czekałem, aż wyzwie mnie do walki, ale wmieszał się w tłum, udając, że niczego nie słyszał. Kiedyś musiałem się cieszyć naprawdę złą sławą.

- A co z miejscem, gdzie umarł Raymond Curtis? Nie, gdzie go spuściliście do Głębin? - zagadnąłem. Dałem im trochę czasu, żeby się zastanowili.

Kuan Jin patrzyła na mnie z powagą, delikatny uśmiech na surowych zazwyczaj ustach Kali świadczył, że coś ją rozbawiło.

- Wróci silniejszy i lepiej przygotowany. Nie jestem pewna, czy zniszczyliśmy larwę obcego. Może tylko powrócił tam, skąd przyszedł, do Głębin - powiedziała bogini miłosierdzia.

- Owszem, będzie próbował się przebić koło Sewastopola, tą samą drogą, którą do świata ludzi dostała się większość z was - przyznałem jej rację.

Nie należałem ani do świata ludzi, ani do świata bogów i demonów. Byłem pomiędzy nimi. W dodatku została we mnie część obcości i nicości, widziałem rzeczy, których nie miał szansy zobaczyć nikt inny.

- Poprowadzę was, pomogę zwyciężyć - oznajmiłem. Ale to nie było wezwanie do boju.

Raczej oferta. Nie miałem pewności, czy dobrze zrobiłem, składając ją.

- Dlaczego ty? - zagrzmiał wściekle Thor i cisnął we mnie młotem.

Chwyliłem go Kleszczami i przeciąłem na pół.

- Bo jestem najsilniejszy - odpowiedziałem spokojnie.

Patrzyłem na boga ludów północnych, póki nie odwrócił wzroku.

- A dlaczego miałbyś nam pomagać? Nic dobrego z naszej strony cię nie spotkało -
zapytała cicho Kuan.

Popatrzyłem na Evelyn i nie powiedziałem już nic.

SEWASTOPOL-

JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSCY ZA JEDNEGO

Ciała śniętych ryb, rozproszone po całej lekko pofałdowanej powierzchni szelfu kontynentalnego, nie gniły w upale, lecz zmieniały się w małe mumie; nad spękany podłóżem drgało nagrzane powietrze. Obszedłem pagórek, na którego wierzchołku sterczał dziób dawno zatopionego okrętu, pod stopami zachrząścił zasuszony narybek. W zagłębieniu, w którym właśnie się chowałem, gigantyczna ławica pokrywała ziemię niczym dywan. Dywan z dzieci, które nie miały najmniejszej szansy dorosnąć.

W powietrzu nieustannie rodziły się i za sprawą mojej obecności natychmiast ginęły zarodki czegoś, czego nie potrafiłem nazwać. W migawkach egzystencji przypominało trójwymiarowe kleksy rzucone w przestrzeń. Tutaj z pewnością nie miały czego szukać.

Słyszałem ciężkie, umęczone kroki kolejnych przybyłych. W miarę jak się zbliżali, przesuwali rzeczywistość bardziej w stronę naszego świata i kleksów ubywało, aż w końcu zniknęły zupełnie.

Spoza pagórka wyłonił się demon wojny, a w ślad za nim lady Serena ze swoim wiernym towarzyszem hrabią Defferem. Tysiącletni upiór na swój sposób ją kochał.

Niemal niezauważalnie kiwnęli głowami w geście powitania i usiedli w cieniu.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała, a hrabia odruchowo uchylił kapelusza, choć stracił go już dawno temu.

Kiwnąłem głową. I ja cieszyłem się z ich obecności. Nie zostałem sam.

Siedziałem, zbierałem siły i zastanawiałem się, kto jeszcze przeżył niedawną jatkę. Potem ku memu zaskoczeniu pojawił się góral, którego spotkałem kiedyś w Beskidach, kilka tysięcy kilometrów stąd. Wówczas udało mu się uniknąć śmierci, a

teraz przybył, jakby nasze pierwsze spotkanie splotło nasze losy i zawiodło go aż tutaj. Ostatni człowiek w absolutnej czołówce najbardziej wysuniętej części naszego oddziału uderzeniowego; tej, która osłabiała rzeczywistość sfery obcych. Przybysze, mieszkańcy Głębiny, robili to samo za naszymi plecami pod murami Sewastopola. Tam szło im o wiele trudniej. Obroną miasta dowodziła Kuan Jin, a świat wokół niej nie został jeszcze zbyt zmieniony głębinową rzeczywistością. Lecz jeśli nasi przeciwnicy utrzymają się odpowiednio długo i narzuca zamieszkaną część tego świata swoją obcość, zyskają punkt zaczepienia, z którego rozpoczną niemożliwą do powstrzymania ekspansję.

Ziemia zaczęła falować, piasek na moment zmienił się w miriady wirujących w powietrzu wielonogów, słońce przybrało krwawy odcień. Potem jednak ta destabilizacja skończyła się i świat wrócił do normalności.

- Przygotowują się. Przed ich ostatnim atakiem też dochodziło do podobnych anomalii - dał się słyszeć głos Thora, boga wojny starych ludów północnych, zanim jeszcze go zobaczyłem.

Dopiero po chwili wyłonił się zza zbocza góry.

Miał już tylko jedną rękę, ale chyba niezbyt mu to przeszkadzało. Czasami czułem się przy nim jak tchórz.

Wróciłem do wspomnień. Ostatnie natarcie obcych o mało co nie zabiło nas wszystkich. Z ziemi wynurzyły się bezkształtne monstra pożerające materię i duchową esencję żywych istot. Parły przed siebie, a za nimi nadciągała ich rzeczywistość. Wielu z nas myślało, że to już koniec.

Zachrząściły kółka, między pagórkami pojawił się wózek ciągnięty przez konia. To była Micuma, prowadzona przez jakiegoś człowieka. Kobietę, zdradziło mi Oko, choć od stóp do głów była zawinięta w szmaty obszyte magicznymi znakami, które miały ją chronić przed upałem i odpadami wojennymi.

Musiała być wyjątkowa, skoro zdecydowała się wziąć w tym wszystkim udział. Patrzyliśmy, jak się zbliża. Kleszcze nagle same z siebie zazgrzytały, Serena zaniepokojona spojrzała w niebo - natychmiast pojawiła się kolejna fala deformująca rzeczywistość. Słońce rozpalilo się do oślepiającej białości, czułem, jak nas zalewa silnym promieniowaniem. Micuma zmieniła się w ośmionogiego stwora z wnętrznościami zawieszonymi w powietrzu jak w jakichś balonach. Jej przewodniczka stała się przezroczysta, widziałem znikające szybko tkanki i kości - nie była na tyle silna, jednolita, żeby wytrzymać w wirach powstających na styku dwóch całkowicie

odmiennych światów. Miała tego świadomość, a to dodatkowo przyspieszało jej zanik, o wiele bardziej absolutny niż jakakolwiek śmierć.

- Cześć. Może wody? - zagailem.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, zaczęła rozpływać się nieco wolniej. Zaraz potem słońce, my i cały świat wróciliśmy do normalności - jeśli można uznać za normalne prowadzenie wojny na dnie wysuszonego morza.

- Nie mamy wody. Czekaliśmy, aż ją pani przywiezie - usprawiedliwiłem się. - To tylko taki żarcik.

- Siedzicie tu jak na pogrzebie - zarżała Micuma. - I tak wszyscy zginiecie, nie rozumiem, dlaczego macie takie poważne miny!

Thor zaśmiał się, kobieta z ukłonem podała mi butelkę wody. Też się uśmiechała, choć nieświadomie, rozbawiona słowami Micumy. Zaczęła rozdawać prowiant pozostałym.

- Gdzie Kali? - chciała wiedzieć Micuma.

- Kali już nie ma - powiedziałem cicho. - Przy ostatnim natarciu rzuciła się do tamtej rzeczywistości i wytworzyła wyłom. Dzięki niej zdołaliśmy ich powstrzymać.

Znowu wyobraziłem sobie boginię o stu rękach, jak przedziera się przez szeregi monstrów pożerających rzeczywistość, wnosi do ich świata ten nasz, torując nam drogę. Atak odparliśmy, nawet posunęliśmy się do przodu, ale ona przyplącała to swoim istnieniem.

- Ech... - Micuma pokręciła głową.

Zapanowała cisza, którą naruszył dopiero szelest piasku. Dźwięk był tak łagodny, że nawet nie zauważyłem, kiedy się pojawił.

Wziąłem z wozu pudełko z nabojami, nakarmiłem Margaret, Greysona i Zabójcę.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się cackasz z tymi zabawkami - odezwał się zachrypnięty głos.

Między nami pojawił się nagle demon wojny. Przybrał teraz postać mocno pokiereszowanego, wysokiego na dwa i pół metra wojownika w czarnej zbroi. Sam fakt, że nie użył żadnych efektów specjalnych, dowodził, jak bardzo jest wyczerpany. Myślałem, że już poległ.

- Ten twój nóż z Ogunem jest wspaniały. - Wskazał na oręż, który leżał na moich kolanach.

Nóż wyglądał całkiem normalnie, ponieważ Ogun, bóg żelaza, który z jakiegoś powodu zdecydował się podróżować ze mną, był zmęczony. I ja też.

- Może to zabawki, ale skuteczne - powiedział Thor. - Niewiarygodnie skuteczne.

Góral z Beskidów podszedł do pudełka, ujął jeden nabój kciukiem i palcem wskazującym, uniósł go i zaczął oglądać na tle nieba.

- Wy tego nie widzicie? - zapytał.

Twarze pozostałych zdradzały zainteresowanie.

- Te setki, tysiące ludzi, którzy umarli tylko po to, żeby powstał ten jeden nabój? Tylko po to, żeby mógł się tutaj znaleźć? Widzę ich dusze zamknięte w szpicu tej kulki.

Istoty, które powracają z tamtej strony śmierci, zyskują szczególne zdolności. Nagle miałem wrażenie, że rozpoznaję katanę górala, a jej pierwszego właściciela bardzo dobrze znam.

- To po to, żebyś nie tracił naboju na niecelne strzały - odpowiedziała mi Micuma.

- Jak na konia jesteś bardzo cyniczna - zaśmiał się demon wojny i usadowił koło mnie. Bił od niego odór magmy wulkanicznej, odniosłem wrażenie, że siedzę na krawędzi krateru czynnego wulkanu.

Odpoczywaliśmy w milczeniu, obserwując delikatne deformacje rzeczywistości. Czekaliśmy. Na co - tego nikt z nas nie wiedział. W trakcie bitwy znaleźliśmy się już bardzo blisko miejsca, gdzie kiedyś wtrącili mojego brata do Głębin. Gdyby udało nam się przebić aż tam, wyciągnęlibyśmy go i w ten sposób zamknęli drogę obcym. Już nie będą mogli z taką łatwością do nas przenikać. Kuan Jin zniszczy ich potem u wrót obleżonego Sewastopola i ocali ludzi stłoczonych za jego bramami.

- Czy to wszystko ma sens? - zapytała głucho Serena.

Pot zmył jej makijaż, strumienie cudzej krwi rozmazały kontur ust, włosy spalił ogień gorszy od piekielnego. Ale nadal była śmiertcionośnie piękna.

Powtórzyłem w myślach jej pytanie. Tutaj wszystko miało sens. Moc, energia skrywały się absolutnie we wszystkim, uwalniały przy starciu dwóch światów; nic z tego, co tu już się stało albo dopiero się stanie, nigdy nie zostanie zapomniane, lecz wryte w kamieniach węgielnych, w kolumnach naszej rzeczywistości - o ile zwyciężymy.

- Co masz na myśli? - chciał wiedzieć Thor.

Brakowało mi Kali. Dopóki z nami była, wierzyłem, że sobie poradzimy. Teraz już nie.

Piasek coraz bardziej falował, martwe rybki zmieniały się w twory przypominające oczy ośmiornic.

- Czy to ma sens? Walka i to wszystko dookoła? Jeśli zwyciężymy, za chwilę znowu zaczniemy się kłócić między sobą. Bogowie przeciwko ludziom, demony przeciwko upiorom, każdy przeciwko każdemu. Będziemy walczyć o moc, o władzę nad tym światem. I właśnie w ten sposób go zniszczymy - wyjaśniła.

Wstałem i pokręciłem głową. „Oczy” pod moimi nogami skrzypiały, na słońcu pojawiały się ciemne plamy, jakby powoli gasło.

- Nauczyliśmy się czegoś. Ustalmy zasady, co wolno, a czego nie. Zasady dla ludzi, upiorów, demonów, deksów, dla wszystkich, którzy dzielą ten świat.

Teraz falował już nie tylko piasek, ale cała ziemia, słońce skakało chaotycznie z jednego krańca nieba na drugi.

- Jak je ustalimy? - chciała wiedzieć Serena. W jej głosie nie czułem oporu, raczej brak wiary w to, że mogłoby nam się udać.

Sto metrów dalej z ziemi zaczęły się wynurzać różowe kontury gigantycznych stworów, przypominających bezzębne żuchwy. Obca rzeczywistość niemal zwała mnie z nóg. Moje ja zadrzało, ale po chwili było znów równie jednolite i silne.

- Utwórzmy zgromadzenie. Zasiądą w nim wszystkie istoty, ale najwięcej do powiedzenia będą mieli ci, którzy walczą tutaj, którzy zamkną Głębiny i zniszczą obcych - musiałem wrzeszczeć, żeby przekrzyczeć wiatr. Powstawał z niczego i szybko przechodził w huragan.

„Oczy” wgryzły się w moje buty i starały piąć w górę. Rzeczywistości wymieszały się w koszmarny koktajl, obcość wżerała się aż do szpiku kości, do ciał i duszy. Było jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy poległa Kali.

Różowe monstra ruszyły szeregiem, za nimi rozpościerał się widok na lodowy, mglisty świat Głębiny.

- Kto pierwszy, ten zyska dodatkowy głos! - ryknąłem i ruszyłem przed siebie.

Widziałem przed sobą plecy górala z kataną Pana Śmierci, za sobą słyszałem bojowy krzyk towarzyszy broni.

Albo, albo...

EPILOG

Był przyjemny wiosenny dzień. Wietrzyk mierzwił od niedawna zielone korony brzoź i lip. Stary Joshua jak zwykle się spocił przy ostatnim etapie pracy. Był jednak zadowolony: drewniana rzeźba mężczyzny ze sztucznym okiem i ramieniem potwora w końcu stała się. Jeszcze tylko twarz, pomalować i dodać rewolwer, śrutówkę, miotacz granatów i wielki nóż; czterech wiernych pomocników największego obrońcy ludzi - Mrocznego Zbawiciela.

Rzeźba stała tylko kawałek od ścieżki. Każdy, kto tędy przejeżdżał, od razu widział, kogo wzywają mieszkańcy i kto ma nad nimi pieczę.

Trzasnęła złamana gałąź, Joshua oderwał się od pracy i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć.

Cudzoziemiec jechał na koniu, na pięknym koniu. Z kabury przy siodle wystawała kolba karabinu, przy pasie wisiał wielki rewolwer. Miał na sobie kurtkę bez rękawów, zygzakowata blizna na skórze świadczyła, że kiedyś stracił rękę, ale ktoś zadał sobie bardzo wiele trudu, żeby za pomocą skomplikowanej technologii albo magii przyszyć mu ją z powrotem. To samo stało się z okiem i niemal całą twarzą.

Joshua nerwowo przełknął ślinę i wbił wzrok w rzeźbę. To chyba niemożliwe, ale czyżby?...

- Dzień dobry - powiedział mężczyzna, kiedy go zobaczył.

Miał potężny głos. Patrzył wyczekująco na Joshuę.

Ten czuł się bezbronny, z drugiej strony nie czuł jednak żadnego zagrożenia. Spojrzał na rzeźbę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jest pan do niego podobny. To nasz patron.

Mężczyzna przytaknął z rozbawieniem.

- Nie pan pierwszy mi to mówi. Czasami mam wrażenie, że niedźwiedź, który mi to zrobił, inspirował się tymi rzeźbami.

- Jest pan niedźwiednikiem?

W okolicznych lasach roilo się od tych drapieżników, wiele z nich uległo transformacji. Gdyby mężczyzna zatrzymał się we wsi na jakiś czas, wiele by na tym zyskała.

- Czasami zastanawiam się, czy nie nadszedł już czas, żeby zająć się czymś innym. Rany nie dają mi spokoju... - Mężczyzna wskazał na ramię i uśmiechnął się, jakby ten ból nie dokuczał mu bardziej niż ukąszenie komara.

Joshua zaczął się podejrzliwie rozglądać. Nagle poczuł się bardzo nieswojo, coś się zbliżało.

Zielona ściana zaszumiała i pomiędzy drzew wyjechało pięciu jeźdźców. Uzbrojeni po zęby, bladzi, z kapeluszami rzucającymi cień na twarze. Joshua cofnął się o krok i poczuł w brzuchu ścinający mrozem strach. To były upiory, bandyci, którzy nie respektowali nowych zasad i najeżdżali ludzkie skupiska. Tym razem przyszła kolej na ich wieś.

- Ścieżką jest dużo wygodniej - zagadnął ich przyjacielsko mężczyzna.

Ciągle się uśmiechał, ale to już był inny uśmiech niż przed chwilą, uśmiech kogoś, kto na moment wynurzył się na powierzchnię, tak jak wtedy, kiedy z rozkołysanego falami oceanu wypływa monstrualny mieszkaniec Głębiny.

Dowódca upiorów spojrzał na niego, potem na drewnianą rzeźbę Mrocznego Zbawiciela i znowu na mężczyznę.

Nie powiedział nic, zacisnął zęby, spuścił głowę. Ruszyli ścieżką w drogę powrotną.

Do Joshui dopiero teraz dotarło, że cudzoziemiec przez cały czas trzymał dłoń na pasku tuż przy pobrudzonej częstym użytkowaniem rękojeści ogromnego rewolweru.

Z pewnością nie to odstraszyło upiory. Kiedy starzec znowu odważył się spojrzeć mu w twarz, zobaczył tylko zwykłego niedźwiednika.

- Czyż to nie piękny dzień? - zagadnął mężczyzna, rozejrzał się i nabrał głęboko powietrza. - Jak pan sądzi, znalazłaby się u was jakaś praca? Może zatrzymałbym się tu na jakiś czas. Wspaniała kraina.

Joshua spostrzegł, że uśmiech niedźwiednika jest zaraźliwy. Podobał mu się ten facet. Może zostanie u nich na stałe? Wyglądał na takiego, co potrafi zatroszczyć się o siebie, a na świat patrzy z optymizmem.

- Jutro to skończę, a teraz zaprowadzę pana do wioski. - Poklepał drewnianą rzeźbę. - Jemu nie powinno to przeszkadzać.

- Z pewnością nie. - Mężczyzna uśmiechnął się i zeskoczył z konia. - Nazywam się Curtis, Raymond Curtis - przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie.

Koniec



COPYRIGHT @ BY Miroslav Žamboch
COPYRIGHT @ BY Fabryka Słów sp. z o.o. LUBLIN 2009
COPYRIGHT @ FOR TRANSLATION BY Rafał Wojtczak 2008

TYTUŁ ORIGINALU: *Drsný spasiteľ*

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-096-7

REDAKCJA SERII Eryk Górki, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Igor Kieryluk

ILUSTRACJE Filip Myszkowski

REDAKCJA Marta Kisiel

KOREKTA Barbara Caban, Magdalena Byrska

SKŁAD Monika Nowakowska

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-607 Lublin ul. Wallenroda 4c
www.fabryka.pl
e-mail: biuro@fabryka.pl

DRUK I OPRAWA OPOLgraf S.A. www.opolgraf.com.pl